

Zbrodnia Sylwestra Bonnarda





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ANATOLE FRANCE

Zbrodnia Sylwestra Bonnard

TLUM. JAN STEN

CZĘŚĆ PIERWSZA. POLANO

4 grudnia 1861

Włożyłem pantofle i wygodny szlafrok. Otarłem łzę, którą ostry wiatr, dmący na ulicy, zaćmił mój wzrok. Jasny ogień płonął na kominku w moim gabinecie. Lodowe kryształki o fantastycznych kształtach kwiatów i paproci rozpościerały się na szybach okien i zakrywały mi Sekwanę, jej mosty i stary Luwr Walezjuszków¹.

Przysunąłem do kominka fotel i przenośny stolik i zająłem przy nim miejsce, które Hamilkar² raczył mi zostawić. Hamilkar tuż przy kracie kominka na miękkiej poduszce leżał zwinięty w kółko, z nosem między łapkami. Równy oddech podnosił jego lekkie i puszyste futerko. Za zbliżeniem się moim z wolna spod wółprzymkniętych powiek ukazał agatowe źrenice i zamknął je natychmiast, pomyślawszy: „To nic, to mój przyjaciel”.

— Hamilkarze! — rzekłem doń, wyciągając nogi — Hamilkarze, senny władco grodu książek, czujny stróżu nocny! Przed szkaradnymi gryzoniami bronisz rękopisów i druków, które stary uczony nabył za cenę skromnego dochodu i niezmordowanej gorliwości. W tej cichej bibliotece, której strzegą twe cnoty marsowe³, śpij, Hamilkarze, jak lubieżna sułtanka! Bo w swej osobie łączysz straszną postać tatarskiego rycerza z ociężałym wdziękiem kobiety Wschodu. Bohaterski i zmysłowy Hamilkarze, śpij, czekając chwili, gdy myszy przy świetle księżycza zaczną wyprawiać harce przed *Acta Sanctorum* uczonych bollandystów⁴.

Początek tej przemowy podobał się Hamilkarowi, zadowolenie swe objawił, wydając dźwięk podobny do bulgotania wody w kociołku. Ale gdy podniosłem głos, Hamilkar, opuszczając uszy i marszcząc przegowaną skórę na czole, uprzedził mnie, że niestosowna jest taka deklamacja. I rozmyślał: „Ten człowiek od książek mówi, by nic nie powiedzieć; natomiast nasza kucharka wymawia zawsze słowa pełne treści, zawierające albo zapowiedź jedzenia, albo obietnicę skróbicia. Wiadomo, co mówi. A ten starzec gromadzi dźwięki, które nic a nic nie znaczą”.

Tak myślał Hamilkar. Pozostawiając go jego rozmyśleniom, otworzyłem książkę i czytałem ją z zajęciem, był to bowiem katalog manuskryptów. Nie znam nic bardziej pociągającego i przyjemniejszego nad czytanie katalogu. Katalog, który czytałem teraz, zredagowany w 1824 r. przez M. Thompsona, bibliotekarza sir Tomasza Raleigha, grzeszy co prawda zbyt wielką zwięzłością i nie ma tej dokładności, którą archiwiści mego pokolenia wprowadzili pierwsi do prac z zakresu dyplomacji i paleografii⁵. Pozostawia dużo do życzenia i dużo do domysłu. I może dlatego, czytając go, doświadczam uczuć, które u natury bardziej imaginacyjnej niż moja zasługiwałyby na miano marzenia. Z wolna pogrążałem się w mych fantastycznych myślach, gdy gospodyni moja mruklwym tonem oznajmiła mi, że pragnie ze mną mówić pan Coccoz.

Istotnie ktoś wsunął się za nią do biblioteki. Był to drobny czelczyzna, biedny, mały człowieczek, mizernie wyglądający, ubrany w lekki surdut. Zbliżył się do mnie z mnóstwem drobnych ukłonów i uśmiechów. Był bardzo błądy, a choć młody i żwawy, wyglądał na chorego. Widok jego przypominał mi zranioną wiewiórkę. Niósł pod pachą zawiniątko w zielonej płachcie, które położył na krześle; odwiązawszy cztery jego rogi, ukazał mi całą masę małych, złotych książeczek.

¹Walezjusze — dynastia królów francuskich panująca w latach 1328–1589; stary Luwr Walezjuszków: Franciszek I i Henryk II z tej dynastii w XVI w. przebudowali średniowieczny reprezentacyjny zamek królewski w renesansowy pałac Luwr, który następnie rozbudowano za panowania kolejnej dynastii, Burbonów, oraz za czasów Napoleona Bonaparte i Napoleona III. [przypis edytorski]

²Hamilkar — imię starożytnego wodza i polityka kartagińskiego, Hamilkara Barkasa (280–229 p.n.e.), głowy rodu Barkidów, ojca słynnego Hannibala. [przypis edytorski]

³marsowy — wojenny, wojowniczy; od imienia Marsa, rzym. boga wojny. [przypis edytorski]

⁴Acta Sanctorum (łac.: akta a. dzieje świętych) — wielotomowy krytyczny zbiór żywotów świętych katolickich, którego pierwsze tomy wydał flamandzki jezuita Jean Bolland (1596–1665), a pracę w kolejnych pokoleniach kontynuowali jego współpracownicy i następcy, zwani bollandystami; ukończone w 1940 dzieło obejmuje 68 tomów, liczących łącznie ponad 60 000 stron. [przypis edytorski]

⁵paleografia — nauka pomocnicza historii zajmująca się dziejami i rozwojem różnych form dawnego pisma; pozwala na poprawne odczytywanie i datowanie historycznych rękopisów. [przypis edytorski]

— Wielmożny panie — rzekł — nie mam zaszczytu być panu znanym, jestem agentem księgarskim, wielmożny panie. Pracuję dla pierwszych firm stolicy i w nadziei, że wielmożny pan zaszczyti mnie swym zaufaniem, pozwalam sobie ofiarować mu trochę nowości.

Wielkie, sprawiedliwe bogi! Co za nowości ofiarował mi homunculus⁶ Coccoz! Pierwszy tom, który wsunął mi do ręki, była to *Historia wieży Nesle*, opowiadająca o miłostkach Małgorzaty Burgundzkiej i kapitana Buridana⁷.

— To książka historyczna — rzekł z uśmiechem — historia zupełnie prawdziwa.

— W takim razie — odrzekłem — jest bardzo nudna, bo książki historyczne, które nie kłamią, wszystkie są nudne. I ja pisuję dzieła historyczne zgodne z prawdą; gdybyś, na swoje nieszczęście, którą z nich obnosić miał od drzwi do drzwi, na pewno chowałbyś je wiecznie w twej zielonej płachcie, bo nie znalazłbyś na tyle nierozgarniętej kucharki, aby przyszło jej do głowy to kupić.

— Zapewne, proszę pana — odrzekł blady człowiek jedynie przez grzeczność.

I uśmiechając się ciągle, podał mi *Dzieje miłosne Heloizy i Abelarda*⁸, ale dałem mu do zrozumienia, że w moim wieku na nic się już nie zdają historie miłosne.

Wtedy, ciągle uśmiechnięty, zaproponował mi *Prawidła gier towarzyskich*: pikiety, bezika, *écarté*, wista, kości, warcabów, szachów.

— Niestety! — rzekłem — jeśli chcesz mi przypomnieć prawidła bezika, wróć mi mego starego przyjaciela Bignana, z którym grywałem w karty co wieczór, zanim pięć Akademii⁹ uroczyście nie odprowadziło go na cmentarz, lub do lekkomyślności zabaw ludzkich niż poważny umysł Hamilkara, śpiącego, jak widzisz, na tej poduszce, gdyż on jest teraz jedynym towarzyszem moich wieczorów.

Uśmiech biednego czelczyzny był teraz mdły i zakłopotany.

— Oto — rzekł — nowy zbiór zabaw towarzyskich, dykteryjek, żarcików, ze sposobem zamienienia czerwonej róży na białą.

Odpowiedziałem mu, że od dawna jestem w niezgodzie z różami, co do żarcików zaś dość mi tych, na które pozwalam sobie bezwiednie w mych pracach naukowych.

Homunculus ze swym ostatnim uśmiechem zaproponował mi ostatnią swą książkę.

— Oto *Klucz do tłumaczenia snów*, z wyjaśnieniem wszystkich snów, jakie śnić można: sny o złocie, o złodzieju, o śmierci, sen, że się spada z wieży... Komplet!

Pochwyciłem szczypce¹⁰ i żywo nimi potrząsając, odrzekłem memu gościowi:

— Tak, mój przyjacielu, ale wszystkie sny i tysiące innych jeszcze, radosnych i tragicznych, mieszczą się w jednym śnie życia. Czy twoja mała książeczka da mi klucz do jego wytłumaczenia?

— Tak, proszę pana — odpowiedział homunculus. — Wydanie jest kompletne i kosztuje niedrogo, franka¹¹ dwadzieścia pięć centymów, wielmożny panie.

Na tym skończyłem rozmowę z kolporterem. Nie śmiałbym zapewniać, że słowa moje były istotnie takie, jak je tu przytaczam. Może, spisując, rozszerzyłem je nieco. Bardzo trudno, nawet w dzienniku, zachować prawdę dosłowną. Jeśli nie takie były słowa, w każdym razie taka była moja myśl. Zawołałem służącą, gdyż nie mam dzwonka w mieszkaniu.

— Tereso — rzekłem — odprowadź pana Coccoza do drzwi. Posiada on książkę, która może cię zająć: *Klucz do tłumaczenia snów*. Z przyjemnością ci ją podaruję.

⁶*homunculus* (łac.) — sztucznie stworzony, niewielki człowieczek. [przypis edytorski]

⁷*Małgorzata Burgundzka* (1290–1315) — księżniczka burgundzka, od 1305 roku żona następcy tronu Francji i króla Nawarry, 16-letniego Ludwika Klótlwego; bohaterka skandalu z roku 1314, kiedy wraz z żonami pozostałych synów króla Filipa IV Pięknego została z rozkazu teścia aresztowana i oskarżona o wielokrotne cudzołóstwa, do których miało dochodzić w starej wieży strażniczej Nesle w Paryżu; skandal doprowadził do uwięzienia dwóch księżniczek oraz poddania torturom i okrutnego stracenia ich rzekomych kochanków. Historia skandalu stała się osnową m.in. dramatu *Wieża Nesle* Alexandre'a Dumasa ojca i Frédérica Gaillardeta z 1832 roku, luźno osnutego na wydarzeniach historycznych; jednym z bohaterów dramatu jest szlachcic burgundzki Buridan. [przypis edytorski]

⁸*Dzieje miłosne Heloizy i Abelarda* — zapewne groszowy romans o znanym historycznym związku miłosnym między średniowiecznym filozofem i teologiem Piotrem Abelardem a jego uczennicą, zakonnicą Heloizą. [przypis edytorski]

⁹*pięć Akademii* — tu: pięć głównych placówek naukowych, pełniących funkcje akademii nauk i tworzących razem Instytut Francji, najwyższą francuską instytucję naukową i kulturalną. [przypis edytorski]

¹⁰*szczypce* — tu: szczypce do kominka. [przypis edytorski]

¹¹*franka* — dawna francuska jednostka monetarna, dzieląca się na 100 centymów, w 2002 zastąpiona przez euro. [przypis edytorski]

— Proszę pana — odpowiedziała gospodyni — gdy się nie ma czasu śnić na jawie, to nie ma się również czasu śnić w uśpieniu; dzięki Bogu, dzień wystarcza dla mej pracy i praca wystarcza dla mego dnia; co wieczór powiedzieć mogę: „Panie Boże, błogosław memu spoczynkowi!”. Nie śnię ani stojąc, ani leżąc, i pierzyny swojej nie biorę za diabła, jak to zdarzyło się mojej kuzynce. I niech pan pozwoli, że powiem, iż dosyć mamy tu książek. Pan ma ich tu tysiące tysięcy, od których przewraca się panu w głowie, a ja mam dwie, które mi wystarczają zupełnie: książkę do nabożeństwa i *Kuchnię domową*.

Powiedziawszy to, gospodyni pomogła biednemu człeczynie ułożyć towar w zielonej płachcie.

Homunculus Cocoz nie uśmiechał się już. Zmęczona jego twarz przybrała wyraz takiego cierpienia, że gorzko pożałowałem, iż szczydziłem z człowieka tak nieszczęśliwego. Przywoławszy go, rzekłem, iż zauważyłem u niego egzemplarz *Historii Estelli i Nemorina*¹², a że bardzo lubię pasterzy i pasterki, kupię za rozsądną cenę te dzieje tkliwych kochanków.

— Sprzedam panu tę książkę za franka dwadzieścia pięć, wielmożny panie — odrzekł Cocoz z rozpromienioną z radości twarzą. — To historyczne i będzie pan z tego zadowolony. Wiem teraz, czego panu potrzeba. Widzę, że z wielmożnego pana znawca. Przyniosę panu jutro *Zbrodnie papieży*. To bardzo dobre dzieło. Przyniosę wydanie dla amatorów, z kolorowymi rycinami.

Poprosiłem, by tego nie czynił, odszedł jednak zadowolony. Kiedy zielone zawiniątko wraz z kolporterem znikło w cieniach korytarza, zapytałem mej gospodyni, skąd spadł ów człowiek.

— Spadł, oto właściwe słowo — odrzekła — spadł nam spod dachów, gdzie mieszka z żoną.

— Ma żonę, powiadasz, Tereso? To zadziwiające! Kobiety to bardzo dziwne stworzenia. To musi być biedna, nieszczęśliwa kobiecina.

— Nie wiem, jaka tam jest — odrzekła Teresa — ale widzę, jak co rano włóczy się po schodach w jedwabnych sukniach, wyplamionych tłuszczem. Zerka błyszczącymi oczami. I sprawiedliwie rzekłszy, czyż stosowne są te oczy i te suknie dla kobiety przyjętej tu z litości? Bo przyjęto ich na poddasze, dopóki reperują dach, ze względu na to, że mąż chory, a ona w poważnym stanie. Stróżka mówiła mi nawet, że dziś rano poczuła ból, teraz podobno leży. Trzeba im było dziecka!

— Tereso — rzekłem — prawdopodobnie dziecko było im niepotrzebne, ale przyroda chciała, by je spłodzili, i zwabiła ich w swe sidła. Trzeba przykładowej przezorności, by uniknąć podstępów natury. Żałujemy ich, ale nie potępiajmy! Co zaś do jedwabnych sukien, to wszystkie młode kobiety się w tym kochają. Córy Ewy uwielbiają stroje. Ty sama, Tereso, choć jesteś poważna i rozumna, jakie wyprawiasz krzyki, gdy brak ci białego fartucha do obsługi przy obiedzie! Ale powiedz mi, czy mają wszystko, co im potrzeba na tym poddaszu?

— A skądże by mieć mogli, proszę pana? Mąż, którego pan przed chwilą widział, był, jak mówiła mi odźwierna, agentem jubilerskim i nie wiadomo, dlaczego nie sprzedaje już zegarków. Teraz sprzedaje kalendarze. To nie jest porządne rzemiosło i nie wierzę nigdy w to, żeby Pan Bóg mógł błogosławić kupcowi kalendarzy. Żona, między nami mówiąc, wygląda na nic dobrego, na trzpiotkę. Sądzę, że tak potrafi wychować dziecko, jak ja grać na gitarze. Nie wiadomo, skąd to przyszło, a ja jestem pewna, że przyniosła ich tu bieda z nędzą.

— Skądkolwiek przybywają, Tereso, są nieszczęśliwi i poddasze ich jest zimne.

— Bagatela! Dach dziurawy jest w kilku miejscach i deszcz ciecze tam strumieniami. Nie mają ani sprzętów, ani bielizny. Stolarze i tkacze nie pracują, jak sądzą, dla członków takiego bractwa!

— To bardzo smutne, Tereso, oto dusza chrześcijańska daleko gorzej zaopatrzona niż heretyk Hamilkar. I cóż ona mówi?

— Nie mówię nigdy z tymi ludźmi, proszę pana. Nie wiem ani co mówi, ani co śpiewa. Bo pani Cocoz śpiewa przez cały dzień. Ze schodów ją słyszę, czy wychodzę, czy powracam.

¹²*Historia Estelli i Nemorina* — zapewne przeróbka popularnej sielanki prozą *Estella i Nemorin* (1788), autorstwa Jean-Pierre'a Claris de Florian, albo też oryginał tego utworu pod nieco zmienionym tytułem. [przypis edytorski]

— No, potomek Coccozów będzie mógł powiedzieć jak to jajko w chłopskiej zagadce: „Matka zrodziła mnie, śpiewając”. Coś podobnego przytrafiło się Henrykowi IV. Gdy Joanna d’Albret¹³ poczuła bóle porodowe, zaczęła śpiewać starą bearneską¹⁴ pieśń:

Najświętsza Panno, Ty z końca mostu,
O tej godzinie w pomoc mi przyjdź.
Błagam cię, uproś u Boga w niebie,
By szybko zechciał rozwiązać mnie,
Pięknego chłopca raczył mi dać.

Oczywiście nierozumnie jest płodzić istoty nieszczęśliwe. Ale dzieje się to co dzień, moja Tereso, i wszyscy filozofowie świata nie zdołają zmienić tego głupiego zwyczaju. Pani Coccoz poszła za tym obyczajem i śpiewa. I tak jest dobrze! Ale powiedz mi, Tereso, czy nie nastawiłaś dziś rosołu?

— Nastawiłam, proszę pana, i nawet czas już go zszumować.

— Bardzo dobrze! Pamiętaj, Tereso, odlać z garnka dobry talerz rosołu i zanieść go pani Coccoz, naszej sąsiadce.

Służąca moja oddalała się już, gdy bardzo w porę dodałem:

— Tereso, zechciej przede wszystkim zawołać swego przyjaciela stróża i powiedz mu, by wziął z naszej drwalni dobrą wiązkę drzewa i zaniósł ją na poddasze państwa Coccoz. Tylko niech nie zaniedba włożyć do naręcza tęgich, grubych polan, polan prawdziwie świątecznych. Co zaś do homunculusa, proszę cię, gdy przyjdzie, odpraw go grzecznie wraz z jego wszystkimi żółtymi książkami.

Wydawszy te zarządzenia z wyrafinowanym egoizmem starego kawalera, zabrałem się znów do przerwane go czytania katalogu. Z jakimż zdziwieniem, z jakim wzruszeniem i zmieszaniem przeczytałem wzmiankę, której bez drżenia ręki przepisać nie mogę:

Złota legenda Jakuba z Genui (Jakuba de Voragine)¹⁵, tłumaczenie francuskie, małe in 4^o¹⁶.

Ten manuskrypt XIV wieku zawiera oprócz dość kompletnego tłumaczenia znakomitej pracy Jakuba de Voragine: *primo* — legendy świętych Ferreola, Ferrucjona, Germana, Wincentego i Droktoweusza¹⁷; *secundo* — pieśń *O cudownym pogrzebaniu imię świętego Germana z Auxerre*. Tłumaczenie to, legendy i pieśń są dziełem kleryka Jana Toutmouillé. Manuskrypt jest na welinie¹⁸, zawiera mnóstwo inicjałów i dwie miniatury delikatnie wykonane, lecz niezupełnie dobrze zachowane, jedna przedstawia *Oczyszczenie Najświętszej Panny*, druga *Koronowanie Prozerpiny*¹⁹.

¹³Joanna d’Albret (1528–1572) — królowa Nawarry, matka Henryka IV, pierwszego króla Francji z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

¹⁴bearneński — pochodzący z Béarn, hist. prowincji w pld.-zach. Francji, na skraju Pirenejów. [przypis edytorski]

¹⁵Jakub de Voragine (ok. 1230–1298) — włoski pisarz religijny, dominikanin, autor niezmiennie popularnego w Europie dzieła *Złota legenda* (łac. *Legenda aurea*), zbioru opowieści o chrześcijańskich świętych, ich życiu i cudach, przed końcem średniowiecza przetłumaczonego na większość głównych języków europejskich, zachowanego w ponad 1000 różniących się manuskryptach (gdyż kopiści dodawali swoich lokalnych świętych). [przypis edytorski]

¹⁶in 4^o — skrót od: *in quarto*, określenie formatu książki wielkości 1/4 arkusza, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4. [przypis edytorski]

¹⁷Ferreol, Ferrucjon, German, Wincenty i Droktoweusz — starożytni i wczesnośredniowieczni święci związani z Galią, terenami ob. Francji; Ferreol i Ferrucjon (zm. ok. 212): wysłani jako misjonarze do Galii, zginęli męczeńską śmiercią; Wincenty z Saragossy (zm. 304): męczennik, którego relikwie wg żywotów świętych miał sprowadzić do Paryża z wyprawy do Hiszpanii frankijski król Childebert I; German z Paryża (ok. 496–576): frankoński mnich, przełożony wspólnoty zakonnej, mianowany przez Childeberta I biskupem Paryża; Droktoweusz a. Drokontiusz (ok. 530–580): uczeń Germana z Paryża, pierwszy opat klasztoru św. Wincentego w Paryżu, ufundowanego przez Childeberta I, przemianowanego potem na opactwo Saint Germain-des-Prés (św. Germana na łąkach). [przypis edytorski]

¹⁸welin — bardzo cienki pergamin z cielej skóry, wysokiego gatunku; dziś: luksusowy papier, cienki i gładki. [przypis edytorski]

¹⁹Prozerpina (mit. rzym.) — córka Cerery, bogini urodzaju, porwana i poślubiona przez Plutona, władcę krainy umarłych; odpowiednik Kory-Persefony w mit. gr. [przypis edytorski]

Co za odkrycie! Pot wstał mi na czoło, mgła zasłoniła oczy. Drżałem, bladłem i nie mogąc wyrzec słowa, odczułem potrzebę wydania głośniego okrzyku.

Co za skarb! Od czterdziestu lat pracuję nad badaniem Galii²⁰ chrześcijańskiej, a specjalnie nad sławnym opactwem Saint-Germain-des-Prés²¹, z którego wyszli owi królowie-mniisi, założyciele naszej dynastii narodowej. Otóż mimo karygodnej niedokładności opisu jasne było dla mnie, że manuskrypt ten pochodzi z tego sławnego opactwa. Wszystko było tego dowodem: legendy dodane przez tłumacza dotyczyły wszystkie pobożnej fundacji króla Childeberta²². Legenda o świętym Droktoweuszu była szczególnie znamienita, gdyż jest to legenda pierwszego opata mego umiłowanego opactwa. Poemat wierszem francuskim o pogrzebaniu świętego Germana wprowadzał mnie do samej nawy czcigodnej bazyliki, która była zawiązkiem Galii chrześcijańskiej.

Złota legenda jest sama w sobie obszernym i wdzięcznym dziełem. Jakub de Voragine, definitor²³ reguły świętego Dominika i arcybiskup Genui, zebrał w XIII wieku tradycje odnoszące się do świętych katolickich i utworzył z nich zbiór tak bogaty, że w klasztorach i zamkach jednym głosem zawołano: „To złota legenda”. *Złota legenda* obfituje głównie w hagiografię²⁴ włoską. Galia, Germania²⁵, Anglia mało zajmowały w niej miejsca. Voragine tylko przez zimną mgłę widzi wielkich świętych Zachodu. Toteż akwitańscy, germańscy i saksońscy tłumacze zacnego legendzisty postarali się do jego opowiadań dołączyć żywoty swoich narodowych świętych.

Czytałem i porównywałem wiele manuskryptów *Złotej legendy*. Znam te, które opisał mój uczony kolega, Paweł Paris²⁶, w swym pięknym katalogu rękopisów biblioteki królewskiej. Dwa z nich mianowicie dłużej zatrzymały moją uwagę. Jeden datuje się z XIV wieku i zawiera tłumaczenie Jana Beleta²⁷, drugi, o wiek późniejszy, zawiera wersję Jakuba Vignay²⁸. Pochodzą oba ze zbiorów Colberta²⁹ i umieszczone zostały na półkach tej sławnej księżnicy za staraniem bibliotekarza Baluze’a³⁰ którego nazwiska bez uchylenia czapeczki wymówić nie mogę, gdyż nawet w tym wieku olbrzymów erudycji Baluze zadziwia swą wielkością. Znam bardzo ciekawą edycję ze zbiorów Bigota³¹; znam sześćdziesiąt cztery drukowane edycje, poczynawszy od ich szanownej prababki, gotyckiej³² edycji strasburskiej, rozpoczętej w roku 1471, a skończonej w roku 1477. Ale żaden z tych manuskryptów, żadna z tych edycji nie zawiera legend świętych Ferreola, Ferrucjona, Germana,

²⁰Galii — rzymska nazwa zachodnioeuropejskiej krainy zamieszkiwanej przez ludy celtyckie, obejmującej tereny ob. Francji, a także Belgii, części Szwajcarii i płn.-zach. Włoch; nazwa właściwa dla okresu rzymskiego i wczesnośredniowiecznego. [przypis edytorski]

²¹Opactwo Saint-Germain-des-Prés — klasztor benedyktyński w Paryżu, ufundowany w 558 przez króla Franków Childeberta I; stanowił pierwszą francuską nekropole królewską; miejsce pochówku królów z frankijskiej dynastii Merowingów panujących w VI i VII w. [przypis edytorski]

²²Childebert I (496–558) — władca Franków z dynastii Merowingów; jeden z czterech synów Chlodwiga I, którzy podzielili się królestwem Franków po śmierci ojca w 511. [przypis edytorski]

²³Definitor — urzędowy doradca prowincjała, przełożonego zakonu sprawującego władzę nad klasztorami na określonym terenie. [przypis edytorski]

²⁴Hagiografia — dział piśmiennictwa chrześcijańskiego obejmujący żywoty świętych, związane z nimi legendy i opisy cudów. [przypis edytorski]

²⁵Germania — rzymska nazwa ziem na wschód od Renu i na północ od górnego i środkowego Dunaju, zamieszkiwanych przez Germanów; później: poetycka nazwa Niemiec. [przypis edytorski]

²⁶Paris, Paulin (1800–1881) — francuski historyk literatury, specjalizujący się w okresie średniowiecza; od 1828 asystent kustosa rękopisów Bibliothèque royale. [przypis edytorski]

²⁷Belet, Jean, łac. Johannes Beletus (XII w.) — francuski teolog, autor podręcznika do liturgii; utożsamiany z Johannesem Beletusem wskazywanym jako tłumacz najstarszej francuskiej wersji *Złotej legendy*, znanej z manuskryptów z XIV w. [przypis edytorski]

²⁸Vignay, Jean de (ok. 1285–ok. 1350) — francuski tłumacz dzieł łacińskich; autor m.in. przekładu *Złotej legendy* Jakuba de Voragine’a, wykonanego dla królowej Joanny Burgundzkiej. [przypis edytorski]

²⁹Colbert, Jean Baptiste (1619–1683) — francuski polityk, minister finansów i premier na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

³⁰Baluze, Étienne (1630–1718) — francuski historyk i erudyta, zajmujący się historią Kościoła, patrystyką i prawem kanonicznym; jako bibliotekarz ministra Colberta zgromadził, opracował i opublikował wiele różnorodnych źródeł z dziejów Francji. [przypis edytorski]

³¹Bigot, Jean (1588–1645) — francuski bibliofil z Normandii; zgromadził ogromną prywatną bibliotekę manuskryptów i książek drukowanych (Bibliotheca Bigotiana), wzbogaconą przez jego syna Émery’ego, po śmierci którego została w 1706 sprzedana przez spadkobierców na aukcji. [przypis edytorski]

³²gotycka edycja — wydanie drukowane pismem gotyckim, krojem pisma powszechnie używanym w starodrukach do ok. XVII w. [przypis edytorski]

Wincentego i Droktoweusza, żadna nie nosi nazwiska Jana Toutmouillé, żadna wreszcie nie pochodzi z opactwa Saint-Germain-des-Prés.

One wszystkie w porównaniu z manuskrytem opisanym przez Thompsona są jak żdźbła słomy wobec sztaby złota. Dotykałem palcem, widziałem na własne oczy niezbity dowód istnienia tego dokumentu. Ale dokument sam, co się z nim stało? Sir Tomasz Raleigh pojechał dokonać żywota nad brzegiem jeziora Como³³ i zabrał ze sobą część swych dostojnych bogactw. Gdzież się podziały po śmierci tego wytwornego amatora? Gdzie się podział manuskrypt Jana Toutmouillé?

„Po cóż — myślałem sobie — po cóż dowiedziałem się, że drogocenna ta książka istnieje, jeśli nigdy nie mam jej posiadać, nigdy jej nie mam widzieć? Poszedłbym po nią do gorącego serca Afryki i do lodów biegunowych, gdybym wiedział, że tam się znajduje. Ale nie wiem, gdzie jest. Nie wiem, czy jakiś zazdrosny biblioman troskliwie schował ją w żelaznej szafie pod potrójnym zamkiem, czy też pleśnieje na strychu jakiegoś nieuka. Drżę na myśl, że może jej wyrwane kartki służą jakiejś zapobiegliwej gosposi do obwiązywania słojów z ogórkami”.

30 sierpnia 1862

Zwalniałem kroku, znużony duszącym upałem. Szedłem wzdłuż murów północnego wybrzeża. W chłodnym cieniu antykwarskie magazyny, pełne starych książek, rycin i starożytnych mebli, bawiły mój wzrok i przemawiały do umysłu. Przechadzając się i przeglądając stare książki, to rozkoszowałem się dźwięcznymi wierszami któregoś z poetów Plejady³⁴, to komentowałem wytworną maskaradę Watteau³⁵, to oceniałem wzrokiem jakąś obosieczną szpadę, kowany stalowy naszyjnik lub szyszak³⁶. Jakiż duży hełm, jakiż ciężki pancerz, Boże wielki! Rynsztunek olbrzymia? Nie, skorupa owada. Ludzie ówczesni opancerzeni byli jak chrabąszcze: wewnątrz była ich słabość. Dziś, przeciwnie, siła nasza jest wewnętrzna, nasza dusza uzbrojona zamieszkuje ciało wątłe.

Oto pastel, portret damy ubiegłych czasów; twarz wpółzatarta, jak cień, uśmiecha się, ręka w czarnych mitenkach³⁷ przytrzymuje na atlasowych kolanach pieska, przybranego kokardami. Ten obrazek napędza mnie rzewnym smutkiem. Niechaj szydzą ze mnie ci, co w sercu nie noszą zatartego pastelu!

Jak konie, które czują stajnię, tak ja przyśpieszyłem kroku, zbliżając się do domu. Oto ul ludzki, w którym mam swą celkę, gdzie sączę nieco ostry miód erudycji³⁸. Ociężałym krokiem wchodzę po schodach. Jeszcze kilka stopni i jestem u moich drzwi. Ale odgaduję raczej, niż widzę, suknię schodzącą z szelestem jedwabiu. Zatrzymuję się i przyciskam do poręczy. Schodzi jakaś kobieta z gołą głową, jest młoda, śpiewa; oczy jej i włosy błyszczą w cieniu, śmieje się ustami i spojrzeniem. To na pewno któraś z bardziej poufałych sąsiadek. Trzyma na ręku śliczne dziecko, małego chłopczyka, nagiego jak syn bogini; dziecko ma na szyi medalion na srebrnym łańcuszku. Widzę, że ssie palce i patrzy na mnie oczami szeroko otwartymi, na ten świat stary, dla niego tak nowy. Jednocześnie matka patrzy na mnie z tajemniczą i figlarną miną; zatrzymuje się, rumieni, o ile mi się zdaje, i podaje mi małą istotkę. Malec ma ładną fałdkę między piąstką a ramieniem, fałdkę na szyi i od stóp do głów śliczne dołeczki śmieją się na jego różowym ciałku.

Matka pokazuje mi go z dumą.

— Prawda, że bardzo ładny mój chłopczyk? — mówi głosem melodyjnym.

Bierze jego rączkę, przykładą mu ją do usteczek i prowadzi ku mnie drobne, różowe paluszki, mówiąc:

³³Como, wł. *Lago di Como* — duże, malownicze jezioro w pln. Włoszech, na pld. krańcu Alp. [przypis edytorski]

³⁴Plejada — XVI-wieczna grupa poetów francuskich, promująca pisanie w języku narodowym zamiast po łacinie. [przypis edytorski]

³⁵Watteau, Antoine (1718–1768) — francuski malarz, prekursor i czołowy przedstawiciel francuskiego rokoka; twórca nowego gatunku malarskiego *fête galante*, przedstawiającego sceny wytwornych zabaw dworskich. [przypis edytorski]

³⁶szyszak — rodzaj stożkowatego hełmu bez przyłbicy. [przypis edytorski]

³⁷mitenki a. mitynki (z fr.) — damskie rękawiczki bez palców lub kryjące palce tylko do połowy; często jedwabne lub koronkowe, wyszywane itp., sięgające do nadgarstka lub dalej, do łokcia. [przypis edytorski]

³⁸erudycja — rozległe, wszechstronne wykształcenie, odczytanie, wiedza książkowa. [przypis edytorski]

— Dzidzi przesyła panu całusa. Pan jest dobry, pan nie chce, aby małym dzieciom było zimno. Prześlij panu całusa.

I ściskając małą istotkę w objęciach, ucieka ze zwinnością kotki i zagłębia się w korytarzu, który, sądząc po zapachu, prowadzi do jakiejś kuchni.

Wchodzę do siebie.

— Tereso, kto to może być ta młoda matka, którą widziałem z gołą głową na schodach, z ładnym, małym chłopczykiem?

Teresa odpowiada mi, że to pani Coccoz. Patrzę na sufit, jakbym tam szukał objaśnienia. Teresa przypomina mi bladego kolportera, który zeszłego roku przyniósł mi kalendarze, podczas gdy jego żona rodziła.

— A Coccoz? — zapytałem.

Teresa odpowiedziała mi, że nie ujrzę go więcej. Biedny człeczyna został pochowany bez mojej wiedzy i bez wiedzy wielu innych osób, wkrótce po szczęśliwym rozwiązaniu pani Coccoz. Wdowa po nim podobno pocieszyła się; uczyniłem tak jak ona.

— Ależ, Tereso — zapytałem — czy pani Coccoz nie zbywa na czymś na jej poddaszu?

— Już też pan jest naiwny — odrzekła gospodyni — by troszczyć się o tę istotę. Wymówiono jej poddasze, gdyż dach dawno już naprawiony. Ale ona pozostaje tam mimo gospodarza, rządcy, stróża i komornika. I zostanie, proszę pana, tak długo, jak jej się będzie podobało, a wyjedzie stamtąd karetą. Ja to panu mówię.

Teresa pomyślała chwilę i w formie aksjomatu dodała:

— Ładna twarzyczka jest przekleństwem niebios.

Chociaż na pewno wiedziałem, że Teresa nigdy ładna nie była i nawet w młodości pozbawiona była wszelkiego powabu, pokiwałem głową i rzekłem złośliwie:

— He! he! Tereso, słyszałem, że i ty w swoim czasie miałaś nieszpętną twarzyczkę. Nie należy kusić żadnej istoty na świecie, choćby była najświętsza.

Teresa spuściła oczy i rzekła:

— Nie będąc właściwie ładną, podobalam się i gdybym chciała, robiłabym jak inne...

— Któż śmiałyby o tym wątpić? Ale weź, proszę cię, moją łaskę i kapelusz. Poczytam dla rozrywki kilka stron z książki Morieriego³⁹. Jeśli mam wierzyć swemu wężowi starego lisa, będziemy mieli na obiad smaczną pulardkę⁴⁰. Idź, moja droga, otocz staraniem tę złą sztukę drobiu i oszczędzaj bliźnich, aby oni nas oszczędzali, ciebie i twego starego pana.

Co rzekłszy, zająłem się gęstymi odroślami genealogicznego drzewa rodziny książęcej.

7 maja 1863

Przepędziłem zimę przykładnie jak mędrzec *in angello cum libello*⁴¹ i oto jaskółki z quai Malaquais⁴² po powrocie zastają mnie takim mniej więcej, jakim mnie opuściły. Kto mało żyje, mało się zmienia, a prawie nie jest życiem trawienie dni nad starymi tekstami.

Jednak dziś czuję się silniej przejęty tym niewyraźnym smutkiem, który sączy życie. Równowaga mego umysłu (nie śmiem przyznać tego przed samym sobą) zachwiana jest od owej szczególnej chwili, w której dowiedziałem się o istnieniu manuskryptu Jana Toutmouillé.

Dziwne, że z powodu kilku kartek starego pergaminu utraciłem spokój, a jednak to prawda. Biedak bez pożądań posiada największy skarb, posiada sam siebie. Bogacz, który czegoś pragnie, jest nędznym niewolnikiem. Takim niewolnikiem jestem ja. Najmilsze przyjemności, rozmowa z człowiekiem o bystrym i umiarkowanym umyśle, obiad z serdecznym przyjacielem nie pozwalają mi zapomnieć o tym manuskrypcie, którego

³⁹Moréri, Louis (1643–1680) — francuski encyklopedysta, autor jednotomowego dzieła *Le grand Dictionnaire historique, ou le mélange curieux de l'histoire sacrée et profane* (Wielki słownik historyczny czyli antologia historii świętej i świeckiej, 1674), skoncentrowanego na hasłach historycznych i biograficznych, poszerzanego po jego śmierci w kolejnych wydaniach aż do 10 tomów. [przypis edytorski]

⁴⁰pularda — młoda kura, wysterylizowana i specjalnie tuczona dla uzyskania szczególnie delikatnego mięsa. [przypis edytorski]

⁴¹*in angello cum libello* (łac.) — w kąci z książeczką; skrócona parafraza oryginalnie łacińsko-niderlandzkiego zdania przypisywanego Tomaszowi á Kempis: Wszędzie szukałem spokoju i nie znalazłem nigdzie, jak tylko w kąci z książką. [przypis edytorski]

⁴²quai Malaquais (fr.: nabrzeże Malaquais) — paryskie nabrzeże wzdłuż Sekwany, w dzielnicy Saint-Germain-des-Prés. [przypis edytorski]

Uroda

Książka

Bieda

Bogactwo, Pożądanie,
Niewola

brak mi, odkąd wiem, że istnieje. Brakuje mi go w dzień, brakuje mi w nocy, brakuje w radości i smutku, brak mi podczas pracy i podczas odpoczynku.

Przypominam sobie moje pragnienia dziecięce. Jakże dobrze rozumiem dziś wszechwładne zachcianki moich pierwszych lat życia!

Widzę jeszcze ze szczególną wyrazistością lalkę, która, gdy miałem osiem lat, wystawiona była w mizernym kramie na ulicy de Seine. Dlaczego mi się ta lalka spodobała, doprawdy nie wiem. Byłem bardzo dumny z tego, że jestem chłopcem, gardziłem dziewczynkami i z niecierpliwością czekałem chwili (nadeszła, niestety!), w której kolący zarost pojawi mi się na podbródku. Bawiłem się w żołnierzy i celem karmienia konia na biegunach rwałem rośliny, które matka moja hodowała w doniczkach na oknie. To były chyba męskie zabawy! A jednak zapragnąłem lalki. Herkulesi⁴³ miewają takie słabości. Czy lalka, którą pokochałem, była przynajmniej ładna? Wcale nie. Widzę ją jeszcze. Miała czerwoną płamę na każdym policzku, ramiona wiotkie i krótkie, szkaradne, drewniane ręce i długie, szeroko rozstawione nogi. Jej kwiecista spódnica przytrzymywana była w pasie dwiema szpilkami. Widzę jeszcze czarne łebki tych szpilek. Była to lalka nieelegancka, lalka z przedmieścia. Pamiętam doskonale, że choć byłem malcem, który niewiele par spodni zderzeć zdołał, czułem na swój sposób, ale bardzo żywo, że lalka ta nie miała ani wdzięku, ani szyku, że była ordynarna i brutalna. Ale kochałem ją mimo to. Kochałem dlatego właśnie. Kochałem tylko ją. Pożądałem jej. Żołnierze i bębny nie miały już dla mnie żadnej wartości. Już nie karmiłem konia na biegunach gałązkami heliotropu⁴⁴ i rezedy⁴⁵. Lalka ta była dla mnie wszystkim. Aby zmusić Wirginię, moją niańkę, by przeszła ze mną obok sklepu przy ulicy de Seine, wynajdywałem podstępny sposób człowieka dzikiego. Przyciskałem nos do szyby i niania musiała siłą ciągnąć mnie za rękę: „Paniczu, późno już i mama będzie się gniewać”. Panicz niewiele sobie robił wówczas z gniewu lub bicia. Ale niańka unosiła go jak piórko i panicz ustępował przed siłą. Odtąd, z wiekiem, panicz się popsuł i ustępuje ze strachu. Wtedy nie bał się niczego.

Byłem nieszczęśliwy. Niewyrozumowany, lecz nieprzeparty wstyd nie pozwalał mi wyjawiać przed matką, co było przedmiotem mej miłości. Stąd moje cierpienia. Przez kilka dni lalka, zawsze przytomna⁴⁶ w mym umyśle, tańczyła przed moimi oczami, patrzyła na mnie, otwierała mi ramiona, przybierała w mej wyobraźni jakby pozory życia, co czyniło ją jeszcze bardziej tajemniczą i straszną, i tym bardziej drogą i pożądaną. Wreszcie pewnego dnia, dnia, którego nie zapomnę nigdy, niańka zaprowadziła mnie do wuja, do kapitana Wiktora, gdzie byłem zaproszony na śniadanie. Podziwiałem bardzo mego wuja kapitana, zarówno dlatego, że wystrzelił ostatni nabój francuski pod Waterloo⁴⁷, jak i dlatego, że własnoręcznie, u stołu mojej matki, przygotowywał grzanki natarte czosnkiem, które kładł następnie do salaty z cykorii. Uważałem, że to bardzo piękne. Wujaszek Wiktor wzbudzał też we mnie szacunek z powodu swych szamerowanych⁴⁸ kurtek, a także właściwym sobie sposobem przewracania całego domu do góry nogami, gdy się tylko w tym domu ukazał. Dziś jeszcze nie wiem, jak się do tego brał, ale zapewniam, że gdy wuj Wiktor znajdował się w towarzystwie choćby dwudziestu osób, widziało się i słyszało tylko jego jedyne. Mój kochany ojciec, o ile mi się zdaje, nie podzielał mego zachwyty dla wuja Wiktora, który truł go swoją fajką, z przyjaźni wymierzał mu ciosy w kark i oskarżał o brak energii. Matka moja, zachowując dla kapitana pobłażliwość siostry, nieraz jednak prosiła go, aby się mniej poufalił z butelką. Mnie nie obchodziły ani te wady, ani te zarzuty i wuj Wiktor wzbudzał we mnie najczystszy entuzjazm. Toteż

⁴³*Herkules* (mit. rzym.) a. *Herakles* (mit. gr.) — heros, mityczny silacz, słynny z wykonania dwunastu trudnych i niebezpiecznych zadań. [przypis edytorski]

⁴⁴*heliotrop* (bot.) — roślina o drobnych, silnie pachnących kwiatach, której pochodząca z greki nazwa wywodzi się od starożytnego poglądu, że jej kwiaty zawsze obracają się w stronę słońca. [przypis edytorski]

⁴⁵*rezeda* (bot.) — roślina o niewielkich żółtawych lub zielonkawych kwiatach. [przypis edytorski]

⁴⁶*przytomny* (daw.) — obecny (przy czymś, przy jakimś wydarzeniu); trwale pozostający (np. w myślach). [przypis edytorski]

⁴⁷*bitwa pod Waterloo* (18 czerwca 1815) — stoczona na terenie Belgii ostatnia bitwa cesarza Napoleona Bonaparte, w której armia francuska została zniszczona przez koalicyjne wojska angielskie Wellingtona i wojska pruskie Blüchera; w wyniku klęski Napoleon abdykował, co zakończyło okres rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

⁴⁸*szamerowany* — obszyty ozdobnym sznurem. [przypis edytorski]

z uczuciem dumy wchodziłem do jego małego mieszkanka przy ulicy Guénégaud. Całe przygotowane na stoliku śniadanie składało się z wędlin i słodczy.

Kapitan opychał mnie ciastkami i poił czystym winem. Mówił mi o licznych niesprawiedliwościach, których był ofiarą. Narzekał głównie na Burbonów⁴⁹, a że zapomniał powiedzieć mi, kto byli ci Burboni, wyobraziłem sobie, nie wiem dlaczego, że byli to zamieszkali w Waterloo handlarze koni. Kapitan, który przerywał sobie tylko po to, żeby napęlić kieliszki, oskarżał także wielką liczbę smarkaczy, niedołęgów, mataczy, których wcale nie znałem, ale których z całego serca nienawidziłem.

Przy wetach⁵⁰ zdawało mi się, że kapitan wyraził się o mym ojcu jako o człowieku, którego można wodzić za nos; nie jestem jednak pewny, czy dobrze zrozumiałem. Miałem szum w uszach, stolik zdawał się tańczyć mi przed oczami.

Wujaszek włożył swoją szamerowaną kurtkę, kapelusz i zeszedł na ulicę, która wydała mi się dziwnie zmieniona. Miałem wrażenie, że dawno jej nie widziałem. Jednakże gdy doszliśmy do ulicy de Seine, przysłała mi znów na myśl lalka i wywołała we mnie nadzwyczajną egzaltację. Moja głowa płonęła. Postanowiłem wszystko postawić na jedną kartę. Przeszliśmy obok sklepu; lalka stała tam za szybą, ze swymi czerwonymi policzkami, kwiecistą spódnicą i długimi nogami.

— Wujku — rzekłem z wysiłkiem — kup mi tę lalkę.

Czekałem, co z tego wyniknie.

— Kupić chłopcu lalkę, do pioruna! — krzyknął wuj grzmiącym głosem. — Czy chcesz się zhańbić? I to tej Kaśki ci się zachciewa? Winszuję ci, mój chłopcze. Jeśli zachowasz takie gusty i mając lat dwadzieścia, wybierać będziesz lalki takie, jakie wybierasz, mając lat osiem, to niewiele będziesz miał rozkoszy w życiu, uprzedzam cię, i towarzysze okrzyczą cię sławnym głupcem. Zażądaj ode mnie szabli, fuzji, kupię ci to wszystko za ostatniego franka z mej emerytury. Ale kupić ci lalkę, do stu piorunów, aby okryć cię hańbą! Nigdy w życiu! Gdybym widział cię, że bawisz się tak odzianą maskarą, panie synu mojej siostry, nie uznałbym cię za swego siostrzeńca.

Na te słowa serce ścisnęło mi się tak boleśnie, że tylko wstyd, szatański wstyd nie pozwolił mi się rozpłakać.

Wuj, nagle uspokojony, powrócił do swych Burbonów, lecz ja, pod wrażeniem jego oburzenia, doświadczałem niewysłowionego wstydu. Wkrótce postanowienie było powzięte. Przrzekłem sobie nie zhańbić się: stanowczo i na zawsze wyrzekłem się lalki z czerwonymi policzkami. Tego dnia poznałem surową słodycz ofiary.

Kapitanie, chociaż prawdą jest, że za życia kłąłeś do stu diabłów, paliłeś jak szwajcar⁵¹ i piłeś jak stróż, niemniej cześć twojej pamięci, nie tylko dlatego, że byłeś dzielnym zuchem, ale że twemu siostrzeńcowi w krótkich spodenkach dałeś poznać, czym jest bohaterstwo. Pycha i próżniactwo czyniły cię prawie nieznośnym, wuju Wiktorze, lecz wielkie serce biło pod szamerunkiem twojej kurtki. Nosileś zwykle, przypominam sobie, różę w butonierce. Ten kwiat, który tak chętnie podawałeś pannom sklepowym, ten kwiat o szeroko otwartym kielichu, roniący listki w podmuchach wiatru, był symbolem twej młodości, pełnej chwały. Nie gardziłeś ani winem, ani tytoniem, lecz gardziłeś życiem. Od ciebie, kapitanie, nie można było nauczyć się ani rozsądku, ani delikatności, ale mnie, w wieku gdy nianka ucierała mi nos, dałeś lekcję honoru i wyrzeczenia się, której nie zapomnę nigdy!

Od dawna spoczywasz już na cmentarzu Montparnasse⁵² pod skromną płytą z napisem:

TU LEŻY
ARYSTYDES WIKTOR MALDENT
KAPITAN PIECHOTY
KAWALER LEGII HONOROWEJ

⁴⁹Burbonowie — dynastia królów francuskich (w latach 1589–1830, z przerwą spowodowaną Wielką Rewolucją Francuską), panująca też w Hiszpanii oraz w królestwach włoskich. [przypis edytorski]

⁵⁰wety (daw.) — deser. [przypis edytorski]

⁵¹szwajcar (daw.) — odzwiercy, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

⁵²cmentarz Montparnasse — jeden z największych paryskich cmentarzy, zał. w 1824 w dzielnicy Montparnasse, w pld. części miasta. [przypis edytorski]

Ale nie taki napis, kapitanie, przeznaczyleś dla twych starych kości, włóczonych po polach bitew i po miejscach rozpusty. W papierach twych znaleziono ten gorzki i dumny napis grobowy, którego, choć było to twą ostatnią wolą, nie śmiano umieścić na mogile:

TU LEŻY
ROZBÓJNIK ZNAD LOARY⁵³

— Tereso, zaniesiemy jutro wieniec nieśmiertelników⁵⁴ na grób rozbójnika znad Loary.

Ale Teresy tu nie ma. I jakżeż ma być przy mnie, na placu Pól Elizejskich⁵⁵. Tam, na końcu alei, Łuk Triumfalny⁵⁶, pod którego sklepieniem widnieją nazwiska towarzyszy broni wuja Wiktora, roztwiera ma tle nieba swe olbrzymie wrota. Drzewa alei w wiosennym słońcu puszczały pierwsze listeczki, blade jeszcze i zziębłe. Obok mnie powozy mkną do Łasku Bulońskiego⁵⁷. Skierowałem się ku tej eleganckiej alei i oto stoję bez powodu przed kramikiem z piernikami i kruzami⁵⁸ z kokosowych orzechów, zatkanymi cytryną. Mały nędzarz w łachmanach, spod których prześwieca jego opierzchła skóra, patrzy szeroko otwartymi oczami na te wspaniałe łakocie, dla niego niedostępne. Z bezwstydem niewinności zdradza swoją chęć posiadania ich. Okrągłe oczy wlepia w duży piernik wyobrażający generała, piernik podobny nieco do wuja Wiktora. Biorę piernik, płacę i podaję małemu biedakowi, który nie śmie wziąć go do ręki, bo z przedwczesnym doświadczeniem nie wierzy w szczęście. Patrzy z miną, która zdaje się mówić: „Jesteś okrutny, bo naigrawasz się ze mnie”.

— No, weźże, mały głuptasku — mówię doń szorstkim, właściwym mi tonem — bierz i jedz, skoroś szczęśliwszy, niż byłem w twoim wieku; możesz bez zhańbienia się zadowolić swe gusty.

A ty, wuju Wiktorze, ty, którego męskie oblicze przypominał mi ten generał, przyjdź, cieniu pełen chwały, i każ mi zapomnieć o mojej nowej łalce. Jesteśmy wiekuistymi dziećmi i wiecznie gonimy za nowymi igraszkami.

Tęgoż dnia

W nader dziwaczny sposób rodzina Coccoz łączy się w mym umyśle z klerykiem Janem Toutmouillé.

— Tereso — rzekłem, zasiadając w fotelu — powiedz mi, czy mały Coccoz zdrów i czy ma już pierwsze ząbki? Przynieś mi też pantofle.

— Powinien by je mieć, proszę pana — odrzekła Teresa — ale go nie widziałam. W pierwszy piękny dzień wiosenny matka znikła wraz z dzieckiem, pozostawiając meble i przyodziewek. Znalaziono na jej poddaszu trzydzieści osiem pustych słoików od pomady. To przechodzi ludzkie pojęcie! W ostatnich czasach przyjmowała wizyty i może pan być pewny, że nie jest w tej chwili mniszka w klasztorze. Siostrzenica odzwiernej mówiła, że spotykają ją na bulwarach w powozie. Mówiłam przecie, że ona źle skończy!

— Tereso — odrzekłem — ta młoda kobieta nie skończyła ani dobrze, ani źle. Czekaj kresu jej życia, aby ją osądzić. I strzeż się za dużo mówić u odzwiernej. Pani Coccoz, którą widziałem raz na schodach, o ile mi się zdaje, kochała bardzo swoje dziecko. Ta miłość będzie jej policzona.

— Co to, to prawda, proszę pana, małemu na niczym nie zbywało. W całej dzielnicy nie było lepiej żywionego, lepiej ubranego i bardziej wypieszczonego dziecka niż on. Co

⁵³rozbójnicy znad Loary — pogardliwe określenie byłych żołnierzy Napoleona, używane przez monarchistów. Po bitwie pod Waterloo i rozpuszczeniu wojsk napoleońskich przez Sprzymierzonych niektórzy żołnierze, pozabawieni środków do życia, zdobywali je przemocą po wsiach. [przypis edytorski]

⁵⁴nieśmiertelnik (pot.) — kocanka ogrodowa, roślina z rodziny astrowatych, często wykorzystywana do tworzenia suchych bukietów i wiązanek. [przypis edytorski]

⁵⁵Pola Elizejskie, fr. *Champs Élysées* (pot.) — reprezentacyjna aleja Paryża, łącząca plac Zgody z placem Gwiazdy (od 1970: plac Charles'a de Gaulle'a), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

⁵⁶Łuk Triumfalny w Paryżu — pomnik na zach. krańcu Pól Elizejskich, zbudowany dla uczczenia żołnierzy, którzy walczyli i polegali za Francję w czasie wojen okresu rewolucji i wojen napoleońskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego. [przypis edytorski]

⁵⁷Łasek Buloński — rozległy park na zachodnim krańcu Paryża, ulubione miejsce spacerów. [przypis edytorski]

⁵⁸kruża (daw.) — dzban. [przypis edytorski]

dzień kładła mu czysty, biały śliniaczek i śpiewała mu od rana do wieczora piosenki, od których mały zanosił się od śmiechu.

— Tereso, pewien poeta rzekł: „Dziecko, do którego nie śmiała się matka, nie jest godne ani stołu bogów, ani łoża bogini”⁵⁹.

8 lipca 1863

Dowiedziawszy się, że naprawiają posadzkę w kaplicy Najświętszej Panny w Saint-Germain-des-Prés, udałem się do kościoła w nadziei, że znajdę jakieś napisy odsłonięte podczas robót. Nie omyliłem się. Architekt wskazał mi płytę, którą kazał oprzeć o mur. Ukląknęłam, by odczytać napis wyryty na tym głazie, i półgłosem, w cieniu starej absydy⁶⁰, odczytałem te słowa, od których żywiej zabiło mi serce:

Tu leży Jehan Toutmouillé, mnich tego kościoła, który kazał wykonać w srebrze podbródek świętego Wincentego, świętego Amanta oraz nogę Niewiniątek, a który zawsze za żywota swego był dzielny i waleczny. Módlcie się za duszę jego!

Ostrożnie otarłem chusteczką pył, pokrywający tę płytę nagrobną; byłbym ją chętnie ucałował.

— To on, to Jan Toutmouillé! — zawołałem.

I spod sklepień nazwisko to, jakby strzaskane, spadło z hukiem na moją głowę.

Zbliżał się odzwierzy z poważną, milczącą twarzą; zawstydzilem się swego entuzjazmu i uciekłem, wymijając skrzyżowane przede mną świece dwóch dewotek.

Był to jednak bez żadnej wątpliwości mój Jan Toutmouillé; tłumacz *Złotej legendy*, autor żywotów świętego Germana, Wincentego, Ferreola, Ferrucjona i Droktoweusza, był, jak przypuszczałem, mnichem z Saint-Germain-des-Prés. I co za dobry mnich, pobożny i szczodry! Kazał zrobić podbródek srebrny, głowę srebrną, nogę srebrną, ażeby drogieńskie szczątki pokryte były niezniszczalną powłoką! Ale czy poznam kiedy jego dzieło, czy też to nowe odkrycie powiększy tylko mój żal?

20 sierpnia 1869

„Ja, który podobam się niektórym, a doświadczam wszystkich, radość dobrych, a strach złych; ja, co tworzę i niszczę błąd, rozwijam skrzydła do lotu. Nie poczytajcie mi za winę, jeśli w szybkim mym locie prześliznę się przez lata”⁶¹.

Któż tak przemawia? To starzec, którego znam zbyt dobrze, to Czas.

Szekspir, ukończywszy trzeci akt *Opowieści zimowej*, zatrzymuje akcję, by małej Perdycie dać czas dorosnąć w mądrości i krasie⁶², a gdy na nowo otwiera scenę, wzywa legendarnego Kosiarza, by zdał widzom sprawę z długich dni, które zaciążyły nad głową zazdrosnego Leontesa.

Jak Szekspir w swej komedii pozostawiłem w tym dzienniku długą przerwę niepamięci i za przykładem poety wprowadzam Czas, by wytłumaczyć opuszczenie lat sześciu. Istotnie, oto sześć lat, jak nie napisałem ani jednego słowa w tym zeszycie, a biorąc znów za pióro, nie mam, niestety, do opisania żadnej Perdity „wzrosłej we wdzięki”. Młodość i piękność są wiernymi towarzyszami poetów. Nas, zwykłych śmiertelników, zaledwie na krótko nawiedzają cudne te mary⁶³. Nie umiemy ich zatrzymać. Gdyby cień jakiejś Perdity chciał przez niepojęty kaprys przemknąć przez mój mózg, zderzyłby się tam boleśnie ze stosem pokurczonych pergaminów... Szczęśliwi poeci! Ich siwe włosy nie płoszą lotnych

⁵⁹Dziecko, do którego nie śmiała się matka, nie jest godne ani stołu bogów, ani łoża bogini — Wergiliusz, *Bukoliki* IV 62–63; w oryginale łac.: „do którego nie śmiali się rodzice”, dwa wersy wcześniej: „zaczynij, chłopcze, poznawać matkę po uśmiechu”. [przypis edytorski]

⁶⁰absyda a. apsyda (archit.) — półkoliste lub wieloboczne pomieszczenie dostawione do bryły świątyni i otwarte do jej wnętrza, zwykle zamykające prezbiterium, niekiedy nawę. [przypis edytorski]

⁶¹Ja, który podobam się niektórym, a doświadczam wszystkich... — Szekspir, *Opowieść zimowa*, akt IV, scena 1 (kwestia Czasu, odgrywanego przez chór). [przypis edytorski]

⁶²krasa (daw.) — piękno. [przypis edytorski]

⁶³mara — duch, zjawia. [przypis edytorski]

cieni Heleny, Franciszki, Julii, Dorotei⁶⁴! A sam tylko nos Sylwestra Bonnard zmusiłby do ucieczki cały rój sławnych kochanek.

A jednak jak inni odczułem piękno, jak inni doświadczyłem tajemniczego czaru, jaki niepojęta natura zlała na żywe kształty; żywa istota przejęła mnie dreszczem, który urabia kochanków i poetów. Ale nie umiałem ani kochać, ani śpiewać. W duszy mej, zapelnionej zbiorowiskiem starych tekstów i starych formuł, odnajduję, niby miniaturę na strychu, jasną twarzyczkę z dwojgiem oczu jak niezabudki⁶⁵... Bonnard, mój przyjacielu, jesteś stary szaleniec. Czytaj oto katalog, który przysłał ci dziś rano księgarz z Florencji. Jest to katalog manuskryptów i obiecuje ci on opis kilku ciekawych okazów, przechowanych przez amatorów we Włoszech i Sycylii⁶⁶. Oto, co stosowne jest dla ciebie i pasuje do twej powierzchowności.

Czytam i wydaję głośny okrzyk. Hamilkar, który z wiekiem przybrał onieśmielającą mnie powagę, patrzy na mnie z wyrzutem i zdaje się pytać, czy spokój jest z tego świata, skoro nie może zakosztować go przy mnie, który jestem stary jak on.

Uradowany tym nowym odkryciem potrzebuję powiernika i zwracam się do spokojnego Hamilkara z całą wylewnością uczuć człowieka szczęśliwego.

— Nie, Hamilkarze, nie, spokój nie jest z tego świata, a cisza, do której wzdychasz, nie da się pogodzić z trudami życia. I któż ci powiada, że jesteśmy starzy? Posłuchaj, co czytam w swym katalogu, i powiedz potem, czy jest czas na spoczynek.

Złota legenda Jakuba de Voragine; tłumaczenie francuskie z XIV wieku przez kleryka Jana Toutmouillé.

Wspaniały manuskrypt, ozdobiony dwiema miniaturami, znakomicie wykonanymi i doskonale zachowanymi. Przedstawiają: jedna — *Oczyszczenie Najświętszej Panny*, druga — *Koronowanie Prozerpiny*.

W dalszym ciągu *Złotej legendy* znajdują się legendy świętych Ferreola, Ferrucjona, Germana i Droktoweusza, XXVIII stronic, i *Cudowne pogrzebanie imci świętego Germana z Auxerre*, XII stron.

Ten cenny manuskrypt, należący ongi do zbioru sir Tomasza Raleigha, jest obecnie zachowany w zbiorach pana Michała Anioła Polizzi z Girgenti⁶⁷.

— Słyszysz, Hamilkarze? Manuskrypt Jana Toutmouillé jest na Sycylii u Michała Anioła Polizzi! Oby człowiek ten był życzliwy dla uczonych! Napiszę do niego.

Co też uczyniłem natychmiast. W liście moim prosiłem signora⁶⁸ Polizzi, by przesłał mi manuskrypt kleryka Toutmouillé i dodałem, z jakiego tytułu śmiem uważać się za godnego tej łaski. Jednocześnie oddawałem do jego rozporządzenia kilka tekstów, uniikatów, które posiadam i które nie są pozbawione wartości.

Błagałem go, by zaszczylił mnie szybką odpowiedzią i podpisałem pod nazwiskiem wszystkie moje tytuły i odznaczenia.

— Panie! Panie! Dokąd pan tak biegnie? — krzyczała wystraszona Teresa, po cztery schody skacząc w pogoni za mną, z moim kapeluszem w ręku.

— Idę wrzucić list do skrzynki, Tereso.

— Wielki Boże! Jakżeż można pędzić tak z gołą głową jak wariat.

— Jestem wariat, Tereso. Lecz któż nim nie jest? Daj mi prędko kapelusz.

— I rękawiczki, proszę pana, i parasol!

Byłem na dole, a jeszcze słyszałem jej krzyk i biadanie.

10 października 1869

⁶⁴*Helena, Francesca, Julia, Dorotea* — kochanki znane z literatury: *Helena*, kochanka księcia Troi Parysa, uwieczniona przez Homera w *Iliadzie*; *Francesca da Rimini*, kochanka swojego szwagra Paola Malatesty, występująca w *Boskiej komedii* Dantego; *Julia*, ukochana Romea, bohaterka tragedii Szekspira; *Dorotea*: być może postać z powieści *Don Kichot z La Manchy* Cervantesa (w polskim tłumaczeniu: Dorota). [przypis edytorski]

⁶⁵*niezabudka* (reg.) — niezapominajka, roślina o drobnych niebieskich kwiatach. [przypis edytorski]

⁶⁶*we Włoszech i Sycylii* — tzn. na Płw. Apenińskim i na Sycylii; użyte w oryginale *Italie* oznacza we francuskim zarówno Italię (kraj historyczny i geograficzny), jak i państwo Włochy (obejmujące również dwie duże wyspy: Sycylię i Sardinie). [przypis edytorski]

⁶⁷*Girgenti* — ob. Agrigento, miasto na pld. wybrzeżu Sycylii; zał. w 582 p.n.e. jako grecka kolonia Akragas, zdobyte w 210 p.n.e. przez Rzymian i przemianowane na Agrigentum. [przypis edytorski]

⁶⁸*signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

Na odpowiedź signora Michała Polizzi czekałem ze źle ukrywaną niecierpliwością. Nie mogłem usiedzieć na miejscu, wykonywałem gwałtowne ruchy; hałaśliwie zamykałem i otwierałem książki, raz zdarzyło mi się przewrócić tom Morieriego. Hamilkar, zajęty lizaniem się, zatrzymał się w tej czynności z podniesioną nad uchem łapą i spojrzał na mnie gniewnym okiem. Czyż takiego burzliwego życia spodziewał się pod moim dachem? Czyż nie zgodziliśmy się milcząco na to, że spokojne istnienie wieść tu będziemy? Złamałem umowę.

— Biedny mój towarzyszu — rzekłem — jestem ofiarą gwałtownej namiętności, która niepokoi mnie i nade mną przewodzi. Namiętność jest wrogiem spokoju, ale bez niej nie byłoby na świecie ani sztuki, ani przemysłu. Wszyscy drzemaliby na kupie śmieci, a ty, Hamilkarze, nie spałbyś przez cały dzień na jedwabnej poduszce w grodzie ksiąg.

Nie tłumaczyłem dłużej Hamilkarowi teorii namiętności, gdyż gospodyni moja przyniosła mi list. List nosił stempel z Neapolu⁶⁹ i brzmiał:

Dostojny Panie!

Posiadam istotnie ów niezrównany manuskrypt *Złotej legendy*, który nie uszedł Pańskiej światłej baczości. Powody pierwszorzędnej wagi wszechwładnie i tyranicznie sprzeciwiają się temu, bym choć na jeden dzień, choć na chwilę jedną mógł się go pozbawić. Ale rad i dumny będę pokazać go w moim skromnym domu w Girgenti, gdy ozdobisz go Pan i uświetnisz swą obecnością. W niecierpliwym oczekiwaniu pańskiego przybycia śmiem kreślić się Pana Akademika pokornym i oddanym sługą.

Michel Angelo Polizzi
archeolog i handlarz win,

Girgenti (Sycylia)

A więc dobrze! Pojadę na Sycylię:

*Extremum hunc, Arethusa, mihi, concede laborem*⁷⁰.

25 października 1869

Postanowienie moje powyższe i zarządzenia wydane; pozostaje mi tylko uprzedzić moją gospodynię. Przysnaję, że długo wahałem się zawiadomić ją o moim wyjeździe. Obawiałem się jej uwag, szyderstw, zaklęć, łez. „To pocziwa dziewczyna — mówiłem sobie — jest do mnie przywiązana; będzie chciała mnie zatrzymać, a Bogu wiadomo, że gdy czego chce, nie żałuje ani słów, ani gestów, ani krzyków. W tej okoliczności wezwie na pomoc odźwierną, posługaczkę, frotera⁷¹ i siedmiu synów owocarki, pokłękają wszyscy w kółko u mych nóg, zaczną płakać i będą tak szpetni, że ustąpię im, aby tylko na nich nie patrzeć”.

Takie to straszne obrazy, takie majaczenia chorego wywoływał strach w mej wyobraźni. Tak, strach, płodny strach, jak mówi poeta, rodził te potworności w moim mózgu. Bo, przysnaję to na tych kartkach, boję się swojej gospodyni. Wiem, iż ona wie, że jestem słaby, i to odejmuje mi odwagę niezbędną w walce. A walki te są częste i niezmiennie ja w nich ulegam.

Trzeba jednak będzie zawiadomić Teresę o moim wyjeździe. Weszła właśnie do mojej biblioteki z naręczem drzewa, ażeby napalić na kominku „odrobinę”, jak mówiła, bo ranki są chłodne. Obserwowałem ją spod oka, podczas gdy przykucnęła i głowę wsunęła pod

⁶⁹List nosił stempel z Neapolu — mimo że nadawca mieszkał na Sycylii; minęło zaledwie kilka lat od zjednoczenia Włoch w jedno państwo (1861), wcześniej północna i środkowa część Płw. Apenińskiego była podzielona pomiędzy kilka królestw i księstw włoskich oraz Państwo Kościelne, zaś południowa wraz z Sycylią stanowiła Królestwo Obojga Sycylii, ze stolicą w Neapolu. [przypis edytorski]

⁷⁰*Extremum hunc, Arethusa...* (łac.) — Tego ostatniego, Aretuzo, dzieła pozwól mi dokonać (Wergiliusz, *Bukoliki* X 1; jest to pierwszy wers ostatniego utworu w zbiorze); *Aretuza* (mit. gr.): nimfa źródła w hist. centrum miasta Syrakuzy na Sycylii. [przypis edytorski]

⁷¹froter — człowiek zajmujący się zawodowo froterowaniem, polerowaniem wypastowanych podłóg. [przypis edytorski]

okap komina. Nie wiem, skąd mi się wzięła odwaga, ale nie zawahałem się ani chwili. Wstałem i chodząc wzdłuż i wszerz po pokoju:

— Ale, ale — rzekłem tonem swobodnym, z zuchowatością właściwą tchórzom — wyjeżdżam na Sycylię, Tereso.

Rzekłszy to, czekałem, bardzo niespokojny. Teresa nie odpowiadała. Głowa jej i wielki czepiec tkwiły w kominie i nic w jej osobie nie zdradzało wzruszenia. Podkładała łuczywo⁷² pod polana, to wszystko.

Wreszcie ujrzałem znów jej twarz; była spokojna, tak spokojna, że mnie to wzburzyło.

„Doprawdy — pomyślałem — ta stara panna nie ma odrobiny serca. Pozwala mi wyjeżdżać i żeby choć się zdziwiła lub zmartwiła. Czyż nieobecność jej starego pana tak zupełnie nic dla niej nie znaczy?”

— Niech pan idzie — odrzekła w końcu — ale proszę, żeby pan o szóstej wrócił. Mamy dziś na obiad potrawę, która czekać nie może.

Neapol, 10 listopada 1869

*Co tra calle vive, magne e lave a faccia*⁷³.

Rozumiem, mój przyjacielu, mogę za trzy centymy jeść, pić i umyć sobie twarz, a wszystko tymi kawałkami kawonów⁷⁴, które rozłożyłeś na swym małym stolyczku. Ale zachodnie przesady nie pozwoliłyby mi z pełnym zaufaniem zakosztować tak prostych rozkoszy. I jakże wysysałbym kawony? Mam aż nadto kłopotów z utrzymaniem się na nogach w tym tłumie. Co za gwarna i świetlista noc w Santa Lucia⁷⁵! Stosy owoców piętrzą się w kramach, oświetlonych różnokolorowymi latarkami. Na piecykach, rozpalonych na wolnym powietrzu, woda paruje w kotłach i tłuszcz skwierczy na patelniach. Zapach smażonych ryb i ciepłego mięsiwa lechce mi nos i zmusza do kichania. Oto spostrzegam, że moja chustka do nosa porzuciła kieszeń mojego surduta. Jestem popychany, unoszony, wykręcany we wszystkich kierunkach przez lud najweselszy, najgadatliwszy, najżywszy i najzwinniejszy, jaki sobie wyobrazić można, i właśnie oto młoda gospoia, której wspaniałe, czarne włosy podziwiam, ruchem sprężystego i potężnego ramienia odsyła mnie, bez szwanku dla mojej osoby, trzy kroki w tył, w ramiona jakiegoś zjadacza makaronów, który przyjmuje mnie z uśmiechem.

Jestem w Neapolu. Jak się tu znalazłem, z resztkami zniekształconych i nadwątłych kuferków, powiedzieć nie mogę z tej prostej przyczyny, że sam nie wiem. Podróżowałem w nieustannym niepokoju i zmieszaniu i pewien jestem, że w tym jasnym mieście miałem minę sowy na słońcu. Tej nocy jeszcze gorzej! Chcąc zastosować się do ludowych zwyczajów, poszedłem na Strada di Porto⁷⁶, gdzie się obecnie znajduję. Wkoło mnie ożywione grupy tłoczą się przed sklepami z wiktuałami, a ja kołyszę się jak rozbitek zgodnie z wolą tych żywych fal, które zatapiając, jeszcze pieścą. Bo ten lud neapolitański ma w swej żywości coś nieokreślenie słodkiego i pieszczotliwego. Nie jestem popychany, lecz kołysany, i zdaje mi się, że kołysząc mnie to tu, to tam, ludzie ci w końcu mnie utopia. Depcząc po płytach z lawy na Strada, podziwiam tych tragarzy i rybaków, którzy chodzą, mówią, śpiewają, palą, gestykują, kłócą się i całują z zadziwiającą szybkością. Żyją wszystkimi zmysłami jednocześnie, bezwiedni mędracy, przystosowują swe pragnienia do krótkości życia. Zbliżyłem się do bardzo uczęszczanej gospody i odczytałem nade drzwiami ten czterowiersz w narzeczu neapolitańskim:

*Amice, alliegge magnammo e bevimmo,
Nfin che n'ce stace moglio a la lucerna;
Chi sa s'a l'autro munno nc'e vedimmo?*

⁷²łuczywo — kawałek smolnego drzewa, używany do oświetlania lub na rozpalkę. [przypis edytorski]

⁷³*Co tra calle vive, magne e lave a faccia* (wł. dial.) — za trzy calle jedzenie, picie i mycie twarzy; *callo* (*cavallo*): dawna drobna moneta Królestwa Obojga Sycylii, obejmującego pld. Italię i Sycylię, w 1861 włączonego do zjednoczonego Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

⁷⁴kawon — arbuz. [przypis edytorski]

⁷⁵*Santa Lucia* — tu: hist. dzielnica Neapolu we Włoszech, położona na wybrzeżu, nazwana od parafialnego kościoła Santa Lucia a Mare (św. Łucji nad morzem). [przypis edytorski]

⁷⁶*Strada di Porto* (wł.: ulica Portowa) — daw. ulica w Neapolu, zastąpiona przez ob. Via Agostino Depretis. [przypis edytorski]

Chi sa s'a l'autro munno nc'e taverna?
Wesoło jedzmy i pijmy, przyjaciele,
Póki w lampie jest oliwa;
Kto wie, czy na tamtym świecie się spotkamy?
Kto wie, czy na tamtym świecie szynkownię znajdziemy?

Horacy⁷⁷ dawał podobne rady swoim przyjaciołom. Takie rady otrzymałeś, Postumusie, takie słyszałaś ty, Leukonoe⁷⁸, piękna buntownico, która pragnęłaś poznać tajemnice przyszłości. Przyszłość ta jest teraz przeszłością i my ją znamy. Doprawdy nie miałaś powodu troszczyć się o taką drobnostkę i zaiste przyjaciel twój okazał się człowiekiem rozumnym, doradzając ci, byś była cnotliwa i spokojnie sączyła swe greckie wina. *Sapias, vina liques*⁷⁹. Tak oto piękna ziemia i czyste, jasne niebo usposabiają do cichych rozkoszy. Ale są dusze trapiione wzniosłym niezadowoleniem; dusze najszlachetniejsze. Tyś była jedną z nich, Leukonoe; i u schyłku życia przybywszy do miasta, gdzie błyszczała twa uroda, z szacunkiem witam twój smętny cień. Dusze podobne do twojej w chrześcijaństwie były duszami świętych i cuda ich wypełniają *Złotą legendę*. Twój przyjaciel Horacy zostawił mniej szlachetne potomstwo. Jego wnuka widzę w osobie tego szynkarza-poety, rozlewającego wino w szklanki pod swym epikurejskim⁸⁰ szyldem. A jednak życie przyznaje słuszość staremu Flakkusowi i jego filozofia jest jedyna, która godzi się z biegiem rzeczy. Spójrzycie na tego zucha, opartego o winem obrosłą kratę, jak smacznie zajada lody, spoglądając na gwiazdy. Nie schyliłby się po stary manuskrypt, którego ja z takim trudem będę poszukiwać. I doprawdy człowiek stworzony jest raczej do spożywania lodów niż do odszukiwania starych tekstów.

Błądziłem dalej wśród tego pijącego i śpiewającego tłumu. Spotykałem zakochanych, którzy trzymali się wół i zębami gryzli razem piękne, soczyste owoce. Człowiek musi chyba być zły z przyrodzenia, bo cała ta obca radość smuciła mnie głęboko. Tłum ten okazywał upodobanie do życia tak naiwne, że poczułem się przykro dotknięty w swej skromności i wstydlivosti starego pismaka. Byłem w bardzo złym humorze, gdy kilka słów, wyrzeczonych za mną, kazało mi nastawić uszu.

— Ten staruszek na pewno jest Francuzem, Dymitrze. Aż mi żal patrzeć, jaki jest zmieszany. Nie chciałbyś z nim pomówić? Ma takie pocziwe, przygarbione plecy, nie uważasz?

Wyrzekł to po francusku głos kobiety. Było mi w pierwszej chwili nieco przykro usłyszeć, że nazwano mnie staruszką. Czyż jest się staruszką, mając lat sześćdziesiąt dwa? Któregoś dnia, na moście des Arts⁸¹, kolega mój Perrot d'Avrignac winszował mi mojej młodości, a on zapewne lepiej się zna na latach niż ta czeczotka⁸² szczebiocąca za moimi plecami (jeśli czeczotki śpiewają w nocy). Przygarbione plecy, powiada. Ach, ach, podejrzewałem trochę, że tak jest, ale teraz już temu nie wierzę. Zdanie czeczotki! Oczywiście nie odwróć głowy, żeby zobaczyć, kto mówił, ale jestem pewny, że mówiła to ładna kobieta. Dlaczego?

Dlatego, że tylko głos kobiet, które były lub są piękne, które podobają się lub się podobają, może mieć takie bogactwo miłych intonacji, ów dźwięk srebrzysty, który jeszcze nie jest śmiechem. Z ust kobiety brzydkiej wyjdzie może słowo słodsze, bardziej melodyjne, ale z pewnością ani tak żywe, ani tak szczebiotliwe.

Radość, Starość

⁷⁷Horacy, właśc. *Quintus Horatius Flaccus* (65–8 p.n.e.) — wybitny rzymski poeta liryczny, autor liryk, satyr i listów. [przypis edytorski]

⁷⁸*Postumus, Leukonoe* — osoby, do których zwraca się Horacy w swoich wierszach ze zbioru *Pieśni*, zachęcając do korzystania z przemijającego życia: pieśń II, 14 (*Eheu fugaces, Postume, Postume...*) oraz pieśń I, 11 (*Tu ne quiesieris, scire nefas...*). [przypis edytorski]

⁷⁹*Sapias, vina liques* (łac.) — Być mądrą i wino sycić pamiętaj (Horacy, *Pieśni* I, 11; tłum. Marceli Motty; w oryg.: cedzić, klarować). [przypis edytorski]

⁸⁰*epikurejski* — taki jak w filozofii Epikura (341–270 p.n.e.), dla którego najważniejsze było szczęście, upatrywane w przyjemności, korzystaniu z życia. [przypis edytorski]

⁸¹*most des Arts* — paryski most dla pieszych, łączący Instytut Francji z Luwrem; zbudowany 1804, stanowił pierwszy stalowy most w Paryżu, z powodu uszkodzeń został w 1977 zamknięty, a następnie w 1984 zastąpiony nową konstrukcją. [przypis edytorski]

⁸²*czeczotka* — ptak z rodziny wróblowatych, o charakterystycznej czerwonej plamie na głowie. [przypis edytorski]

Myśli te w ciągu jednej sekundy ułożyły się w moim umyśle i natychmiast, aby uciec przed dwojgiem nieznajomych, rzuciłem się w najgęstszy tłum neapolitański i wszedłem w krętę *vicoletto*⁸³, oświetlone tylko jedną lampą płonąca w niszy przed Madonną. Tu, zastanowiwszy się swobodnie, zrozumiałem, że ta ładna kobieta (z pewnością była ładna) okazywała względem mnie życzliwość zasługującą na wdzięczność.

„Ten staruszek na pewno jest Francuzem, Dymitrze. Aż mi żal patrzeć, jaki jest zmieszany! Nie chciałbyś z nim pomówić?... Ma takie pocziwe, przygarbione plecy. Nie uważasz?” Usłyszawszy te uprzejme słowa, nie powinienem był uciec tak nagle. Należało raczej grzecznie przystąpić do tej pani o miłym głosie, skłonić się przed nią i przemówić w te słowa: „Szanowna pani, mimowolnie usłyszałem, co pani mówiła. Chciała pani wyświadczyć przysługę biednemu starcowi. To już się stało, łaskawa pani, sam dźwięk francuskiej mowy sprawia mi przyjemność, za którą pani dziękuję”. Bez wątpienia powinienem był wyrzec te lub inne podobne słowa. Jest prawdopodobnie Francuzką, gdyż wymowa jej jest francuska. Głos pań francuskich jest najprzyjemniejszy na świecie. Cudzoziemcy doświadczyć tego czaru tak samo jak my. Filip de Bergame⁸⁴ w 1483 roku powiedział o Joannie d’Arc⁸⁵: „Mowa jej była słodka jak w ogóle mowa kobiet jej ojczyzny”. Towarzysz, do którego mówiła, nazywa się Dymitr. Bez wątpienia jest Rosjaninem. Są to ludzie bogaci, z nudów podróżują po świecie. Trzeba żałować bogaczy: dostatki ich otaczają, ale oni nie czują ich w sobie: w wewnętrznej swej istocie są biedni, obdarci. Oplakana jest nędza ludzi bogatych.

Na końcu tych rozmyślań znalazłem się w zaułku — mówiąc po neapolitańsku — w *sotto portico*, ciągnącym się pod szeregiem licznych arkad i tak wysuniętych balkonów, że żadne światło z nieba tu nie dochodziło. Według wszelkiego prawdopodobieństwa — zablądziłem i byłem skazany na szukanie drogi przez całą noc. Aby o nią rozpytać, musiałbym spotkać twarz ludzką, a zwątpiłem, czy uda mi się ujrzeć choć jedną. Zrozpaczony wszedłem na chyblił trafił w jakąś uliczkę, a właściwie w podejrzaną, niezbyt bezpieczny zaułek. Tak przynajmniej wyglądał i tak było w istocie, bo zaledwie zapuściłem się weń dalej, ujrzałem dwóch ludzi zapamiętałe walczących na noże. Szermierka słowna była jeszcze gwałtowniejsza od szermierki na ostrza, a po obelgach, które sobie wzajemnie ciskali, poznałem, że byli to dwaj rywale. Przezornie skrzyłem w sąsiednią uliczkę, podczas gdy dzielni zapaśnicy dalej zajmowali się swoją sprawą, bynajmniej nie troszcząc się o mnie. Szedłem jeszcze czas jakiś na los szczęścia, a w końcu zniechęcony usiadłem na kamiennej ławce, biadając, że tak nierozważnie uciekłem od Dymitra i jego towarzyszy o wdzięcznym głosie.

— Dobry wieczór, *signor*. Czy wraca pan z San Carlo⁸⁶? Słyszał pan *divę*⁸⁷? Tylko w Neapolu śpiewają tak, jak ona śpiewa.

Podniosłem głowę i poznałem swego gospodarza. Siedziałem pod fasadą swego hotelu, pod moim własnym oknem.

Monte Allegro, 30 listopada 1869

Odpoczywaliśmy, ja, przewodnicy moi i ich muły, na drodze z Sciacca do Girgenti, w oberży ubogiej wioski Monte Allegro, której mieszkańcy, trawieni malarią, drżą z zimna na słońcu. Ale wciąż jeszcze są Grekami i ich wesołość opiera się wszystkiemu. Kilku z nich z uśmiechniętą ciekawością otoczyło oberżę. Bajka, gdybym umiał ją opowiedzieć, kazałaby im zapomnieć o bólach życia. Wyglądali inteligentnie, a kobiety, choć ogorzałe i zwiędłe, z wdziękiem nosiły długie, czarne płaszcze.

Widziałem przed sobą zzarta wichrem morskim ruiny, których nie porasta nawet trawa. Przygnębiający smutek pustyni leży na tej spiekłej ziemi, której spękane łono rodzi

⁸³*vicoletto* (wł.) — uliczka. [przypis edytorski]

⁸⁴Filip de Bergame, właśc. *Jacopo Filippo Foresti* — włoski mnich, historyk i kronikarz, autor wielokrotnie wznawianego dzieła *Supplementum chronicorum orbis* (1483). [przypis edytorski]

⁸⁵*Joanna d’Arc* (1412–1431) — bohaterka narodowa Francji; podczas wojny stuletniej z Anglią poprowadziła armię francuską do kilku ważnych zwycięstw, twierdząc, że działa kierowana przez Boga; zginęła spalona na stosie. [przypis edytorski]

⁸⁶*San Carlo*, właśc. *Teatro di San Carlo* — teatr operowy w Neapolu, najstarsza na świecie nieprzerwanie działająca placówka operowa (od 1737). [przypis edytorski]

⁸⁷*diva* (wł.), pol. *diwa* — gwiazda sceny, słynna śpiewaczka, aktorka lub tancerka. [przypis edytorski]

zaledwie kilka wątłych mimoz⁸⁸, kaktusów i karłowatych palm. O dwadzieścia kroków ode mnie, wzdłuż parowu, jak kości szkieletów bieleły kamyki. Przewodnik objaśnił, że jest to strumyk.

Byłem na Sycylii od dwu tygodni. Przybywszy do zatoki, otwierającej się między dwiema potężnymi, stromymi skałami Pellegrino i Catalfano⁸⁹ i wrzynającej się w wybrzeże Conca d'Oro, pełne mirtów⁹⁰ i drzew pomarańczowych, doświadczyłem tak niewysłowionego zachwytu, że postanowiłem zwiedzić tę wyspę, tak uszlachetnioną wspomnieniami, tak piękną liniami swych wzgórz. Stary pielgrzym, osiwiwały na barbarzyńskim Zachodzie, ośmieliłem się na wędrówkę po tej ziemi klasycznej; umówiwszy się z przewodnikiem, udałem się z Palermo do Trapani, z Trapani do Selinonte, z Selinonte do Sciacca, które opuściłem dziś rano, aby udać się do Girgenti, gdzie mam znaleźć manuskrypt Jana Toutmouillé. Piękne okolice, które widziałem, są tak żywe w moim umyśle, że opisywać je uważam za trud zbyt ciężki. Po co psuć sobie podróż zbieraniem notatek? Bardzo zakochani kochankowie nie opisują swego szczęścia.

Miłość, Szczęście

Cały zatopiony w smętku teraźniejszości i poezji przeszłości, z sercem pełnym cudnych obrazów, z oczami pełnymi czystych, harmonijnych linii, z wolna zapijałem ożywczą rosę ognistego wina w oberży Monte Allegro, gdy ujrzałem piękną, młodą kobietę, w słomkowym kapeluszu i fularowej⁹¹, piaskowego koloru sukni. Miała ciemne włosy, oczy czarne i błyszczące. Po ruchach poznałem, że to paryżanka. Weszła do izby i usiadła. Gospodarz postawił przed nią szklankę zimnej wody i bukiet róż. Wstałem, gdy weszła, i przez dyskrecję usunąłem się od stołu, udając, że z wielkim zaciekawieniem oglądam święte obrazki, rozwieszane na ścianach. Bardzo dobrze spostrzegłem wtedy, że widząc mnie z tyłu, zrobiła niedostrzegalny prawie gest zdziwienia. Podeszedłem do okna i patrzyłem na różnobarwnie malowane wózki na kamienistej drodze, wysadzonej kaktusami i opuncjami⁹².

Podczas gdy młoda kobieta piła zimną wodę, patrzyłem na niebo. Pić świeżą, zimną wodę i oddychać światłością dnia jest na Sycylii niewysłowioną rozkoszą. Szeptalem w myśli wiersz poety ateńskiego:

O święta jasności, oko dnia złotego...⁹³

Tymczasem moja Francuzka obserwowała mnie ze szczególną ciekawością i choć starałem się nie patrzeć w tę stronę więcej niż wypada, czułem na sobie jej oczy. Mam widocznie dar przeczuwania spojrzeń skierowanych na mnie, a niespotykających się z moim spojrzeniem. Wielu osobom zdaje się, że także posiadają ową tajemniczą zdolność, ale w rzeczywistości nie ma w tym tajemnicy, jesteśmy po prostu uprzedzeni znakiem tak lekkim, że wymyka się spod naszej uwagi. Być może, że widziałem piękne oczy tej pani odbite w szybach okna. Odwróciłem się — spojrzenia nasze się spotkały.

Czarna kura dziobała po źle zamiecionej podłodze.

— Chcesz chleba, czarownico — rzekła młoda kobieta, zrzucając pozostałe na stole okruszynki.

Poznałem głos, który słyszałem owej nocy w Santa Lucia.

— Przepraszam panią — rzekłem natychmiast. — Nie jestem pani znany, ale spełnić muszę obowiązek, dziękując pani za życzliwość okazaną staremu ziomkowi, który błędził wieczorną porą po ulicach Neapolu.

— Pan mnie poznaje — odrzekła — ja poznaję pana również.

— Po moich plecach, szanowna pani.

⁸⁸mimosa (bot.) — rodzaj tropikalnych i subtropikalnych roślin z rodziny bobowatych, w którym najbardziej znana jest mimosa wstydliwa, wyróżniająca się wrażliwością na dotyk. [przypis edytorski]

⁸⁹Monte Pellegrino i Monte Catalfano — wzgórza w zach. Sycylii, na krańcach zatoki, nad którą leży miasto Palermo. [przypis edytorski]

⁹⁰mirt (bot.) — krzew śródziemnomorski o wonnych liściach. [przypis edytorski]

⁹¹fularowy — wykonany z fularu, miękkiej, delikatnej tkaniny jedwabnej. [przypis edytorski]

⁹²opuncja (bot.) — roślina z rodziny kaktusowatych; tu: opuncja figowa, gatunek opuncji o jadalnych owocach, pochodzący z Meksyku, zadowolony na innych kontynentach, zwłaszcza w basenie Morza Śródziemnego. [przypis edytorski]

⁹³O święta jasności, oko dnia złotego... — Sofokles *Antyгона* (pierwsza pieśń Chóru). [przypis edytorski]

— Ach! Pan słyszał, jak mówiłam do męża, że ma pan pocziwe plecy? To nie powinno być dla pana nieprzyjemne. Bardzo by mi było przykro, gdyby pan to inaczej zrozumiał.

— Przeciwnie, pochlebiła mi pani. I uwaga pani, przynajmniej w zasadzie, wydaje mi się słuszna i głęboka. Charakter postaci zawiera się nie tylko w rysach twarzy. Są ręce sprytne i ręce bezbarwne. Mogą być kolana obłudne, łokcie samolubne, ramiona aroganckie i pocziwe plecy.

— To prawda — odrzekła. — Ale poznaję pana i po twarzy. Spotkaliśmy się już poprzednio, we Włoszech czy gdzie indziej, już nie pamiętam. Książę i ja dużo podróżujemy.

— Nie sędzę, bym miał szczęście kiedykolwiek spotkać panią — odrzekłem. — Jestem starym samotnikiem. Strawiłem życie nad księgami i bardzo mało podróżowałem. Widziała to pani po moim zakłopotaniu, które wzbudziło w pani litość. Żałuję, że wiodłem życie tak odosobnione i osiadłe. Bez wątpienia można się dowiedzieć czegoś z książek, ale daleko więcej nauczyć się można, jeżdżąc po świecie.

— Pan jest z Paryża?

— Tak jest. Od czterdziestu lat mieszkam w tym samym domu i mało zeń wychodzę. Ale dom ten położony jest na brzegu Sekwany, w miejscu najznamienitszym i najpiękniejszym na świecie. Widzę z mego okna Tuilerie, Luwr, Pont Neuf, wieże Notre Dame, wieżyczki Pałacu Sprawiedliwości i wieżę Sainte-Chapelle. Wszystkie te głazy mówią, opowiadają mi sławne dzieje Francji.

Na te słowa zachwyt odmalował się na twarzy młodej kobiety.

— Pańskie mieszkanie wychodzi na bulwar nadbrzeżny? — rzekła żywo.

— Na quai Malaquais — odrzekłem — mieszkam na trzecim piętrze w domu handlarza rycin i sztychów⁹⁴. Nazywam się Sylwester Bonnard. Nazwisko moje mało jest znane, ale jest to nazwisko członka Akademii i dosyć dla mnie, jeśli przyjaciele go nie zapominają.

Spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem zainteresowania, zdziwienia, melancholii i rozrzwinięcia; nie mogłem pojąć, jak słowa tak proste mogły wywołać u młodej nieznajomej tak żywe i różnorodne wrażenia.

Czekałem, by objaśniła mi swe zdziwienie, ale do sali wszedł olbrzym milczący, łagodny i smutny.

— Mój mąż — rzekła — książę Trepow.

I wskazując na mnie:

— Pan Sylwester Bonnard, członek Akademii Francuskiej.

Książę skłonił się ramionami. Miał ramiona wysokie, obszerne i posępne.

— Moja droga — rzekł — żałuję, że przerywam twą rozmowę z panem Sylwestrem Bonnard, ale powóz zaprzężony i musimy przed nocą stanąć w Mello.

Wstała, wzięła różę, które jej ofiarował gospodarz, i wyszła z zajazdu. Poszedłem za nią, podczas gdy książę doglądał zaprzęgania mułów i próbował mocy popręgów i rzemieni. Zatrzymawszy się pod altanką, rzekła do mnie z uśmiechem:

— Jedziemy do Mello; jest to szkaradna wioska o sześć mil od Girgenti; nie odgadłby pan nigdy, po co tam jedziemy. Niech pan nie próbuje nawet. Jedziemy po pudełko od zapalek. Dymitr zbiera pudełka od zapalek. Próbował już wszelkich zbiorów: zbierał obrożę, guziki mundurów, marki pocztowe⁹⁵. Zajmują go teraz tylko pudełka od zapalek... małe, tekturowe pudełka z kolorowymi obrazkami. Zebraliśmy ich już pięć tysięcy dwieście czternaście najrozmaitszych typów. Są między nimi takie, któreśmy odnaleźli z wielkim trudem. I tak, wiedzieliśmy, że w Neapolu robiono pudełka z portretami Mazziniego i Garibaldiego⁹⁶ i że policja pudełka te skonfiskowała, a fabrykanta uwięziła. Tyleśmy szukali i dopytywali się, że wreszcie udało się nam znaleźć jedno z takich pude-

⁹⁴*sztych* — obraz wryty na metalowej płycie, pokryty farbą i odbity na papierze (miedzioryt, staloryt); dawniej także: rycina wykonana dowolną techniką rytowniczą (np. drzeworyt). [przypis edytorski]

⁹⁵*marka pocztowa* (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

⁹⁶*Giuseppe Mazzini* (1805–1872) i *Giuseppe Garibaldi* (1807–1882) — włoscy rewolucjoniści, demokraci, przywódcy walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch; w Neapolu robiono pudełka z portretami Mazziniego i Garibaldiego (...) policja pudełka te skonfiskowała: gdy Neapol był stolicą Królestwa Obojga Sycylii, takie pudełka stanowiły propagandowe materiały antypaństwowe; w 1860–61 Garibaldi z armią ochotników zajął cały obszar królestwa i włączył je do zjednoczonych Włoch. [przypis edytorski]

lek u jakiegoś wieśniaka, który sprzedał nam je za sto lirów⁹⁷ i zadenuncjował nas policji. Bandyci przeszukali nasze bagaże. Pudełka nie znaleźli, ale skradli moje klejnoty. Wtedy nabrałam upodobania do tej kolekcji. Latem pojedziemy do Szwecji, żeby skompletować nasze zbiory.

Czułem (czy mam się przyznać?) pewną sympatyczną litość dla tych upartych zbieraczy. Zapewne, wołałbym, aby państwo Trepow zbierali na Sycylii starożytne marmurowe rzeźby, malowane wazy lub medale. Wołałbym wiedzieć, że ich zajmują ruiny Agrygentu lub poetyczne tradycje Eryksu⁹⁸. Ale ostatecznie, skoro coś kolekcjonowali, należeli do mego bractwa i czyż mogłem sztydzić z nich, nie sztydzić tym samym z siebie?

— Teraz pan wie — dodała — dlaczego podróżujemy po tym szkaradnym kraju.

Po tym słowie sympatia moja znikła natychmiast, aby przejść w oburzenie.

— Ten kraj nie jest szkaradny, szanowna pani! Ta ziemia jest ziemią chwały. Piękno jest rzeczą tak wielką i dostojną, że wieki barbarzyństwa nie zdołają zatrzeć cudownych jego szczątków. Majestat starożytnej Cerery⁹⁹ unosi się jeszcze nad tymi spalonymi wzgórzami, a Muza grecka, której boskimi tonami rozbrzmiewały Menale i Aretuza¹⁰⁰, jeszcze śpiewa uszom moim na nagiej górze i w wyschłym potoku. Tak, szanowna pani, u kresu istnienia ziemi, gdy planeta nasza, niezamieszkała jak dziś księżyc, jako błyśnięty trup toczyć się będzie w przestrzeni, ziemia, na której stały ruiny Selinuntu¹⁰¹, zachowa i w powolnym zgonie ślady piękna, a wtedy, wtedy przynajmniej nie będzie ust lekkomyślnych, co by bluźniły jej samotnej wielkości.

Zaledwie wyrzekłem te słowa, odczułem ich głupstwo. „Bonnard — powiedziałem w duchu do siebie — człowiek stary, który jak ty strawił życie nad książkami, nie umie rozmawiać z kobietami”. Na moje szczęście pani Trepow nie więcej zrozumiała z mej przemowy, niż gdybym przemawiał do niej po grecku.

Odpowiedziała mi łagodnie:

— Dymitr nudzi się i ja się nudzę. Mamy tylko pudełka od zapalek. Ale pudełka od zapalek się sprzykrzą. Dawniej miałam kłopoty i przykrości, a nie nudziłam się. Kłopoty to wielka rozrywka.

Wzruszony słowami tej ładnej osoby, odrzekłem:

— Pani, żal mi cię szczerze, że nie masz dziecka. Gdybyś miała dziecko, widziałabyś cel swego życia i myśli twe byłyby poważniejsze i bardziej spokojne.

— Mam syna — odrzekła. — Duży jest mój Jerzy, to już mężczyzna: ma lat jedenastkę. Kocham go tak samo, jak kochałam go, gdy był mały, ale to już co innego.

Podawała mi różę z swej wiązanek, uśmiechnęła się i wsiadając do powozu, rzekła:

— Nie może pan wyobrazić sobie, panie Bonnard, jaką radością było dla mnie spotkać pana. Liczę na to, że zobaczę pana jeszcze w Girgenti.

Girgenti, tegoż dnia

Urządziłem się w swojej lektyce, jak można najwygodniej. Lektyka jest powozem bez kół lub, jeżeli kto woli, noszami, krzesłem niesionym przez dwa muły, jednego z przodu, drugiego z tyłu. Lektyki takiej używano od bardzo dawnych czasów. Widziałem ją na manuskryptach XIV wieku. Nie wiedziałem wtedy, że kiedyś w podobnej lektyce odbędę drogę z Monte Allegro do Girgenti. Niczego nie należy się zarzekać.

⁹⁷*lir* (wł. *lira*) — dawna waluta włoska, w 2002 zastąpiona przez euro. [przypis edytorski]

⁹⁸*Eryks* — staroż. miasto w póln.-zach. części Sycylii, na szczycie góry o tej samej nazwie; ob. miasteczko turystyczne Erice. [przypis edytorski]

⁹⁹*Ceres* a. *Cerera* (mit. rzym.) — bogini vegetacji i urodzaju, matka Prozerpiny; utożsamiana z gr. *Demeter*; za jej „ziemski dom” uważano Ennę na Sycylii, z najstarszym jej sanktuarium; tu przywołana również w związku z opowieścią o nimfie Aretuzie w *Metamorfozach* Owidiusza (V 572–641), zaczynającą się od słów: „Pyta Ceres, już dzieckiem ciesząca się swoim: »Skąd płyniesz, Aretuzo? Czemuś świętym źródłem?»” (tłum. Bruno Kiciński). [przypis edytorski]

¹⁰⁰*Menale* i *Aretuza* — z opowieści o nimfie Aretuzie w *Metamorfozach* Owidiusza (V 572–641): Aretuza z greckiego Peloponezu uciekała przed bogiem rzeki Alfejos przez kolejne miejsca, między innymi zboczami góry Mainalon (łac. Maenalus) w Arkadii, aż dotarła na wysepkę Ortygię przy brzegach Sycylii, gdzie, połączona z Alfejosem, zamieniła się w źródło; Ortygia stanowi najstarszą część sycylijskiego miasta Syrakuzy. [przypis edytorski]

¹⁰¹*Selinunt* — starożytne bogate miasto w póln.-zach. części Sycylii; zał. w VII w p.n.e. jako kolonia grecka, ok. 250 p.n.e. zniszczone przez Kartagińczyków i opuszczone. [przypis edytorski]

Przez trzy godziny muły pobrzękiwały dzwoneczkami i biły kopytkami w twardą, spękaną ziemię. Podczas gdy koło mnie, między dwoma płotami aloesów, przewijały się z wolna widoki spieklej afrykańskiej przyrody, marzyłem o manuskrypcie kleryka Jana Toutmouillé i pożałowałem go z łagodną żarliwością, która mnie samego wzruszała; tyle w niej widziałem dziecinnej i rozrzucającej niewinności.

Woń pod wieczór mocniej pachnącej róży przypominała mi panią Trepow. Wenus zaczynała świecić na niebie. Pani Trepow jest ładną osobą, bardzo prostą, bardzo bliską pierwotnej przyrody. Ma ona poziom umysłu kotki. Nie odnalazłem w niej śladu tych szlachetnych zainteresowań, które przejmują dusze myślące. A jednak na swój sposób wyraziła myśl głęboką: „Nie można nudzić się, gdy się ma kłopoty”. A więc ona wie, że na tym świecie niepokój i cierpienie są naszymi najpewniejszymi rozrywkami. Wielkich prawd nie zdobywa się bez trudu i pracy. Jaką pracą zdobyła tę prawdę pani Trepow?

Girgenti, 30 listopada 1869

Nazajutrz obudziłem się u Gelliasa w Girgenti. Gellias¹⁰² był bogatym obywatelem starożytnego Agrygentu. Słynął zarówno ze wspaniałości, jak i ze szczodrobliwości i wyposażył swe miasto rodzinne w dużą ilość bezpłatnych zajazdów. Gellias nie żyje od tysiąca trzystu lat i dziś nie ma już bezpłatnej gościnności u ludów cywilizowanych. Ale nazwisko Gelliasa stało się nazwiskiem hotelu, gdzie z powodu zmęczenia mogłem przespać noc.

Nowoczesne Girgenti wystawiło na akropolu starożytnego Agrygentu szereg wąskich i ściśniętych domów, nad którymi wznosi się posępna hiszpańska katedra¹⁰³. Z okna mego widziałem na spadającym ku morzu zboczu biały rząd wpółrozwalonych świątyń. Tylko te ruiny mają nieco świeżości, wszystko poza tym jest suche i spiekle. Woda i życie opuściły Agrygent. Woda, boska Nestis¹⁰⁴ agrygentczyka Empedokla¹⁰⁵, tak jest nieodzowna dla istot żywych, że nic nie żyje z dala od rzeki i źródeł. Port Girgenti, położony o trzy kilometry od miasta, prowadzi rozległy handel.

Tu zatem, mówiłem sobie, w tym posępnym mieście, na tej stromej skale, znajduje się manuskrypt kleryka Jana Toutmouillé? Prosiłem, by mi wskazano dom pana Michała Anioła Polizzi, i udałem się tam zaraz. Zastałem pana Polizzi od stóp do głowy przyodzianego na żółto; smażył na patelni kielbaski. Na mój widok puścił rączkę patelni, wznosił ręce do nieba i wydał okrzyk zachwyty. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, którego opryszczona twarz, orli nos, wysunięty podbródek i okrągłe oczy składały się na nader wyrazistą fizjonomię¹⁰⁶.

Nazwał mnie ekscelencją, powiedział, że dzień mego przybycia zaznaczy białym kamieniem, i poprosił, bym usiadł.

Sala, w której się znajdowaliśmy, służyła jednocześnie za kuchnię, salon, sypialnię, pracownię i piwnicę. Stały tam piecyki kuchenne, łóżko, płótna, sztalugi, butelki i wisiały czerwone strąki tureckiego pieprzu. Obrzuciłem wzrokiem rozwieszone na ścianach obrazy.

— Ach, sztuka! Sztuki piękne! — zawołał pan Polizzi, znów wznosząc ręce do nieba. — Sztuka! Cóż za dostojństwo! Co za pociecha! Jestem malarzem, ekscelencjo!

I pokazał mi niewykończony świętego Franciszka. Obraz mógł w tym stanie pozostać bez szkody dla sztuki i religii. Następnie pokazał mi kilka starych obrazów w lepszym stylu, ale wydały mi się źle odrestaurowane.

¹⁰²Gellias a. Tellias z Agrygentu — niezmiernie bogaty obywatel staroż. miasta Agrygent na Sycylii, słynny ze swojej szczodrej gościnności; zginął śmiercią samobójczą w świątyni Ateny, którą podpalił, by nie została zbezczeszczona i obrabowana przez Kartagińczyków, którzy zdobyli miasto. [przypis edytorski]

¹⁰³hiszpańska katedra w Agrygento — katedra di San Gerlando (św. Gerlanda), zbudowana w XI w., za panowania Normanów, w stylu normandzkim; po przejściu w XIII w. kontroli nad wyspą przez władców Aragonii, a później Hiszpanii katedrę powiększano i przebudowywano aż do XVII w. [przypis edytorski]

¹⁰⁴Nestis (mit. gr.) — u Empedoklesa bogini żywiołu wody; zapewne eufemistyczny przydomek Persefony, królowej świata zmarłych. [przypis edytorski]

¹⁰⁵Empedokles z Akragas a. Empedokles z Agrygentu (ok. 494–ok. 434 p.n.e.) — filozof, poeta i lekarz grecki, twórca koncepcji czterech żywiołów, które wskutek działania dwóch pierwotnych sił: miłości i nienawiści, mieszają się ze sobą i tworzą różnorodne rzeczy; żywioły nazywał imionami bóstw: „Zeus łśniący, Hera życiodajna, i Ajdoneus, i Nestis, z której lez płynie udręka człowieka”, które oznaczają ogień, ziemię, powietrze i wodę (Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, XVIII 76; przeł. W. Olszewski). [przypis edytorski]

¹⁰⁶fizjonomia — twarz, rysy twarzy. [przypis edytorski]

— Odnawiam stare obrazy — dodał. — Ach! Dawni mistrzowie! Co za geniusz! Co za moc!

— Zatem istotnie — rzekłem doń — jest pan jednocześnie malarzem, handlarzem starożytności i kupcem win?

— Do usług waszej ekscelencji — odrzekł — mam w tej chwili *zucco*, którego każda kropla jest perłą ognia. Dam go skosztować waszej wielmożności.

— Cenię sycylijskie wina — odparłem — ale nie dla butelki wina przybyłem do pana, panie Polizzi.

— A więc z powodu malowideł? — zapytał. — Jest pan amatorem. Cieszę się zawsze niezmiernie z odwiedzin amatora. Pokażę panu arcydzieło Monrealese¹⁰⁷; tak, ekscelencjo, jego arcydzieło! *Pokłon pastuszków*! To perła szkoły sycylijskiej.

— Z przyjemnością zobaczę to dzieło — odrzekłem — lecz pomówmy najpierw o tym, co mnie tu sprowadza.

Małe ruchliwe oczy pana Polizzi zatrzymały się na mnie z ciekawością i nie bez bolesnego niepokoju spostrzegłem, że nie podejrzewał nawet, co było przedmiotem mej wizyty.

Bardzo strapiiony, czując zimny pot na czole, wyszeptalem nieśmiało zdanie mające mniej więcej wyrażać:

— Umyślnie przybyłem z Paryża, żeby zobaczyć manuskrypt *Złotej legendy*, który, jak pan mi pisałeś, masz w swoim posiadaniu.

Na te słowa wzniosł ręce do nieba, szeroko otworzył usta i oczy i dawał oznaki najwyższego wzburzenia.

— Och! Manuskrypt *Złotej legendy*, perła, ekscelencjo, rubin, diament! Dwie miniatury tak piękne, że zdaje się, jakoby się raj otwierał. Co za słodycz! Te barwy, wykradzione kielichom kwiatów, to miód dla oczu. Giulio Clovio¹⁰⁸ nie zrobił nic piękniejszego!

— Pokaż mi go pan! — rzekłem, nie mogąc ukryć mego niepokoju i nadziei.

— Pokazać go! — zawołał Polizzi. — Czyż mogę to uczynić, ekscelencjo? Nie mam go już! Nie mam go już!

Zdawało się, że chce sobie wyrwać włosy z głowy. Mógłby je wyrwać sobie do szczętu, a nie byłbym mu w tym przeszkodził. Ale sam w porę się zatrzymał, nie uczyniwszy sobie wielkiej krzywdy.

— Jak to? — zawołałem ze złością. — Jak to? Każesz mi pan przyjeżdżać z Paryża do Girgenti, żeby zobaczyć manuskrypt, a gdy przybywam, mówisz, że już go nie masz? To nikczemne, mój panie. Wszyscy porządni ludzie niech osądzą pańskie postępowanie!

Kto by mnie w tej chwili widział, miałby dość dokładny wizerunek rozwścieczonego barana.

— To nikczemne, nikczemne! — powtarzałem, z drżeniem wyciągając ręce.

Michał Anioł Polizzi padł na krzesło w pozie umierającego bohatera. Oczy jego napętniały się łzami, włosy, dotąd zwichrzone nad głową, w nieładzie opadły na czoło.

— Jestem ojcem, ekscelencjo, jestem ojcem! — zawołał, składając ręce.

I dodał, łkając:

— Syn mój Rafaello, syn biednej mojej żony, której śmierć oplakuję od lat piętnastu, Rafaello, ekscelencjo, chciał założyć interes w Paryżu; wynajął przy ulicy Laffitte sklep, aby sprzedawać starożytności. Dałem mu wszystko, co miałem najcenniejszego, dałem mu najpiękniejsze moje majoliki¹⁰⁹, moje najpiękniejsze fajanse z Urbino¹¹⁰, obrazy mistrzów, co za obrazy, *signor*! Jeszcze olśniewają mnie, gdy widzę je w wyobraźni. Wszystkie podpisane! Wreszcie dałem mu manuskrypt *Złotej legendy*. Byłbym mu dał krew i ciało moje. Jedyne syn! Syn mej biednej, świętej żony.

Sztuka

¹⁰⁷Pietro Novelli, zw. *Il Monrealese* (1603–1647) — włoski malarz barokowy tworzący na Sycylii, malujący głównie obrazy o tematyce religijnej; urodzony w Monreale w pobliżu Palermo, stąd przydomek. [przypis edytorski]

¹⁰⁸Klović, Juraj, wł. *Giulio Clovio Croata* (1498–1578) — włoski malarz, miniaturzysta i iluminator książek, pochodzenia dalmatyńskiego; jeden z najlepszych XVI-wiecznych iluminatorów książek. [przypis edytorski]

¹⁰⁹majolika — ceramika pokryta kolorową polewą ołowiuowo-cynową. [przypis edytorski]

¹¹⁰Urbino — miasto w środkowych Włoszech, znane m.in. z XVI–XVII-wiecznej glazurowanej ceramiki artystycznej ze scenami narracyjnymi. [przypis edytorski]

— A zatem — rzekłem — podczas gdy na pańskie wezwanie jechałem w głąb Sycylii szukać manuskryptu kleryka Jana Toutmouillé, manuskrypt ten leży wystawiony w oknie przy ulicy Laffitte, o pięćset metrów ode mnie?

— Był on tam, to święta prawda — odrzekł pan Polizzi nagle rozpogodzony — jest tam jeszcze, tak sędzę przynajmniej, ekscelencjo.

Wziął z półki jakąś kartkę i podając mi ją, rzekł:

— Oto adres mego syna. Będę panu bardzo zobowiązany, jeśli zechcesz polecić go swoim znajomym. Posiada on fajanse, emalie, tkaniny, kompletny wybór dzieł sztuki, całą *roba*¹¹¹, i starożytną, na honor. Niech pan idzie do niego, on pokaże panu manuskrypt *Złotej legendy*. Dwie miniatury cudownej świeżości!

Małodusznie wziąłem kartę, którą mi podawał. Człowiek ten, nadużywając mojej słabości, znów poprosił, abym wśród znajomych reklamował Rafaella Polizzi.

Już trzymałem rękę na klamce drzwi, gdy mój Sycylijczyk pochwycił mnie za ramię. Miał minę natchnioną.

— Ach! Ekscelencjo — rzekł — co za wspaniały to gród to nasze Girgenti! Tu ujrzał światło dzienne Empedokles! Empedokles! Co za wielki mąż, jaki wielki obywatel! Co za śmiałość myśli, jaka cnota, jaki duch! Jest tu w porcie posąg Empedoklesa; ilekroć go mijam, zdejmuję kapelusz. Gdy syn mój Rafaello miał już wyjeżdżać, aby założyć magazyn starożytności na ulicy Laffitte w Paryżu, zaprowadziłem go do portu naszego miasta i u stóp posągu Empedoklesa dałem mu moje ojcowskie błogosławieństwo: „Pamiętaj Empedoklesa” — rzekłem doń. Ach! *Signor*, nowego Empedoklesa trzeba by dzisiaj dla naszej nieszczęśliwej ojczyzny! Chcesz pan, bym cię zaprowadził do jego posągu, ekscelencjo? Będę służył panu za przewodnika przy zwiedzaniu ruin. Pokażę panu świątynię Kastora i Polluksa, świątynię Jowisza Olimpijskiego, świątynię Junony Luciny, starożytną studnię, grób Theroną i Złotą Bramę¹¹². Wszyscy przewodnicy tutaj — to osły. Ja jestem dobrym przewodnikiem; jeśli pan zechce, będziemy robili poszukiwania, będziemy rozkopywać ruiny i odnajdziemy skarby. Mam potrzebną wiedzę i dar do wykopalisk. Znajduję arcydzieła w rozpadlinach, w których oni, uczeni, nie znajdowali nic.

Zdołałem się wyswobodzić. Pobiegł za mną, zatrzymał się u stóp schodów i szepnął mi do ucha:

— Ekscelencjo, posłuchaj pan, pokażę panu nasze girgentynki. Sycylianki, *signor*, piękności starożytne. Pokażę panu także nasze zgrabne, zalotne wieśniaczki, dobrze?

— Idź do diabła! — zawołałem oburzony.

I uciekłem na ulicę, pozostawiając go z szeroko rozłożonymi ramionami.

Oddaliwszy się, upadłem na kamienną ławę i zadumałem się gorzko, z głową ukrytą w dłoniach.

„Czyż po to — myślałem — po to przyjechałem na Sycylię, aby usłyszeć podobne propozycje? Ten Polizzi to na pewno łotr, a jego syn nie lepszy. Ale cóż oni za spisek uknuli?”. Nie umiałem go pojąć i rozplątać. Tymczasem byłem głęboko zgnębiony i upokorzony.

Odgłos lekkich kroków i szelest jedwabiu kazał mi podnieść głowę: ujrzałem podchodzącą ku mnie księżnę Trepow. Zatrzymała mnie na ławce, wzięła moją rękę i rzekła łagodnie:

— Szukałam pana, panie Bonnard. Bardzo się cieszę, że pana spotykam. Chciałabym zostawić panu przyjemne wspomnienie naszego spotkania. Doprawdy chciałabym...

Gdy to mówiła, zdawało mi się, że pod jej woalką dostrzegam łzę i uśmiech.

Zbliżył się też książę i zakrył nas swym kolosalnym cieniem.

— Pokaż, Dymitrze, pokaż panu Bonnard twoją cenną zdobycz.

Posłuszny olbrzym podał mi pudełko od zapalek, brzydkie, małe pudełko tekturowe, ozdobione głową czerwoną i niebieską, którą napis mianował głową Empedoklesa.

¹¹¹*roba* (wł., r.ż.) — rzeczy. [przypis edytorski]

¹¹²Świątynia Kastora i Polluksa, świątynia Jowisza Olimpijskiego (...) Złota Brama — niektóre z obiektów w tzw. Dolinie Świątyń (wł. *Valle dei Templi*) w Agrygencie na Sycylii; świątynia Kastora i Polluksa jest znana jako świątynia Dioskurów; starożytna studnia to część sanktuarium Asklepiosa, boga medycyny zbudowanego w pobliżu źródła o właściwościach leczniczych; Złota Brama (łac. *Porta Aurea*) to czwarta z dawnych bram miejskich, w pobliżu której znajduje się budynek znany jako tzw. grobowiec Theroną, jedynowładcy miasta żyjącego w V w. p.n.e., zbudowany jednak zapewne w czasach hellenistycznych. [przypis edytorski]

— Widzę, szanowna pani, widzę. Ale ten szkaradny Polizzi, do którego radzę pani nie posyłać pana Trepowa, poróżnił mnie na wieki z Empedoklesem, a ten portret miłszym mędrca nie uczyni.

— To bardzo brzydkie — rzekła — ale rzadkie. Tych pudełek nie można znaleźć. Trzeba kupić je na miejscu. O siódmej rano Dymitr był w fabryce. Widzi pan, że nie traciliśmy czasu.

— Widzę dobrze, szanowna pani — rzekłem zgorzkniałym tonem. — Ale ja swój czas straciłem na próżno, bo ja nie znalazłem tego, po co z tak daleka przyjechałem.

Zdawało się, że interesuje ją moje niepowodzenie.

— Miał pan jakąś przykrość? — zapytała żywo. — Czy mogę panu w czymś pomóc? Czy zechce pan powierzyć mi swoje zmartwienie?

Opowiedziałem jej wszystko. Opowieść moja była długa, ale musiała ją wzruszyć, gdyż zadała mi następnie mnóstwo drobnych pytań, które przyjąłem za dowód wielkiego zainteresowania. Chciała wiedzieć, jaki jest dokładny tytuł manuskryptu, jego format, wygląd, wiek, zapytała też o adres Rafaella Polizzi.

Dałem jej ten adres, tym samym spełniając (o losie!) to, co mi obrzydły Michał Anioł Polizzi zalecał.

Niekiedy trudno jest zatrzymać się w porę. Zacząłem na nowo swe biadania i złorzeczenia. Tym razem pani Trepow roześmiała się.

— Z czego się pani śmieje? — zapytałem.

— Bo jestem złą kobietą — rzekła.

I pobiegła, a ja zdumiony zostałem sam na ławce.

Paryż, 8 grudnia 1869

Moje kufry, jeszcze nierozpakowane, stały w pokoju jadalnym. Siedziałem przed stołem zastawionym przysmakami, które Francja produkuje dla smakoszków. Zjadałem pasztet z Chartres, za którego smak warto już jest kochać jego ojczyznę. Teresa, stojąc przede mną z rękoma założonymi na białym fartuchu, przyglądała mi się z życzliwością, niepokojem i litością. Hamilkar, mrucząc z radości, ocierał się o moje nogi.

Przyszedł mi na myśl wiersz dawnego poety:

Szczęśny, kto jak Ulisses ¹¹³piękną odbył podróż¹¹⁴.

„Tak — myślałem sobie — przejechałem się na próżno, wracam z pustymi rękami; ale jak Ulisses odbyłem piękną podróż”.

Przełknąwszy ostatni łyk kawy, poprosiłem Teresę o laskę i kapelusz, podała mi je z nieufnością — obawiała się nowego wyjazdu. Uspokoilem ją prośbą, by obiad był gotowy na godzinę szóstą.

Już samo to, że chodzę znów po ulicach Paryża, którego bruk, którego każdy kamień jest mi tak drogi, było dla mnie rozkoszą. Ale miałem cel przed sobą, siedłem prosto na ulicę Laffitte. Niebawem zobaczyłem sklep pana Rafaella Polizzi. Zwracał on uwagę mnóstwem starych obrazów. Choć podpisane nazwiskami nie zawsze znamienitymi, wszystkie obrazy wydawały się sobie pokrewne; można by stąd wnioskować o wzruszającą braterstwo geniuszów, gdyby nie było to raczej dowodem kunsztu pędzla pana Polizzi-ojca. Sklep bogaty w te podejrzane arcydzieła błyszczał ponadto mnóstwem drobniaków i osobliwości; były tam sztylety, roztruchany¹¹⁵, puchary, czasze, naczynia z terakoty¹¹⁶, miedziane kociołki i hiszpańsko-arabskie półmiski o metalicznym połysku.

Na portugalskim fotelu, obitym skórą z wyciskanymi herbami, leżał egzemplarz modlitewnika Simona Vostre¹¹⁷, otwarty na karcie, na której widniała figura astrologiczna;

¹¹³ *Ulysses* (łac.; mit. gr.) — Odyszeusz, król Itaki, bohater *Iliady* i *Odysei* Homera; po wojnie trojańskiej wracał do domu, przez 10 lat tułając się po świecie. [przypis edytorski]

¹¹⁴ *Szczęśny, kto jak Ulisses piękną odbył podróż* — pierwszy wers sonetu XXXI ze zbioru *Żale* (fr. *Les Regrets*; 1558) francuskiego poety Joachima du Bellay (1522–1560). [przypis edytorski]

¹¹⁵ *roztruchan* (daw.) — wielki, ozdobny kielich w kształcie zwierzęcia, służący do wznoszenia toastów i jako ozdoba stołu. [przypis edytorski]

¹¹⁶ *terakota* — materiał ceramiczny z oczyszczonej i wypalanej gliny, niepokrytej szkliwem; także: przedmioty z tego materiału, zwykle figurki lub ozdobne płytki. [przypis edytorski]

¹¹⁷ *Vostre, Simon* (XV/XVI w.) — paryski wydawca, znany zwłaszcza z publikacji ozdobnych modlitewników, zw. Godzinkami. [przypis edytorski]

na starożytnej skrzyni stary egzemplarz Witruwiusza¹¹⁸ ukazywał swe mistrzowskie ryciny kariatyd i telamonów¹¹⁹. Ten rzekomy nieład, ukrywający celowe ułożenie, pozorna przypadkowość, z jaką rozrzucone były przedmioty, aby się korzystniej przedstawiały, wzmogłyby mą nieufność, gdyby nieufność, jaką wzbudzało samo nazwisko Polizzi, jeszcze się wzmóc mogła; była bowiem bezgraniczna. Pan Rafaello, dusza tych wszystkich bezładnych i zagmatwanych kształtów, wydał mi się młodzieńcem flegmatycznym, podobnym do Anglika. Nie posiadał wcale tych transcendentalnych¹²⁰ zdolności, jakie mimiką i deklamacją zdradzał jego ojciec.

Powiedziałem mu, po co przychodzę; otworzył szafę, wyjął manuskrypt i położył go na stole, gdzie mogłem go do woli oglądać.

Nie doznałem w życiu podobnego wzruszenia — może tylko w ciągu kilku miesięcy młodości, których wspomnienie, gdybym nawet żył sto lat, pozostanie do ostatniego tchnienia równie świeże w mym sercu jak dnia pierwszego.

Tak, to był manuskrypt opisany przez bibliotekarza sir Tomasza Raleigha, to był manuskrypt kleryka Jana Toutmouillé; oglądałem go, dotykałem! Praca Voragine była w nim znacznie skrócona, ale co mnie obchodziło? Zawierał przecież bezcenne dodatki mnicha z Saint-Germain-des-Prés. To było najważniejsze! Chciałem przeczytać legendę świętego Droktoweusza; nie mogłem; czytałem wszystkie wiersze jednocześnie, w głowie mojej huczało jak nocą na wsi w młynie wodnym. Widziałem jednak doskonale, że manuskrypt ma cechy niezaprzeczanej autentyczności. Obie miniatury: *Oczyszczenie Najświętszej Panny* i *Koronowanie Prozerpiny*, były przeładowane w rysunku i krzykliwe w kolorze. Bardzo uszkodzone w 1824 r., jak świadczył katalog sir Tomasza, nabrały potem nowej świeżości. Cud ten nie zdziwił mnie wcale. Zresztą cóż obchodziły mnie obie miniatury! Legendy i poemat Jana Toutmouillé to był skarb właściwy. Chłonałem wzrokiem wszystko, co oczy moje mogły pomieścić.

Udając obojętność, zapytałem pana Rafaella o cenę manuskryptu i czekając na odpowiedź, pragnąłem gorąco, aby cena ta nie przekraczała moich oszczędności, już i tak bardzo nadwężonych kosztowną podróżą. Pan Polizzi odrzekł, że nie może rozporządzać tym przedmiotem, który już do niego nie należy i ma być sprzedany na licytacji wraz z innymi manuskryptami i kilkoma inkunabułami¹²¹.

Był to dla mnie ciężki cios. Starałem się przyjść do siebie i mogłem wreszcie mniej więcej mu odpowiedzieć:

— Pańska odpowiedź mnie dziwi. Ojciec, którego niedawno widziałem w Girgenti, zapewnił mnie, że pan jest właścicielem tego manuskryptu. Nie każe mi pan chyba wątpić w słowa swego ojca?

— Byłem istotnie właścicielem rękopisu — odrzekł Rafaello z zupełną prostotą — ale już nim nie jestem. Sprzedałem ten cenny manuskrypt amatorowi, którego mi wymienić nie wolno, a który z powodu jakichś tajemniczych względów jest zmuszony sprzedać swoją kolekcję. Klient mój zaszczyca mnie swym zaufaniem; polecił mi sporządzić katalog i kierować sprzedażą, która odbędzie się dwudziestego czwartego grudnia. Jeśli pan chce dać mi swój adres, będę miał zaszczyt przesłać wielmożnemu panu katalog; jest obecnie w druku, pod numerem czterdziestym drugim znajdzie pan opis *Złotej legendy*.

Podąłem swój adres i wyszedłem.

Skromna powaga syna nie podobała mi się na równi z bezczelną mimiką ojca. W głębi duszy wstrząsał mną wstręt na myśl o skrytych podstępach tych nikczemnych handlarzy. Było jasne, że lotry są w zмовie i wymyślili tę licytację, aby sami będąc kryci, przy pomocy licytatora podbić do nadmiernej wysokości cenę manuskryptu, który pragnąłem posiadać. Byłem w ich rękach. Pożądania, nawet najniewinniejsze, są szkodliwe, gdyż oddają nas we władzę innych, czynią nas zależnymi. Okrutne to spostrzeżenie nie odjęło mi jednak ochoty posiadania dzieła kleryka Toutmouillé. Tak medytując i zamierzając

Pożądanie

¹¹⁸Witruwiusz, właśc. Marcus Pollis Vitruvius (I w. p.n.e.) — architekt rzymski, autor obszernego dzieła *O architekturze ksiąg dziesięć*, odnalezionej w 1415, bezcennego źródła wiedzy o architekturze i sztuce budowlanej staroż. Greków i Rzymian. [przypis edytorski]

¹¹⁹kariatydy i telamony (archit.) — rzeźby stojących, odpowiednio, kobiet i mężczyzn, dźwigających na głowie belkowanie budowlane, gzyms lub balkon, spełniające funkcję kolumn lub filarów. [przypis edytorski]

¹²⁰transcendentalny — tu: wychodzący poza granice doświadczenia, nadnaturalny. [przypis edytorski]

¹²¹inkunabuł — książka, broszura lub inny druk europejski pochodzący z początkowego okresu rozwoju druku, sprzed XVI w. [przypis edytorski]

przejsć na drugą stronę ulicy, zatrzymałem się, aby przepuścić nadjeżdżający w moją stronę powóz. Za szybą karety poznałem panią Trepow, poznałem stangreta w sutym futrze; dwa czarne, rącze konie unosiły powóz w pełnym galopie. Ona mnie nie zauważyła.

„Oby — rzekłem sobie w duchu — udało jej się znaleźć to, czego szuka, a raczej to, co jej jest potrzebne. Oto czego jej życzę za ów okrutny śmiech, którym przyjęła w Girgenti mój straszny zawód. To czeczotka!”

I smutny poszedłem w stronę mostów.

Wieczyście obojętna natura bez pośpiechu i bez opóźnienia przywiodła dzień 24 grudnia. Udałem się do sal licytacyjnych Bullion i zająłem miejsce w sali nr 4, u stóp estrady, na której miał zasiąść licytator Boulouze i ekspert Polizzi. Sala po trochu zappełniała się znajomymi osobami. Ucisnąłem ręce kilku starym księgarzom z bulwarów i z przezornością, jaką nawet najufniejsi zachowują, gdy idzie o wielką sprawę, nie wspominając o przyczynie mej niezwyklej tu obecności, wypytywałem tych panów, czy zainteresowała ich licytacja pana Polizzi i z przyjemnością usłyszałem, że żadnego nie sprowadził tu przedmiot będący celem mych pragnień.

Sala napelniła się interesantami i ciekawymi, i z półgodzinnym opóźnieniem licytator ze swym kościanym młotkiem, pisarz obładowany papierami stemplowymi, ekspert z katalogiem w ręku i woźny, zaopatrzony w kobiałkę przytwierdzoną do długiej żerdzi, uroczyście zasiedli na estradzie. Posługacze stanęli u stóp podium. Urzędnik sądowy ogłosił rozpoczęcie sprzedaży, po czym nastała cisza.

Najpierw sprzedali za cenę dość umiarkowaną banalny zbiór *Preces piae*¹²² z miniaturami. Nie trzeba dodawać, że miniatury te były zupełnie świeże.

Skromność przetargu zachęciła tłum drobnych handlarzy, którzy poufale przyłączyli się do nas. Nadeszli potem kotlarze¹²³; czekali na otwarcie sąsiedniej sali, a tymczasem niewybrednymi żarcikami zagłuszali głos woźnego.

Wspaniała kronika *Wojny żydowskiej*¹²⁴ obudziła żywszą uwagę. Długo się o nią spierano. „Pięć tysięcy franków, pięć tysięcy”, wołał woźny wśród milczenia przejętych podziwem kotlarzy.

Siedem czy osiem śpiewników kościelnych przywiodło nas znów do niskich cen. Gruba przekupka w samej sukni i z gołą głową, zachęcona wielkością książki i niską ceną, przelicytowała jedną z nich za trzydzieści franków.

Wreszcie ekspert Polizzi położył na stole nr 42: *Złota legenda*, manuskrypt francuski, unikat, dwie wspaniałe miniatury, cena trzy tysiące franków.

— Trzy tysiące! Trzy tysiące! — krzyczał woźny.

— Trzy tysiące — powtórzył sucho komornik.

W skroniach mi biło; jak przez mgłę widziałem mnóstwo poważnych twarzy, zwróconych na manuskrypt, obnoszony po sali przez usługującego chłopca.

— Trzy tysiące pięćdziesiąt! — rzekłem.

Przestraszył mnie dźwięk własnego głosu i zmieszał widok wszystkich twarzy, zwróconych w moją stronę.

— Trzy tysiące pięćdziesiąt — rzekł woźny, podchwytyjąc moją cenę.

— Trzy tysiące sto! — rzekł Polizzi.

Wtedy rozpoczął się bohaterski pojedynek między mną a ekspertem.

— Trzy tysiące pięćset!

— Sześćset!

— Siedemset!

— Cztery tysiące!

— Cztery tysiące pięćset!

Po czym gwałtownym susem pan Polizzi podskoczył od razu na sześć tysięcy.

Sześć tysięcy franków! Tyle tylko miałem do rozporządzenia. Tyle było dla mnie możliwe.

¹²²*Preces piae* (łac.) — *Pobożne modlitwy*, tytuł nadawany dawnym modlitewnikom. [przypis edytorski]

¹²³kotlarz — rzemieślnik zajmujący się wyrabianiem z blachy kotłów, rondli i innych przedmiotów. [przypis edytorski]

¹²⁴*Wojna żydowska* — dzieło zawierające historię żydowskiego powstania przeciwko Rzymowi, spisane po grecku przez świadka i bezpośredniego uczestnika walk, żydowskiego historyka Józefa Flawiusza (I w. n.e.). [przypis edytorski]

Zaryzykowałem rzecz niemożliwą:

— Sześć tysięcy sto! — zawołałem.

Niestety! Nawet i to nie wystarczyło.

— Sześć tysięcy pięćset! — wyrzekł ze spokojem pan Polizzi.

Spuściłem głowę i stałem z obwisłą wargą, nie ważąc się nic rzec woźnemu, który krzyczał w moją stronę:

— Sześć tysięcy pięćset, dla mnie, nie dla pana tam na prawo, dla mnie! Nie ma omyłki! Sześć tysięcy pięćset!

— Dobrze zrozumiano! — dodał komornik. — Sześć tysięcy pięćset. Słyszano, zrozumiano... Nie ma nabywcy ponad sześć tysięcy pięćset!

Uroczysta cisza panowała na sali. Nagle wydało mi się, że pęka mi czaszka. Komornik suchym uderzeniem młotka o estradę nieodwołalnie przysądzał numer 42 panu Polizzi. Natychmiast pisarz jednym pociągnięciem pióra zarejestrował ten wielki fakt na stemplowym papierze¹²⁵.

Byłem zgnębiony, potrzebowałem powietrza, spokoju. Nie opuściłem jednak swego miejsca. Powoli przychodziło zastanowienie. Nadzieja jest uporczywa. A miałem jeszcze nadzieję. Myślałem, że nowy nabywca *Złotej legendy* może być jakimś przystępnym, inteligentnym bibliofilem, który nie tylko pozwoli mi zapoznać się z manuskrypcem, lecz może zgodzi się nawet na opublikowanie najważniejszych jego części. Dlatego, doczekawszy końca sprzedaży, zbliżyłem się do eksperta schodzącego z estrady.

— Panie ekspercie — rzekłem — czy kupił pan numer czterdziesty drugi na swój rachunek, czy z czyjegoś polecenia?

— Z polecenia. Nawet kazano mi nie wypuścić go za żadną cenę.

— Czy może mi pan podać nazwisko nabywcy?

— Żałuję bardzo, że nie mogę pana zadowolić. Jest mi to absolutnie wzbronione.

Odszedłem zrozpaczony.

30 grudnia 1869

— Tereso, czyż nie słyszysz, że od kwadransa dzwonią do drzwi?

Teresa nie odpowiadała. Zagadała się w sieni u odzwiernej. Na pewno. Tak wieszujesz imienin twemu staremu panu? Opuszczasz mnie w wilię¹²⁶ świętego Sylwestra! Niestety! Gdybym miał otrzymać w tym dniu życzenia przyjaźni, wyszłyby chyba spod ziemi, bo wszystko, co mnie kochało, już dawno pogrzebane. Nie wiem doprawdy, co robię na tym świecie. Dzwonią jeszcze. Z wolna wstaję od kominka i pochylony idę otworzyć drzwi. Cóż widzę w sieni? To nie zmoczony Amor i ja nie jestem Anakreontem¹²⁷, to śliczny ośmio- czy dziewięcioletni chłopczyk. Jest zupełnie sam; podnosi głowę, żeby mnie widzieć. Rumieniec wystąpił mu na twarzy, ale mały, zadarty nosełk nadaje mu szelmowski wyraz. Na główce ma kapelusz z piórami i wielki koronkowy kołnierz przy bluzce. Cóż za ładny chłopczek! W rękach trzyma paczkę większą niż on sam i pyta, czy jestem panem Sylwestrem Bonnard. Odpowiadam, że tak; malec oddaje mi paczkę, powiada, że to od jego mamusi i ucieka na schody.

Schodzę o kilka stopni niżej, pochylam się nad poręczą i widzę, jak mały kapelusz kręci się w spirali schodów niby pióro na wietrze. Dobranoc, mój chłopczyku! Chętnie bym z nim pogadał. Ale o coż bym go pytał? Niedyskretnie jest wypytywać dzieci. Zresztą paczka objaśni mnie lepiej niż ten, kto ją przyniósł.

Jest to pakiet bardzo duży, ale niezbyt ciężki. W bibliotece odwiązuję wstążeczki, odwijam papier, który go otacza, i znajduję... co takiego? Polano, tęgie polano, polano prawdziwie świąteczne, ale tak lekkie, że musi chyba być puste.

¹²⁵*stemplowy papier* — czysty papier z odcisniętym podczas produkcji stemplem rządowym, sprzedawany przez organ państwowy; dawniej używany do pobierania podatku od sporządzanych umów i zobowiązań prywatnych, dokumentów sądowych, podań do władz itp.; później zastąpiony znaczkami opłaty skarbowej, kupowanymi i przyklejanymi na dokumencie oraz, jak obecnie, regulowaniem odpowiedniej opłaty przelewem lub gotówką w kasie urzędu. [przypis edytorski]

¹²⁶*wiliā* (daw.) — wigilia, przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie. [przypis edytorski]

¹²⁷*Anakreont z Teos* (ok. 570–ok. 485 p.n.e.) — grecki poeta, autor krótkich, pogodnych utworów miłosnych i biesiadnych, sławiących uroki życia; *zmoczony Amor*: aluzja do wiersza Anakreonta, w którym miniaturowy bóg miłości Eros (rzym. Amor), zostaje pochwycony z kwiatu róży i zanurzony w kielichu wina. [przypis edytorski]

Istotnie spostrzegam, że składa się z dwóch części, złączonych haczykami i otwierających się na zawiasach. Przekręcam haczyki i oto zasypany jestem fiołkami. Sypią się na stół, na kolana, na dywan. Wsuwają się za kamizelkę, za rękawy. Jestem cały uperfumowany kwiatami.

— Tereso, Tereso, przynieś wazon pełne wody! Oto fiołki, które przychodzą, nie wiem z jakiego kraju ani z jakich rąk, ale na pewno z kraju wonnego i z rąk uprzejmych. Czy nie słyszysz, stara sroko?

Położyłem fiołki na stole, cały stół pokryty jest wonnymi kępkami. Jest jeszcze coś w polanie, książka, manuskrypt. To... wierzyć nie chcę i wątpić nie mogę... To *Złota legenda*, to manuskrypt kleryka Jana Toutmouillé. Oto *Oczyszczenie Najświętszej Panny* i *Koronowanie Prozerpiny*, oto legenda świętego Droktoweusza. Spoglądam na tę uperfumowaną fiołkami relikwię. Przewracam kartki, pomiędzy które wśliznęło się kilka bladych kwiatków i znajduję obok legendy świętej Cecylii bilet wizytowy z napisem: Księżna Trepow.

Księżno Trepow! Ty, co tak ładnie śmiałaś się i płakałaś na przemiany pod pięknym niebem Agrygentu, ty, którą zgryźliwy starzec poczytywał za trzpiotkę, dziś przekonałaś mnie o swym pięknym i rzadkim szaleństwie; uszczęśliwiony starzec przyjdzie ucałować twoje rączki, oddając ci ten cenny manuskrypt, którego dokładną publikację on i wiedza tobie zawdzięczać będą.

W tej chwili do mego gabinetu weszła Teresa. Była bardzo wzburzona.

— Proszę pana! — krzyknęła prawie. — Niech pan zgadnie, kogo w tej chwili widziałam w herbowej karecie pod bramą naszego domu!

— Księżnę Trepow, naturalnie! — zawołałem.

— Nie znam żadnej pani Trepow — odrzekła moja gospodyni. — Kobieta, którą widziałam, ubrana jest jak księżna, był z nią chłopczyk cały w koronkach. I to jest ta mała pani Coccoz, której pan posłał naręcze drzewa, gdy rodziła. Będzie lat temu osiem. Poznałam ją dobrze.

— To — zawołałem żywo — to jest pani Coccoz, powiadasz? Wdowa po tym księgarskim agencie?

— To ona była, proszę pana, drzwiczki karety były otwarte, bo jej wychodzący z naszego domu synek wsiadał do powozu. Nie zmieniła się wcale.

I czemuż te kobiety miałyby się starzeć? Nie mają żadnych trosk. Coccozowa jest tylko nieco pełniejsza niż dawniej. Kobieta, którą przyjęto tu z litości, teraz przyjeżdża rozkładać swoje aksamity i brylanty w herbowej karecie! Czy to nie hańba?

— Tereso — zawołałem strasznym głosem — jeżeli o tej damie nie będziesz wyrażać się z najgłębszą czcią, pogniewam się z tobą na zawsze! Przynieś tu moje sewrskie wazon¹²⁸ i wstaw w nie te cudne fiołki, nadadzą grodowi książek wdzięk, jakiego nie miał nigdy.

Podczas gdy Teresa, mrucząc, szukała wazonów, spoglądałem na rozsypane, piękne fiołki, których zapach unosił się koło mnie niby woń cudnej duszy, i pytałem sam siebie, jak mogłem nie poznać pani Coccoz w księżnej Trepow. Ale zbyt szybka i przelotna była dla mnie wizja młodej wdowy, pokazującej mi na schodach swe nagie dzieciątko. Należało się raczej uskarżać, że przeszedłem obok pięknej, wdzięcznej duszy, nie odgadnąwszy jej wcale.

— Mój Bonnard — mówiłem sobie — umiesz odczytywać stare teksty, ale nie umiesz czytać w księdze życia. Ta roztrzepana pani Trepow, której przypisywałeś ptaśnią duszyczkę, wykazała w swej wdzięczności więcej gorliwości i rozumu, niż ty kiedykolwiek ich posiadałeś. Po królewsku odpłaciła ci za twoją wiązkę drzewa. Tereso, byłaś sroką, stajesz się żółwiem. Chodź prędko wstawić w wodę te parmeńskie fiołki!

¹²⁸sewrskie wazony — ze słynnej manufaktury porcelany w Sevres pod Paryżem. [przypis edytorski]

CZĘŚĆ DRUGA. JOASIA ALEXANDRE

I

Lusance, 8 sierpnia 1874

Gdy wysiadałem z wagonu na dworcu w Melun¹²⁹, noc siała spokój na cichą okolicę. Ziemia, dzień cały rozgrzana ciężkim jak olów słońcem, „tłustym słońcem”, jak mówią żniwiarze doliny Vire, wydzielala zapach silny i ciepły. Przy samej ziemi ciężko snuły się zapachy traw. Otrząsnąłem pył wagonu i odetchnąłem pełną piersią. Podróżna walizka, którą moja gospodyni napelniła bielizną i drobnymi przyborami toaletowymi, *munditiis*, tak mało mi ciążyła, że wywijałem nią, jak uczeń wychodzący ze szkoły wywija paczką związanych szkolnych książek.

Obym mógł być jeszcze małym uczniakiem! Ale minęło dobre pięćdziesiąt lat od chwili, gdy moja pocziwa nieboszczka matka własną ręką przyrządziła mi bułeczkę z powidłami i włożywszy ją do koszyczka zawieszonego na moim ręku, zaprowadziła mnie do szkoły, mieszczącej się między dziedzińcem a ogrodem, a utrzymywanej przez pana Douloir w końcu pasażu de Commerce, tak dobrze znanego wróblom. Ogromny pan Douloir uśmiechnął się do nas z wesołym wdziękiem i poglaskał mnie po twarzy, w ten sposób chcąc zapewne wyrazić życzliwość, jaką nagle dla mnie odczuł. Ale gdy moja matka przeszła podwórze pośród ulatujących przed nią wróbli, pan Douloir nie uśmiechał się już, nie okazywał już mi żadnej czułości, przeciwnie — spoglądał na mnie jako na stworzonko bardzo niemiłe. Zauważyłem później, że uczucia tego rodzaju żywił względem wszystkich swych uczniów. Obdzierał nas uderzeniem linijki z szybkością i zwinnością, jakiej trudno było spodziewać się po jego tuszy. Ale czułość jego powracała zawsze, ilekroć w naszej obecności mówił do naszych matek. Wtedy, chwalać nasze zdolności i naszą pilność, przysyłał nam przyjazne spojrzenie. Szczęśliwy to był czas dla mnie, czas spędzony na ławkach pana Douloir z małymi koleżkami, którzy tak jak i ja od rana do wieczora płakali i śmiali się z całego serca.

Po upływie pół wieku wspomnienia te, świeże i świetlane, wypływają na powierzchnię mej duszy pod tym niebem gwiazdzistym, niezmiennym, którego jasne, niewzruszone światelka ujrzą niechybnie jeszcze wielu takich uczniów, jakim byłem wtedy, uczniów, którzy przeobrazili się w zakatarzonych, siwych uczonych, jakim jestem teraz.

Gwiazdy, coście świeciły nad lekkimi lub ciężkimi głowami wszystkich mych zapomnianych przodków, przy blasku waszym czuję głęboki żal! Chciałbym mieć potomstwo, które widziałoby was jeszcze, gdy ja już widzieć was nie będę. Byłbym ojcem i dziadkiem, gdybyś była chciała ty, Klementyno, której twarzyczka tak świeża była pod różową kapotką. Ale poślubiłaś pana Achillesa Allier, bogatego ziemianina z Nivernais, prawie szlachcica, gdyż ojciec jego, nie-szlachcic, nabywca dóbr narodowych, wraz z zamkiem i gruntami swych panów nabył ich szlacheckie tytuły. Nie widziałem cię już od twego małżeństwa, Klementyno, i myślę, że życie twoje płynęło pięknie, cicho i spokojnie w twym sielskim zamczysku. Dowiedziałem się raz, przypadkowo, od jednego z twych przyjaciół, że rozstałaś się z życiem, pozostawiając córkę do siebie podobną. Na wiadomość tę, która o dwadzieścia lat wcześniej byłaby wzburzyła wszystkie siły mej duszy, nastał we mnie wielki spokój; uczucie, jakie mnie ogarnęło, było nie ostrym bólem, lecz raczej głębokim i cichym smutkiem duszy, posłusznej wielkim nakazom przyrody. Zrozumiałem, że to, co kochałem, jest już cieniem tylko. Ale wspomnienie twoje pozostaje czarem mego życia. Twa wdzięczna, z wolna więdnąca postać zniknęła pod bujną trawą. Młodość twej córki także już minęła, uroda jej przekwitła zapewne. A ciągle jeszcze widzę cię, Klementyno, z jasnymi kędziorami pod różowym kapelusikiem.

Co za noc wspomniała! Szlachetna, kojąca, panuje nad ludźmi i zwierzętami, które uwolniła od codziennego jarzma, i ja doświadczałem jej dobroczynnego wpływu, chociaż wskutek sześćdziesięcioletniego nawyku odczuwam tylko zewnętrzne znaki rzeczy.

Dla mnie na świecie istnieją tylko słowa, tak dalece jestem filologiem! Każdy na swój

¹²⁹ Melun — miejscowość we Francji, ok. 50 km na pld. od Paryża. [przypis edytorski]

Słowo

Książka

sposób marzy o życiu. Ja sen życia przemarzyłem w mojej bibliotece i gdy nadejdzie pora pożegnać się z tym światem, oby Bóg zabrał mnie z mojej drabinki, sprzed pólek zapelnionych książkami!

— Ech! *Toc*¹³⁰ to przecie on! Dzień dobry, panie Bonnard! Dokądże pan szedł, stając lekkim krokiem, podczas gdy w kabrioecie¹³¹ oczekiwałem pana na dworcu? Wymknął mi się pan przy wyjściu z pociągu i już niepyszny wracałem do Lusance. Daj mi pan walizkę i siadaj do powozu obok mnie. Wie pan, że stąd do pałacu dobre siedem kilometrów?

Któż to tak mówi do mnie donośnym głosem z wyżyny swego kabrioletu? Pan Paweł de Gabry, bratanek i spadkobierca pana Honoriusza de Gabry, para Francji¹³² w roku 1842, niedawno zmarłego w Monaco. Właśnie to do pana Pawła de Gabry udawałem się z moją walizką, dobrze napchaną przez Teresę. Paweł de Gabry wraz ze swymi dwoma szwagrami odziedziczył cały majątek swego stryja, który pochodził ze starej sędowskiej rodziny i miał w swym zamku Lusance bibliotekę bogatą w manuskrypty, pochodzące jeszcze z XIII stulecia. Przybyłem do Lusance, aby — na prośbę pana Pawła de Gabry, którego ojciec, człowiek światowy i wybitny bibliofil, za życia swego utrzymywał ze mną przyjacielskie stosunki — sporządzić inwentarz i katalog tych manuskryptów. Prawdę mówiąc, syn nie odziedziczył szlachejnych upodobań ojca. Pan Paweł oddał się sportom; zna się doskonale na psach i koniach i sądzę, że ze wszystkich umiejętności mogących zaspokoić lub oszukać niewyczerpaną ciekawość ludzką, w pełni posiadał tylko znanstwo stadni i psiarni.

Spotkanie mnie nie zdziwiło, było bowiem właściwie umówione, ale przyznaję, że zajęty własnym biegiem myśli, zapomniałem o zamku Lusance i jego właścicielach do tego stopnia, że pozdrowienie pana de Gabry na zakręcie drogi, rozwijającej się przede mną niby wstęga, niemiłe uderzyło moje ucho, jak niepotrzebny, natrętny hałas.

Obawiam się, że moja fizjonomia nieostrożnie zdradziła me roztargnienie głupkowatym wyrazem, który się na niej maluje w wielu okolicznościach życia. Moja walizka zajęła miejsce w kabrioecie, a ja poszedłem za nią. Podobała mi się szczerość i prostota mego gospodarza.

— Ja zupełnie się nie rozumiem na pańskich starych pergaminach — rzekł pan de Gabry — ale będzie pan miał u nas z kim mówić. Nie licząc proboszcza, który sam pisze książki, i doktora, bardzo miłego człowieka, chociaż liberała, znajdziesz pan kogoś, z kim się można zmierzyć — moją żonę. Nie jest uczona, ale zdaje mi się, że nie ma rzeczy, której by nie rozumiała. Zresztą, dzięki Bogu, liczę na to, że zatrzymam pana dość długo, by pan mógł poznać pannę Joasię, która ma paluszki czarodziejskie i duszę anioła.

— Czy ta, tak bogato uposażona panienka, należy do pańskiej rodziny? — zapytałem.

— O, nie — odrzekł pan Paweł z wzrokiem zwróconym na uszy konia, którego podkowy miarowo uderzały po drodze, wysrebrzonej światłem księżycowym. — Jest to młodziutka przyjaciółka mojej żony, zupełna sierota, bez ojca i matki. Ojciec jej wpłatał nas w interesy finansowe, z których wywikłaliśmy się z niemałym trudem.

Potrząsnął głową i zmieniając przedmiot rozmowy, uprzedził mnie o zaniedbaniu, w jakim zastanę park i pałac, niezamieszkały od lat trzydziestu dwóch. Dowiedziałem się dalej, że stryj, pan Honoriusz de Gabry, za życia swego był w najgorszych stosunkach z okolicznymi kłusownikami, na których jego leśniczy polował jak na króliki. Jeden z nich, mściwy wieśniak, który otrzymał prosto w twarz ładunek pańskiego prochu, zaczął się pewnego wieczora za drzwiami i stamtąd wypuścił na dziedzica kulkę, osmalając mu koniec ucha.

— Stryj — dodał pan Paweł — chciał widzieć, skąd padł strzał, ale nie zobaczył nic i wrócił do pałacu, nie przyspieszwszy nawet kroku. Nazajutrz, przywoławszy rządce, kazał mu zamknąć park i zamek i nie wpuszczać żywego ducha. Surowo przykazał, aby do jego powrotu nic w pałacu nie zmieniano i nie odnawiano. Cedząc przez zęby, dodał jak w piosence: że wróci „na Wielkanoc albo na Tróję Świętą”¹³³, i jak w piosence minęła

¹³⁰*toc* (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

¹³¹*kabriolet* (daw.) — lekki jednokonnny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

¹³²*par Francji* — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

¹³³*na Wielkanoc albo na Tróję Świętą* (fr. idiom. *à Pâques ou à la Trinité*) — na świętego Nigdy; idiomatyczne wyrażenie francuskie z ułożonej po bitwie pod Malplaquet (1709) prześmiewczej piosenki o angielskim dowódcy,

Trójca Święta, a nikt go nie zobaczył. Umarł zeszłego roku w Cannes i po raz pierwszy od trzydziestu dwu lat mój szwagier i ja weszliśmy do opuszczonego zamku. Ujrzelśmy kasztan na środku salonu. Co do parku, nie można go było przejść, bo znikły bez śladu ścieżki i aleje.

Mój towarzysz umilkł; słychać było tylko regularny klus konia i brzęczenie owadów w trawach. Snopy, ustawione na polach po obu stronach drogi, przybierały w niepewnym świetle księżyca kształty białych, klęczących kobiet; utonąłem cały w czarach tej cudownej nocy. Minąwszy głębokie cienie promenady, skręciliśmy na prawo, kabriolet toczył się po przepysnej alei wjazdowej, u której końca ujrzałem ciemny tułów pałacu ze strzelistymi wieżami po bokach. Groblą przerzuconą przez rów z bieżącą wodą wjechaliśmy na paradny podwórzec. Grobla zastępowała zwodzony most, zniszczony dawno. Utrata zwanego mostu stanowiła pewnie pierwsze upokorzenie, które znieść musiał ten rycerski zamek, zanim doprowadzono go do pokojowego stanu, w jakim przyjmował mnie w swe mury. Gwiazdy z dziwną wyrazistością odbijały się w ciemnej wodzie. Pan Paweł, jako uprzejmy gospodarz, zaprowadził mnie do mego pokoju na poddaszu w końcu długiego korytarza i powiedział dobranoc, przepraszając, że z powodu spóźnionej pory nie może zaraz przedstawić mnie żonie.

Pokój mój, białe malowany i obity kretonem w kwiatki, nacechowany był wdziękiem wieku XVIII, wieku sielankowych miłości. Ciepły jeszcze popiół zdradzał sposób, w jaki usiłowano usunąć panującą tu wilgoć. Nad kominkiem stało biskwitowe¹³⁴ popiersie Marii Antoniny¹³⁵. Na białych ramach przyćmionego i skazami upstrzonego zwierciadła widniały dwa mosiężne haczyki, służące niegdyś ówczesnym damom do zawieszania łańcuszków. Teraz te haczyki gotowe były przyjąć mój zegarek. Nie omieszkalem nakręcić go, bo, wręcz sprzecznie z maksymami Telemitów¹³⁶ uważam, że człowiek jest panem czasu, to jest samego życia, tylko wtedy, gdy podzieli go na godziny, minuty i sekundy, to jest na cząstki odpowiednie do krótkości ludzkiego istnienia.

Rozmyślałem: życie dlatego wydaje się nam krótkie, że niebacznie mierzymy je według naszych szalonych nadziei. Musimy wszyscy, jak starzec z bajki, dobudować skrzydło do naszego gmachu¹³⁷. Ja, zanim umrę, pragnę wykończyć dzieje opatów z Saint-Germain-des-Prés. Czas, który Pan Bóg każdemu z nas udziela, jest podobny do cennej tkaniny, którą zahaftowujemy tak, jak umiemy najlepiej. Utkalem swą tkaninę z ornamentów filologicznych wszelkiego rodzaju.

Zawiazywałem chustkę na głowie, a myśli moje, biegnąc tym torem, przypominały mi przeszłość i po raz drugi w ciągu jednego obiegu zegara, zanim zgasilem świecę i usnąłem przy dźwięcznym rechotaniu żab, pomyślałem o tobie, Klementyno, aby błogosławić cię w twoim potomstwie.

II

Lusance, 9 sierpnia

Podczas śniadania miałem niejednokrotnie sposobność ocenić dar rozmowy pani de Gabry. Opowiadała mi, że zamek nawiedzają duchy, głównie dama „z trzema fałdami na plecach”, za życia swego trucicielka, teraz dusza pokutująca.

Nie umiem wyrazić, ile umiała nadać wyrazu i życia tej opowieści, godnej starych nianiek. Kawę piliśmy na tarasie, którego balustrada, opleciona potężnym bluszczem

Czas, Kondycja ludzka,
Nadzieja

Czas, Kondycja ludzka

księciu Marlborough, którego Francuzi uważali za poległego i wyśmiewali w niej, jak wyrusza na wojnę i ma powrócić z niej na Wielkanoc albo na dzień Trójcy Świętej. [przypis edytorski]

¹³⁴biskwitowy — o przedmiocie ozdobnym: wykonany z porcelany niepokrytej szkliwem, przypominającej marmur. [przypis edytorski]

¹³⁵Maria Antonina (1755–1793) — królowa Francji jako żona Ludwika XVI; w czasie rewolucji ścięta na gilotynie. [przypis edytorski]

¹³⁶Telemiti — utopijna wspólnota klasztorna opactwa Telemy z satyrycznej powieści renesansowej François Rabelais'go *Gargantua i Pantagruel*, w której jedyną regułą było: „Czyń, co chcesz”. [przypis edytorski]

¹³⁷jak starzec z bajki, dobudować skrzydło do naszego gmachu — w bajce La Fontaine'a *Śmierć i Starzec* (VIII, I), w której stuletni Starzec prosi Śmierć, by poczekała i pozwoliła mu jeszcze zrobić kilka rzeczy, m.in. dobudować skrzydło domu. [przypis edytorski]

i wyrwana z kamiennej podstawy, tkwiła w skrętach lubieżnej rośliny, w rozpaczliwej pozie tesalskich¹³⁸ niewiast w ramionach centaurów-gwałcicieli¹³⁹.

Zamek w kształcie wozu o czterech kołach, z wieżyczkami na każdym rogu, wskutek kilkakrotnych przeróbek utracił wszelki styl. Była to obszerna i szacowna budowla, nic więcej. Wydało mi się, że nie doznał znaczniejszej szkody wskutek trzydziestodwuletniego zaniedbania. Ale gdy weszliśmy z panią de Gabry do salonu, ujrzałem, że podłoga jest spaczona, listwy pogniłe, boazerie popękane, malowidła ściennie szerniały i na wpół z obramowań wypadły. Kasztan podważył płyty posadzki, wyrósł na środku salonu i teraz w stronę pozbawionego szyb okna zwracał kity swych szerokich liści.

Mocno mnie ten widok zaniepokoił, bo pomyślałem, że mieszcząca się w sąsiednim pokoju bogata biblioteka pana Honoriusza de Gabry tak długo wystawiona była na szkodliwe wpływy. Przyglądając się kasztanowi w salonie, musiałem podziwiać wspianą siłę przyrody i niepowstrzymany pęd każdego zarodka, by rozwinąć się w pełnię życia. Za to ze smutkiem myślałem, że wysiłek, jaki podejmujemy my, uczeni, aby zatrzymać i zachować rzeczy umarłe, jest wysiłkiem ciężkim i daremnym. Wszystko, co żyło, jest koniecznym pokarmem nowych istnień. Arab, który buduje sobie chatę z marmurów świątyni Palmiry¹⁴⁰, jest większym filozofem niż wszyscy kustosze muzeów Londynu, Paryża i Monachium.

Przemijanie, Historia,
Nauka

Lusance, 11 sierpnia

Dzięki Bogu! Położona od wschodu biblioteka nie doznała szkód niepowetowanych! Oprócz ciężkiego szeregu starych *Coutumiers*¹⁴¹ *in folio*¹⁴², które susły przegryzły na wskroś, książki w okratowanych szafach są nienaruszone. Cały dzień spędziłem na klasyfikowaniu manuskryptów. Słońce wpadało przez wysokie okna bez firanek i podczas czytania, bardzo nieraz interesujących ustępów, słyszałem, jak bąki ciężko uderzają o szyby, trzeszczą boazerie, a roje much, upojonych światłem i upałem, brzęczą nad moją głową. Około godziny trzeciej brzęczenie to stało się tak donośne, że uniosłem głowę znad dokumentu bardzo cennego dla dziejów Melun w XIII wieku i zacząłem przyglądać się kołowaniu tych owadów. Musiałem stwierdzić, że upał zupełnie inaczej działa na skrzydła muchy niż na mózg archiwisty paleografa, trudno mi bowiem było myśleć i czułem przyjemną martwość, z której wyrwałem się tylko gwałtownym wysiłkiem. Dzwon wzywający na obiad zastał mnie wśród pracy i należało śpiesznie się przebrać, aby przyzwyciężyć stanąć przed panią de Gabry.

Suty obiad przeciągnął się sam przez się. Wcale nieźle znam się na winach. Gospodarz ocenił moje znanstwo i osądził, że zasługuję, aby na moją cześć otworzono pewną butelkę Château-Margaux. Z szacunkiem piłem to wino zacnego rodu i szlachetnych zalet, wino, którego aromatu i ognia nie można się dosyć nachwalić. Płomienna ta rosa rozlała się w mych żyłach i ożywiła mnie młodzieńczym żarem.

Siedząc na tarasie obok pani de Gabry, w zmierzchu otulającym tajemniczo powiększone kształty drzew, miałem przyjemną sposobność opisanie jej swoich wrażeń z żywotnością i barwnością zadziwiającą u człowieka tak jak ja pozbawionego wszelkiej wyobraźni. Odmalowałem jej, nie posługując się żadnym starym tekstem, cichy smutek wieczoru, piękność tej ziemi rodzinnej, która karmi nas nie tylko chlebem i winem, ale nadto ide-

¹³⁸tesalski — związany z Tesalią, krainą hist. w płn.-wsch. Grecji. [przypis edytorski]

¹³⁹tesalskich niewiast w ramionach centaurów-gwałcicieli (mit. gr.) — w mitach greckich w Tesalii mieszkali centaury, dzikie plemię istot o końskim ciele z ludzkim torsem i głową. Kiedy na wesele króla Lapitów Pejritoosa i Hippodamei nieopatrznie zaproszono spokrewnionych z nimi centaurów, ci, wypiwszy zbyt wiele wina, do którego nie nawykli, usiłowali porwać obecne na uczcie kobiety. Wywiązała się bitwa, w której centaury zostali pokonani przez Lapitów i pomagającego im Tezeusza. Walka Lapitów z centaurami (centauremachia) była popularnym tematem sztuki greckiej (np. płaskorzeźby Partenonu w Atenach i świątyni Zeusa w Olimpii). [przypis edytorski]

¹⁴⁰Palmira a. Palmyra — staroż. miasto w środkowej Syrii; położone na drodze handlowej między Mezopotamią a wybrzeżem Morza Śródziemnego, stało się niezwykle zamożne, zyskało potęgę i w III w. n.e. podjęło próbę niezależnienia się od Cesarstwa Rzymskiego; w odwecie za bunt całkowicie złupione i zniszczone w 273; zachowały się ruiny wielu monumentalnych budowli. [przypis edytorski]

¹⁴¹coutumier, Im coutumiers (fr.) — tu: zbiór praw zwyczajowych. [przypis edytorski]

¹⁴²in folio (łac.) — o książce: w formacie złożonego na pół arkusza drukarskiego; ogólnie: wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

ami, uczuciami, wierzeniami, a która przyjmie nas wszystkich do swego macierzystego łona jak dzieci znuzone długim dniem.

— Kochany panie — rzekła uprzejma gospodyni — niech pan spojrzysz na te wieże, drzewa, niebo; wyglądają tak, jakby z nich od razu miały się wyłonić wróżki i chochliki z baśni i śpiewek ludowych. Oto tam ścieżka, po której Czerwony Kapturek szedł do lasu zbierać orzeszki. To niebo zmienne i zawsze trochę zamglone przerzynały rydwany wieszczek i czarodziejek, a ta wieża północna mogła pod swym spiczastym dachem gościć starą prządkę, której wrzeczono ukłuć śpiącą królową.

Rozmyślałem nad tymi miłymi słowami, podczas gdy pan Paweł poprzez wonny dymek dobrego cygara opowiadał mi o procesie, który ma z gminą z powodu odwadniania pól. Pani de Gabry, czując chłód wieczoru, pożegnała nas i udała się do swego pokoju. Ja, zamiast iść do siebie, postanowiłem wrócić do biblioteki i dalej przeglądać manuskrypty. Mimo sprzeciwu pana Pawła radzącego mi, bym poszedł spać, wszedłem do tak zwanej po staroświecku „księżnicy” i przy świetle lampy zabrałem się do roboty.

Przeczytawszy około piętnastu stron napisanych przez skrybę roztargnionego i ignorantą, gdyż tylko z pewną trudnością zdołałem znaczenie ich zrozumieć, wsunąłem rękę do szeroko otwartej kieszeni surduta, aby wydobyć tabakierkę, ale ruch ten, tak naturalny i prawie instynktowny, tym razem kosztował mnie nieco wysiłku i zmęczenia; otworzyłem jednak srebrne pudełeczko i wydobyłem zeń szczyptę wonnego proszku, który posypał mi się na gors koszuli, oszukując haniebnie mój nos. Pewny jestem, że mój nos wyraził swój zawód, jest bowiem bardzo wymowny. Kilkakrotnie zdradził on moje najtajniejsze myśli, na przykład w bibliotece publicznej Coutances¹⁴³, gdzie przed nosem mego kolegi Brioux udało mi się odkryć kartularz¹⁴⁴ z Notre-Dame-des-Anges¹⁴⁵. Jakaż była moja radość! Moje małe, bez blasku, ukryte pod okularami oczy nic nie dały poznać po sobie. Ale na sam widok mego drżącego z radości i dumy haczykowatego nosa Brioux domyślił się, że zrobiłem ważne odkrycie. Zauważył książkę, którą trzymałem w ręku, zanotował miejsce, gdzie ją położyłem wychodząc, wziął ją czym prędzej, skopiował w sekrecie i wydał szybko, aby ze mnie zakpić. Ale chcąc oszukać mnie, oszukał sam siebie. Edycja jego roi się od błędów i miałem satysfakcję wykazania w niej kilku potężnych głupstw.

Wracając do rzeczy, mocno podejrzewałem, że umysł mój ogarnia ciężka senność. Miałem przed oczyma dokument, którego ważność każdy oceni, gdy tylko powiem, że była w nim wzmianka o samotrzasku¹⁴⁶ sprzedanym księdzu Jehanowi d'Estourville w roku 1212. Ale chociaż doskonale oceniałem doniosłość aktu, nie zwracałem nań tak bardzo należytej mu uwagi.

Oczy, wbrew mej woli, zwracały się ciągle na jedną stronę stołu, która z punktu widzenia erudycji nie przedstawiała nic ciekawego. Leżał tam gruby niemiecki tom, oprawny w świńską skórę; mosiężne gwoźdźdiki zdobiły okładkę, na grzbiecie były wypukłe, grube, podłużne prążki. Był to piękny egzemplarz owej kompilacji, znanej ogólnie pod nazwą *Kroniki norymberskiej*¹⁴⁷; największą ozdobą tej księgi są piękne sztychy. Książka, lekko rozwarta, stała do góry grzbietem.

Nie umiałbym powiedzieć, jak długo spojrzenia moje bez żadnego powodu zwrócone były na stare *in folio*, gdy nagle oczy me przykuł widok tak nadzwyczajny, że nawet człowiek jak ja zupełnie pozbawiony wyobraźni musiał tym być żywo zaniepokojony.

Ujrzałem bowiem nagle, nie zauważywszy, kiedy się zjawiała, małą osobkę; siedziała na grzbiecie tomu z jednym kolaniem podwiniętym, a drugą nogą spuszczoną, mniej więcej

¹⁴³Coutances — miejscowość w płn.-zach. Francji, znana gł. z XIII-wiecznej gotyckiej katedry z dwuwieżową fasadą. [przypis edytorski]

¹⁴⁴kartularz — średniowieczny zbiór dokumentów, ich kopii i odpisów, dotyczących majątków ziemskich, przeważnie klasztornych. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Notre-Dame-des-Anges (fr.: Matka Boska Anielska) — tu zapewne: średniowieczny kościół i opactwo w Angles w zach. Francji; tę samą nazwę nosi we Francji kilkanaście kościołów i kaplic oraz kilka dawnych opactw. [przypis edytorski]

¹⁴⁶samotrząsk (łow.) — potrzask, rodzaj pułapki na zwierzęta, zamykającej się automatycznie, gdy zwierzę w nią wpadnie. [przypis edytorski]

¹⁴⁷Kronika norymberska, łac. *Liber chronicarum* — bogato ilustrowana kronika dziejów świata, wyd. w 1493 w Norymberdze. [przypis edytorski]

w pozie, jaką przybierają na koniu amazonki¹⁴⁸ w Hyde Parku¹⁴⁹ i Lasku Bulońskim. Była tak mała, że opuszczona nóżka nie sięgała stołu, na którym wężową linią rozkładał się ogon jej sukni. Miała twarz i kształty osoby dorosłej. Pełność jej biustu i krągłość kibici nie pozostawiała co do tego żadnej wątpliwości, nawet dla takiego starego uczonego jak ja. Dodam — i pewny jestem, że się nie mylę — że była bardzo piękna i dumna, bowiem moje studia ikonograficzne od dawna nauczyły mnie poznawać czystość typu i charakteru twarzy. Rysy tej damy, siedzącej tak nieoczekiwanie na grzbiecie *Kroniki norymberskiej*, tchnęły szlachetnością i figlarnością zarazem.

Wyglądała jak królowa, ale królowa kapryśna, i z samego wyrazu jej spojrzenia osądziłem, że z wielką fantazją musi gdzieś wielką sprawować władzę. Usta jej były rozkazujące i ironiczne, błękitne oczy w niepokojący sposób śmiały się pod czarnymi brwiami o bardzo czystym łuku. Słyszałem zawsze, że blondynkom nadzwyczaj do twarzy z czarnymi brwiami, a dama ta była właśnie blondynką. Wszystko razem wywierało wrażenie wielkości.

Dziwne wydać się może, że osoba nie większa od butelki, osoba, która łatwo zginęłaby w kieszeni mego surduta, gdyby nie było niegrzecznością tam ją umieścić, wywołuje właśnie wrażenie wielkości. Ale w proporcjonalnych kształtach damy siedzącej na *Kronice norymberskiej* była taka dumna wysmukłość, taka majestatyczna harmonia, postawa jej była tak swobodna i jednocześnie szlachetna, że wydała mi się wielka. Mimo że kałamarnicz mój, na który spoglądała z szyderczą uwagą, jak gdyby z góry znać mogła wyrazy, jakie z niego na koniec mego pióra spłynąć miały, mógłby być dla niej głęboką sadzawką, w której do podwiązek uczerniłaby swe różowe, jedwabne pończoszki, mimo to, powtarzam, była wielka i imponująca w swej wesołości.

Ubiór jej, stosowny do postaci, był nadzwyczaj wspaniały, składał się z sukni ze złotej i srebrnej lamy¹⁵⁰ i aksamitnego, jasnoczerwonego płaszcza, podbitego gronostajami. Na głowie miała czepiec o dwóch rogach, które ozdobione perłami najczystszej blasku wyglądały jak jasny, świetlisty sierp księżycy. W małej, białej ręczce trzymała laseczkę, która tym bardziej zwróciła moją uwagę, że studia archeologiczne pozwalają mi z niejaką pewnością rozróżnić godła służące jako oznaki głównym osobom legend i dziejów. Umiejętność ta przydała mi się w tej okoliczności. Przyjrzałem się laseczce, dostrzegłem, że była wycięta z cienkiej gałązki drzewa wiśniowego. Jest to, mówiłem sobie, laska wieszczki, zatem dama trzymająca ją — jest wieszczką.

Rad, że znam osobę, z którą mam do czynienia, starałem się zebrać myśli, by zwrócić się do niej z grzecznym komplementem. Wyznaję, że sprawiłoby mi wielką przyjemność mądrze pomówić z nią o roli wieszczek, zarówno wśród ras saksońskich i germańskich, jak i wśród ras łacińskiego Zachodu. Sądziłem, że tego rodzaju dyskusja byłaby dowcipnym sposobem podziękowania tej damie za to, że objawiła się staremu erudycie, wbrew stałemu zwyczajowi jej siostrzyc, które ukazują się tylko niewinnym dzieciom i prostym wieśniakom.

„Można być wieszczką, ale niemniej jest się kobietą — myślałem sobie — i skoro pani Récamier¹⁵¹, jak słyszałem od J. J. Ampère’a¹⁵², nie lekceważyła wrażenia, jakie jej piękność wywierała na małych kominiarczykach, to i nadprzyrodzonej tej damie, siedzącej na *Kronice norymberskiej*, miło będzie usłyszeć, że erudyta traktuje ją uczenie, jak medal, pieczęć, fibułę¹⁵³ lub żeton”. Ale zamiar ten, trudny do wykonania przy mojej nieśmiałości, stał się wręcz niemożliwy, gdy ujrzałem, jak dama na *Kronice* z torebki zawieszzonej u paska zaczyna wyjmować orzeszki, tak drobne, jakich nie widziałem nigdy, rozgryza je żąbkami i rzucając mi w twarz łupinki, spożywa jądra z powagą ssącego dziecka.

¹⁴⁸amazonka — kobieta uprawiająca jazdę konną; od nazwy mitycznego plemienia kobiet-wojowniczek. [przypis edytorski]

¹⁴⁹Hyde Park — jeden z parków w Londynie; wzdłuż jego pld. granicy biegnie Rotten Row, modna w XIX w. droga do jazdy konnej. [przypis edytorski]

¹⁵⁰lama — jedwabna tkanina, przetykana srebrnymi bądź złotymi nitkami. [przypis edytorski]

¹⁵¹Récamier, Juliette (1777–1849) — francuska piękność, której paryski salon gromadził największe osobistości świata polityki, literatury i sztuki. [przypis edytorski]

¹⁵²Ampère, Jean-Jacques (1800–1864) — francuski historyk, filolog i literat; członek Akademii Francuskiej; syn fizyka André-Marie Ampère. [przypis edytorski]

¹⁵³fibuła (daw.) — dziś: fibuła, ozdobna, metalowa zapinka do spinania szat, używana aż do średniowiecza. [przypis edytorski]

Wtedy postąpiłem tak, jak nakazywała mi godność nauki — milczałem. Rzucane lupinki wywołały wrażenie przykrego lechtania twarzy, podniosłem więc rękę do nosa i ku swemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziłem, że okulary znajdują się na samym jego końcu, że zatem widziałem damę nie przez szkła, lecz ponad nimi, co jest dla mnie rzeczą niezrozumiałą, gdyż oczy moje, zniszczone odczytywaniem starych tekstów, bez okularów nie rozróżniał melona od stojącej tuż pod nosem karafki.

Nos ten, odznaczający się swą wielkością, kształtem i zabarwieniem, oczywiście musiał zwrócić uwagę wieszczki, gdyż pochwyciła moje gęsie pióro, jak pióropusz wznoszące się nad kałamarzem, i jego kitką kilkakrotnie przesunęła po moim nosie. Zdarzało mi się nieraz w towarzystwie poddawać się niewinnym żarcikom młodych panienek, które wciągając mnie do gier, nadstawiały mi do pocałunku twarz przez poręcz krzesła lub zapraszały do gaszenia świecy, usuwając ją nagle spod mego tchnienia. Ale nigdy dotąd żadna osoba płci słabej nie posunęła się do poufałego kaprysu lechtania mych nozdrzy kitką mego własnego pióra. Na szczęście przypomniałem sobie zdanie mego nieboszczyka dziadka, który zwykł był mawiać, że damom wszystko wolno i że wszystko, co od nich pochodzi, jest wdziękiem i łaską. Toteż jako wdziek i łaskę przyjąłem i skorupki orzechów, i kitkę pióra; próbowałem się nawet uśmiechnąć. Więcej jeszcze — przemówiłem.

— Pani — orzekłem uprzejmie i z godnością — zaszczytasz swymi odwiedzinami nie smarkacza lub prostaka, lecz bibliotekarza, który ma zaszczyt cię znać i wie, że niegdyś u żłobów płałaś grzywy koniom, spijałaś mleko z pienistych czarek, wsuwałaś kolące ziarna za kołnierzbę prababek, że za twą sprawą iskiereczki z ogniska przyskały ludziom prosto w twarz, jednym słowem, wносиłaś w dom wesołość i nieład. Możesz nadto pochwalić się, że wieczorami w lesie nieraz płoszyłaś spóźnione pary zakochanych. Ale myślałem, że na zawsze znikłaś od trzystu przynajmniej lat. Czyż być może, aby widziano cię jeszcze w tej epoce kolei żelaznych i telegrafu? Odźwierna moja, dawna niańka, i mały mój sąsiad, któremu jeszcze niańka nosek wyciera, utrzymują, że już nie istniejesz.

— A ty co mówisz? — srebrnym głosikiem zawołała dama, zuchowato prostując swą małą figurkę i jak hipogryfa¹⁵⁴ chłoszcząc grzbiet *Kroniki norymberskiej*.

— Ja, ja nie wiem — odrzekłem, przecierając oczy.

Odpowiedź ta, nacechowana głęboko naukowym sceptycyzmem, wywarła na niej jak najgorsze wrażenie.

— Może, panie Sylwestrze Bonnard — rzekła — jesteś po prostu głuptaskiem. Zawsze to przypuszczałam. Najmniejszy berbec, biegający po gościńcu z koszulką wystającą z majteczek, lepiej mnie zna niż wszyscy zaopatrzeni w okulary mędrzy z waszych instytutów i akademii. Wiedzieć jest niczym, wyobrazić sobie — wszystkim. To tylko istnieje, co sobie wyobrażymy, a to chyba nazywa się istnieć! Ja jestem wyobrażeniem. Marzą o mnie i zjawiam się! Wszystko jest tylko marzeniem, a ponieważ nikt nie marzy o tobie, Sylwestrze Bonnard, przeto ty nie istniejesz wcale. Ja czaruję świat, jestem wszędzie, w promieniu miesiąca¹⁵⁵, w drzeniu ukrytego źródła, w rozkołysanych, pieśń zawodzących liściach, w białych oparach unoszących się co rano z pól, wśród różowych wrzosów, wszędzie! Ujrzą mnie i od razu kochają! Drżą i wzdychają za lekkim śladem mych stóp wśród szemrzących, zeschłych liści. Uśmiech sprowadzam na usteczka dzieci, rozumem darzę najgłupszą piastunkę. Pochylona nad kołyskami, żartuję, pocieszam, usypiam, a ty wątpisz, że istnieję! Sylwestrze Bonnard, twój watowany surdut okrywa skórę osła!

Umilkła; oburzenie rozdymało jej cienkie nozdrza i gdy mimo obrazy podziwiałem bohaterki gniew tej małej osobki, ona jak wiosło w jeziorze zanurzyła pióro w kałamarzu i rzuciła mi je w nos ostrzem naprzód.

Przetarłem twarz, na której czułem atrament. Dama zniknęła. Lampa zgasła, promień księżycy, przebijając szybę, opuszczał się na *Kronikę norymberską*. Chłodny wiatr, który się zerwał, czego nie zauważyłem wcale, rozrzucał pióra, papiery, opłatki¹⁵⁶. Cały stół był zaplamiony atramentem. Pozostawiłem okno niezamknięte podczas burzy. Co za nieostrożność!

¹⁵⁴*hipogryf* — fantastyczne uskrzydłone zwierzę czworonożne, połączenie gryfa (pół orla, pół lwa) i konia; wymyślone przez Ariosta w poemacie *Orland szalony* (XVI w.). [przypis edytorski]

¹⁵⁵*miesiąc* (daw., poet.) — księżyc. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*opłatek* (tu daw.) — krążek papieru z klejem, do pieczętowania listu. [przypis edytorski]

Zgodnie ze swą obietnicą zawiadomiłem moją gospodynię, że jestem zdrow i cały. Nie doniosłem jej jednak, że miałem katar, usnąłem bowiem przy otwartym oknie w bibliotece. Zaczyna ta kobieta tak samo nie szczędzić mi uwag, jak parlamenty nie szczędzą ich królom. „W pańskim wieku być tak nierozsądnym!” — powiedziała. Jest na tyle naiwna, że sądzi, iż rozsądek wzrasta z latami. Zdaje się jej, że ja tylko jestem pod tym względem wyjątkiem.

Starość, Rozum

Nie mając żadnych przyczyn przemilczenia mej przygody przed panią de Gabry, opowiedziałem jej mój sen ze wszystkimi szczegółami. Opowiedziałem jej go tak, jak spisałem go w tym dzienniku i jak go śniłem. Obcy jest mi kunszt zmyślania. Być jednak może, że opowiadając go i spisując, tu i ówdzie umieściłem pewne szczegóły i wyrazy, których nie było w nim pierwotnie, nie po to, żeby skazać prawdę, ale raczej przez tajemną chęć objaśnienia i wykończenia tego, co pozostawało niejasne i zagmatwane; może zresztą uczyniłem tak, ulegając zamięłowaniu do alegorii, czego w dzieciństwie nauczono mnie na wzorach greckich.

Pani de Gabry słuchała mnie z przyjemnością.

— Pańska zjawa — rzekła — jest prześliczna i trzeba mieć dużo rozumu, żeby miewać takie marzenia.

— Znaczy to — odrzekłem — że mam rozum, gdy śpię.

— Gdy pan śni — rzekła — a śni pan zawsze!

Wiem, że mówiąc tak, pani de Gabry chciała jedynie zrobić mi przyjemność, ale sama już chęć taka zasługuje na wdzięczność, toteż z tklivością zapisuję to wspomnienie w dzienniku, który do śmierci odczytywać będę, a którego oprócz mnie nikt więcej czytać nie będzie.

Dni następne zużyłem na wykończenie inwentarza manuskryptów biblioteki w Lusance. Kilka w zaufaniu wyrzeczonych słów pana Pawła de Gabry zdziwiło mnie boleśnie i skłoniło do tego, że pracę moją postanowiłem skończyć inaczej, aniżeli ją rozpocząłem. Dowiedziałem się bowiem od niego, że majątek pana Honoriusza de Gabry, od dawna źle zarządzany i w znacznej części uszczuplony wskutek bankructwa bankiera, którego nazwiska mi nie wymienił, dostał się spadkobiercom owego para Francji tylko jako nieruchomości obciążona hipoteką i niewypłacalnymi wierzytelnościami.

Pan Paweł w porozumieniu z innymi spadkobiercami zdecydował się na sprzedaż biblioteki i miałem wynaleźć sposób, w jaki by najkorzystniej to wykonać. Jako zupełnie obcy wielkim transakcjom handlowym, postanowiłem zasięgnąć rady znajomego księgarza i w tym celu napisałem, by przyjechał do mnie do Lusance. Czekając jego przybycia, wziąłem kapelusz i laskę w rękę, by zwiedzić sąsiednie kościoły, w których znajdują się niedokładnie zbadane nagrobne napisy.

Opuściłem więc moich gospodarzy i udałem się na pielgrzymkę. Całymi dniami szperałem po kościołach i cmentarzach, odwiedzałem proboszczów i wiejskich notariuszów, jadałem w oberżach z wędrownymi kramarzami i handlarzami bydła, spałem w pościeli pachnącej lawendą, zażywałem przez cały tydzień głębokiego i cichego zadowolenia, gdy dumając o zmarłych, widziałem, jak żywi spełniają codziennie swe prace. Jeśli chodzi o moje poszukiwania — dokonałem tylko niezbyt szczególnych odkryć, co dało mi radość umiarkowaną, a tym samym zdrową i niemęczącą. Odnalazłem kilka interesujących napisów nagrobnych, nadto dołączyłem do tego małego skarbu parę sielskich przepisów kuchennych, chętnie udzielonych mi przez pewnego pocziwego proboszcza.

Tak wzbogacony, wróciłem do Lusance i miałem paradny podwórzec z wewnętrznym zadowoleniem obywatela wracającego do siebie. Jest to wynik uprzejmości moich gospodarzy i uczucie, jakiego doznałem wówczas na progu ich domu, świadczy lepiej niż wszelkie rozumowania, jak doskonała była ich gościnność.

Doszedłem aż do wielkiego salonu, nie spotkawszy nikogo, a młody kasztan, rozpościerający swe wielkie liście, zrobił na mnie wrażenie przyjaciela. Ale to, co spostrzegłem

później na konsolce¹⁵⁷, przejęło mnie takim zdziwieniem, że obiema rękoma umocniłem okulary na nosie i obmacałem się, aby choć powierzchownie przekonać się o własnym istnieniu. W ciągu jednej sekundy dwadzieścia myśli przemknęło mi przez głowę, a z tych najprawdopodobniejsza była ta, że zwariowałem. Zdawało mi się niemożliwe, aby to, com widział, istniało, a niepodobna mi było nie widzieć tego jako rzeczy istniejącej. Przedmiot wywołujący moje zdziwienie spoczywał, jak mówiłem, na kominku, nad którym wisiało zamglone i poplamione lustro.

Spojrzałem w to lustro i stwierdzam, że ujrzałem doskonale wcielenie zdumienia. Ale przyznawałem sobie rację i uważałem, że słusznie jestem zdumiony rzeczą zdumiewającą. Przedmiot, któremu przyglądałem się ze zdziwieniem, nie zmniejszającym się pod wpływem refleksji, poddawał się memu badaniu w zupełnej nieruchomości. Trwałość i stałość zjawiska wyłączała wszelką myśl o halucynacji. Nie podlegałem żadnym cierpieniom nerwowym, mącącym zmysł wzroku. Przyczyną takich cierpień są zazwyczaj zaburzenia żołądkowe, a ja mam — dzięki Bogu! — doskonały żołądek. Zresztą złudzeniom wzroku towarzyszą okoliczności szczególne i anormalne, które nie uchodzą uwagi halucynujących i wzbudzają w nich rodzaj lęku. Otóż nie doświadczałem nic podobnego i przedmiot, który widziałem, choć niemożliwy sam w sobie, przedstawiał mi się w warunkach doskonale rzeczywistych. Zauważyłem, że jest on trójwymiarowy, barwny i że rzuca cień. Ach! Z jakąż uwagą mu się przyglądałem! Aż oczy łzami mi zaszkły i musiałem trzeć szkła okularów.

Wreszcie trzeba było zgodzić się z oczywistością i stwierdzić, że miałem przed oczami wieszczkę, wieszczkę, która śniła mi się owej nocy w bibliotece. To była ona, ona na pewno! Miała jeszcze tę minę królowej, gibką i dumną postawę, w rękę trzymała leszczynową laseczkę, głowę zdobił takiż czepek o dwóch rożkach i ogon jej sukni ze złocistej lamy wił się jak wąż wokół jej drobnych nóżek. Ta sama twarz, ta sama postać. To ona, niewątpliwie, a dla większego jeszcze podobieństwa siedziała na grzbiecie starej i grubej książki, przypominającej zupełnie *Kronikę norymberską*.

Nieruchomość jej niezupełnie mnie uspokajała; bałem się istotnie, że znów wyjmie orzeszki z torebki i pocnie ciskać mi w twarz lupinki.

Stałem tak, z opuszczonymi rękami i otwartymi ustami, gdy głos pani de Gabry rozległ się tuż nad moim uchem.

— Przygląda się pan swojej wieszczce, panie Bonnard — rzekła pani de Gabry. — No jakże, czy uważa pan, że podobna?

Słuchając tych szybko wypowiedzianych słów, miałem czas poznać, że moja wieszczka była barwnym woskowym posążkiem, modelowanym z wielkim gustem i odczuciem, chociaż przez niewprawną jeszcze rękę. Zjawisko więc, chociaż racjonalnie wyjaśnione, mimo to bardzo mnie jeszcze dziwiło. Jak i dzięki komu dama z *Kroniki norymberskiej* zdobyła materialne istnienie? Tego pragnąłem dowiedzieć się jak najprędzej.

Obróciwszy się ku pani de Gabry, spostrzegłem, że nie jest sama: obok niej stała młoda panienka w czarnej sukni. Miała łagodne, szare jak niebo Ile-de-France¹⁵⁸ oczy, o wyrazie inteligentnym i naiwnym. Ramiona jej, nieco wątle, kończyły się ruchliwymi, czerwonymi rękami; takie powinny być ręce młodych dziewcząt. Z obcisłej czarnej wełnianej sukni wystrzelała w górę smukła jak młode drzewko, a duże jej usta tchnęły szczerością. Nie potrafię wypowiedzieć, jak mi się to dziecko od pierwszego wejrzenia spodobało. Nie była piękna, lecz trzy dołeczki jej policzków i podbródka śmiały się figlarnie i cała osoba, tchnąca jeszcze niezręcznością niewinności, wyrażała coś niewypowiedzianie dzikiego i dobrego.

Spojrzenia moje biegly od posążka do dziewczyny i widziałem, jak zaczerwieniła się szczerze, całą falą krwi.

— Więc jakże — zapytała moja uprzejma gospodyni, która przyzwyczajona do moich roztargnień często zadawała mi dwa razy to samo pytanie — czy istotnie jest to owa

¹⁵⁷konsola — ozdobny stolik przyścienny umieszczany zwykle pod lustrem jako podstawa pod inne przedmioty; tu: gzyms kominka, nad którym wisi lustro. [przypis edytorski]

¹⁵⁸Ile-de-France (fr. dosł.: wyspa Francji) — kraina historyczna w płn. Francji, zawierająca Paryż z przyległościami, stanowiąca w średniowieczu domenę królewską; ob. nazwa regionu administracyjnego. [przypis edytorski]

boginka, która chcąc widzieć się z panem, weszła przez niedomknięte okno? Ona była bardzo zuchwała, a pan nieostrożny. Czy poznajesz ją pan?

— To ona — odrzekłem — widzę ją na tej konsolce tak, jak widziałem ją na stole w bibliotece.

— Jeśli tak jest — odpowiedziała pani de Gabry — to podobieństwo to zawdzięcza pan przede wszystkim samemu sobie, gdyż jak na człowieka tak pozbawionego wyobraźni, za jakiego się pan podaje, umie pan w żywych barwach opisać swoje sny; następnie mnie, która zapamiętałam i umiałam wiernie sen pański powtórzyć, a wreszcie, i przede wszystkim — pannie Joasi, która według mych ścisłych wskazówek wosk ten modelowała.

Mówiąc to, pani de Gabry ujęła rękę młodej dziewczyny, ale ta wyrwała się i uciekła do parku.

— Joasiu!... — zawołała pani de Gabry. — Jakżeż można być tak dziką! Należy ci się bura.

Nic to nie pomogło, spłoszona dziewczyna znikła w zaroślach. Pani de Gabry usiadła na fotelu, jedynym w tym opustoszałym salonie.

— Dziwne, że mój mąż nie wspominał panu o Joasi. Lubimy ją bardzo, jest to bardzo dobre dziecko. Niech pan szczerze powie, co pan sądzi o jej posążku?

Odrzekłem, że w tej pracy jest dużo gustu i zręczności, ale znać jeszcze brak studiów i wprawy. Dodałem, że głęboko jestem wzruszony, iż młode paluszki tak ślicznie dziergały na kanwie opowieści starca i tak świetnie przedstawiły senne majaki starego zrędy.

— Tak usilnie dopytuję się o pańskie zdanie — rzekła pani de Gabry — gdyż Joasia jest ubogą sierotą. Czy sądzi pan, że mogłaby zarabiać wyrobem takich posążków?

— Co to, to nie — odrzekłem — i nie trzeba tego tak bardzo żałować. Panienska ta, jak pani powiedziała, jest tkliwą i kochającą istotą. Wierzę pani i wierzę jej twarzyczce. Życie artysty pełne jest pokus, wytrącających z równowagi dusze szlachetne i wrażliwe. Młode to stworzenie ulepione jest z tkliwej, kochającej gliny. Lepiej wydać ją u mąż.

— Ależ ona nie ma posagu! — odrzekła pani de Gabry.

I zniżając głos, dodała:

— Panu mogę wszystko powiedzieć. Ojciec tego dziewczęcia był bardzo znanym finansistą. Prowadził ogromne interesy. Miał umysł bardzo przedsiębiorczy i śmiały. Był uczciwy, oszukiwał sam siebie, zanim oszukał innych. I w tym może była największa jego przebiegłość. Byliśmy z nim w bliskich stosunkach. Oczarował nas wszystkich, mego męża, stryja, kuzynów. Upadek jego był nagły; w tej katastrofie majątek stryja — Paweł powiedział to panu — zmalował do jednej trzeciej. My daleko mniej zostaliśmy tym bankructwem dotknięci — i tak nie mamy dzieci!... Ten bankier zmarł zaraz po stracie majątku, absolutnie nic nie pozostawiwszy; dlatego też mówię, że był rzetelny. Musi pan znać jego nazwisko, bo pisano o tym we wszystkich dziennikach: nazywał się Noel Alexandre. Żona jego była bardzo miła, kiedyś musiała być przystojna. Trochę nadto lubiła błyszczeć, ale ruinę majątkową męża zniosła odważnie i z godnością. Umarła w rok po nim, pozostawiła Joasię samą na świecie. Nic nie udało się jej ocalić z osobistego, dość znacznego majątku. Pani Noelowa Alexandre była z domu Allier, córka Achillesa Allier z Nevers¹⁵⁹.

— Córka Klementyny! — zawołałem. — Klementyna nie żyje i córka jej umarła także! Prawie cała ludzkość składa się ze zmarłych, tak mało znaczą żywi wobec tłumu tych, co żyli. Czymże jest to życie tak krótkie, jak krótka jest pamięć ludzka!

I w duchu modliłem się:

„Z miejsca, gdzie dziś przebywasz, Klementyno, spójrz na to serce, teraz wystudzone wiekiem, które płonęło dla ciebie niegdyś, i powiedz, czy nie zmartwychwstaje ono na myśl ukochania tego, co pozostało po tobie na ziemi? Wszystko mija, skoro przeminęłaś ty i twoja córka; ale życie jest nieśmiertelne i kochać je trzeba w jego ciągle odnawiających się postaciach. Żyłem wśród ksiąg jak dziecię bawiące się kostkami do gry. Moje życie dopiero teraz nabiera treści, znaczenia, racji bytu. Jestem dziadkiem. Wnuczka Klementyny jest uboga. Nie chcę, by ktokolwiek innyłożył na jej wychowanie i ją wyposażył. Biorę to na siebie”.

¹⁵⁹Nevers — miasto w środkowej Francji (Burgundia), nad Loarą. [przypis edytorski]

Cnota

Vanitas, Kondycja ludzka

Widząc, że płacząc, pani de Gabry niepostrzeżenie się oddaliła.

IV

Paryż, 16 kwietnia

Święty Droktoweusz i pierwsi opaci z Saint-Germain-des-Près zajmują mnie już od lat czterdziestu, ale nie wiem, czy uda mi się wykończyć ich dzieje, zanim przyjdzie mi się z nimi połączyć. Już dawno jestem stary. Pewnego dnia w roku ubiegłym, na moście des Arts, jeden z moich kolegów z Akademii żalił mi się, jak przykro jest się starzeć.

— Jest to jeszcze jedyny sposób, jaki wynaleziono, by żyć długo — odrzekł mu na to Sainte-Beuve¹⁶⁰.

Użyłem tego sposobu i wiem, co jest wart. Przykrość nie polega właściwie na zbyt długim przedłużonym trwaniu, lecz na tym, że widzimy, jak wszystko koło nas przemija. Matkę, żonę, przyjaciół, dzieci, wszystkie te boskie skarby przyroda z niewzruszoną obojętnością daje i odbiera i okazuje się w końcu, że kochaliśmy i obejmowaliśmy tylko cienie. Ale ileż wśród nich było cieni słodkich i drogich! Chyba nic bardziej nie było cieniem w życiu mężczyzny niż to młode dziewczę, które kochałem (dziwnie brzmi to dzisiaj), gdy sam byłem młodzieńcem. A jednak wspomnienie tego cienia jest dziś jeszcze najmielszą rzeczywistością mego życia.

Na jednym z chrześcijańskich sarkofagów w katakumbach rzymskich wyryte są słowa przekleństwa, którego straszne znaczenie z czasem dopiero nauczyłem się rozumieć. Napis brzmi: „Jeśli ktoś bezbożny zbecześci te zwłoki, niech umrze ostatni ze swoich!“. Jako archeolog otwierałem groby, poruszałem prochy dla wyszukania strzępka materii, metalowych ozdób i drogich kamieni, zmieszanych z tymi popiołami. Czyniłem to przez ciekawość badacza, nie wykluczało to jednak czci i poszanowania należnego zmarłym. Oby nie dościsło mnie nigdy przekleństwo, wyryte na grobie męczennika przez jednego z pierwszych uczniów apostołów! I jakżeż dotknąć by mnie ono mogło? Póki są ludzie na ziemi, nie mam potrzeby obawiać się, że wszystkich swoich przeżyję, bo zawsze znajdą się tacy, których kochać będzie można.

Niestety! Zdolność kochania słabnie i znika z wiekiem, jak wszystkie inne siły człowieka. Dowodzą tego przykłady i to mnie przeraża. Gdzież pewność, że i ja jej już nie straciłem? Niewątpliwie stało by się tak, gdyby nie szczęśliwe spotkanie, które mnie odmłodziło. Poeci opiewają źródło młodości; istnieje ono, tryska spod ziemi przy każdym naszym kroku. A jednak tylu przechodzi, nie napiwszy się z tego źródła!

Odkąd spotkałem wnuczkę Klementyny, życie moje, niewiele już warte, nabrało znaczenia, racji bytu.

Dzisiaj chwytam słońce, jak mówią w Prowansji¹⁶¹, chwytam je na tarasie Ogrodu Luksemburskiego¹⁶², u stóp posągu Małgorzaty Nawarskiej¹⁶³. Wczesne wiosenne słońce upaja jak młode wino. Siedzę i marzę. Myśli wypływają z mego mózgu jak piana z butelki piwa. Lotne są i lekkie i ich gra mnie bawi. Marzę; sądzę, że wolno to pocziwcowi, który wydał trzydzieści tomów starych tekstów i dwadzieścia sześć lat był współpracownikiem „Journal des Savants”¹⁶⁴. Mam głębokie wewnętrzne przekonanie, że spełniłem moje zadanie, jak mogłem najlepiej, i że zupełnie wyzyskałem skromne zdolności, w które mnie wyposażyla natura. Usiłowania moje nie były zupełnie daremne; w skromnej mierze przyczyniłem się do odrodzenia prac historycznych, co pozostanie zaszczytem naszego niespokojnego wieku. Bez wątpienia zaliczą mnie w poczet owych dziesięciu czy dwunastu erudytów, którzy zaznajomili Francję z jej starożytnościami literackimi. Moje opracowanie dzieł poetyckich Gauthiera de Coincy¹⁶⁵ dało początek metodzie rozumo-

Przemijanie

Starość, Miłość

¹⁶⁰ Sainte-Beuve, Charles-Augustin (1804–1869) — francuski pisarz i krytyk literacki, twórca metody psychologiczno-biograficznej w badaniach literackich; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

¹⁶¹ Prowansja — kraina historyczna w pld.-wsch. Francji. [przypis edytorski]

¹⁶² Ogród Luksemburski — park miejski w Paryżu; słynie z licznych rzeźb i posągów. [przypis edytorski]

¹⁶³ Małgorzata z Nawarry (1492–1549) — żona Henryka II, królowa Nawarry; patronka humanistów, wpływała siostra króla Francji Franciszka I. [przypis edytorski]

¹⁶⁴ Journal des Savants — najstarsze pismo literacko-naukowe we Francji i pierwsze tego typu w Europie, zał. w 1665. [przypis edytorski]

¹⁶⁵ Gauthier de Coincy (1177–1236) — francuski mnich i poeta; autor zbioru poetyckich tekstów *Les Miracles de Notre-Dame* (Cuda Matki Boskiej), ułożonych do ówczesnych popularnych melodii. [przypis edytorski]

wanej i stanowi epokę. W surowym spokoju starości sam sobie przyznaję tę zasłużoną nagrodę, a Bóg, który widzi moją duszę, widzi też, czy duma lub próżność mają jakiś udział w sprawiedliwości, którą sobie wymierzam.

Ale jestem znużony, oczy mi nie dopisują, ręka drży, widzę obraz swój w owych starcach Homera, którzy odsunięci od walk z powodu braku sił, siedząc na szańcach, gwarzyli cicho jak świerszcze w trawie¹⁶⁶.

Gdy myśli me tak błdziły, trzech młodzi ludzie hałaśliwie usiedli w moim sąsiedztwie. Nie wiem, czy każdy z nich przybył z wielką paradą, jak małpa w bajce La Fontaine'a¹⁶⁷, ale wiem na pewno, że zajęli dwanaście krzeseł. Obserwowałem ich z przyjemnością; nie było w nich nic nadzwyczajnego, ale mieli oni tę dzielną i wesołą minę, tak właściwą młodości. Byli to studenci. Przekonywały mnie o tym nie tyle książki, które mieli w ręku, ile fizjonomie. Bo wszystkich ludzi pracujących umysłowo na pierwszy rzut oka poznać można po tym czymś nieokreślonym, co jest im wszystkim wspólne. Lubię młodzińców, a ci spodobali mi się mimo nieco wyzywających i nieokrzęsanych manier, żywo przypominających mi czas własnych studiów. Nie nosili jednak, jak my wówczas, długich włosów, opadających na aksamitną kurtkę; nie spacerowali, jak my, z trupią główką; nie klęli, jak my, piekłem i czartami. Byli starannie ubrani i ani ubiór ich, ani mowa nie naśladowały średniowiecza. Muszę dodać, że interesowali się kobietami przechadzającymi się po tarasie i że niektórzy z nich dość ostro krytykowali. Jednak ich uwagi nie przekraczały miary i nie zmuszały mnie do opuszczenia miejsca. Zresztą pilnej młodzieży chętnie pozwalałam na pewne żarciki i wybryki.

Jeden z nich powiedział dwuznaczny dowcip.

— Co to ma znaczyć? — z lekkim gaskońskim¹⁶⁸ akcentem zawołał najniższy i najbardziej ogorzały z młodzińców. — My, fizjologowie¹⁶⁹, mamy prawo zajmować się materią żywą. Ale jeśli chodzi o ciebie, Gélis, który, jak wszyscy twoi koledzy archiwiści-paleografowie, istniejesz tylko w przeszłości, zajmij się tymi oto damami z kamienia, one są z twojej epoki.

I palcem wskazywał posągi przedstawiające starofrancuskie damy, półkolem stojące w nieposzlakowanej bieli pod drzewami terasy¹⁷⁰. Niewinny żarcik objaśnił mnie, że ten, którego nazywano Gélisem, był słuchaczem historii. Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że sąsiad Gélisa, błądy, cichy i sarkastyczny blondyn, nazywa się Boulmier i jest również historykiem. Gélis i przyszły doktor (życzę, by nim był kiedyś) dysputowali ze sobą z wielką fantazją i zapałem. To wznosili się do najwyższych spekulacji, to bawili się grą słów i wygadywali głupstwa właściwe ludziom inteligentnym — głupstwa kolosalne. Nie potrzebuję dodawać, że bronili tylko najpotworniejszych paradoksów. To przynajmniej rozumiem! Nie lubię zbyt rozsądnych młodzińców.

Student medycyny spojrział na książkę, którą Boulmier trzymał w ręku.

— Cóż to — zawołał — czytujesz Micheleta¹⁷¹, ty!

— Tak — odrzekł poważnie Boulmier — lubię romanse.

Gélis, który korzystnie wyróżniał się pięknym wzrostem, dumną postawą i szybkim słowem, wziął książkę, przejrzał ją i rzekł:

— To dzieło Micheleta pochodzi z końcowego okresu jego działalności. Nie ma tu już opowiadań! Są tylko gniewy, napady szału i epilepsje z powodu faktów, których nie raczył przedstawić. Krzyki małego dziecka, zachcianki kobiety ciężarnej! Westchnienia i ani jednego sformułowanego zdania. To zadziwiające!

Młodość

Młodość

¹⁶⁶starcach Homera, którzy (...) gwarzyli cicho jak świerszcze w trawie — Homer, *Iliada* III 150–152. [przypis edytorski]

¹⁶⁷La Fontaine, Jean de (1621–1695) — francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwierzęcych. [przypis edytorski]

¹⁶⁸gaskoński — związany z Gaskonią, historyczną krainą w pld.-zach. Francji. [przypis edytorski]

¹⁶⁹fizjolog — specjalista w dziedzinie fizjologii, dziedziny nauki badającej funkcjonowanie żywych organizmów. [przypis edytorski]

¹⁷⁰terasa (daw.) — taras. [przypis edytorski]

¹⁷¹Michelet, Jules (1798–1874) — historyk i pisarz francuski okresu romantyzmu, radykalny demokrat; autor m.in. 17-tomowej *Historii Francji* (1833–1867) oraz 7-tomowej *Historii rewolucji francuskiej* (1847–1853). [przypis edytorski]

Zwrócił towarzyszkowi książkę. „Zabawna ocena — myślałem sobie — a nie tak bardzo pozbawiona sensu, jakby się zdawało. Istotnie jest pewien niepokój, powiem nawet — konwulsyjność w ostatnich pracach naszego wielkiego Micheleta”.

Tu student-Prowansalczyk począł dowodzić, że historia jest ćwiczeniem retorycznym, godnym pogardy. Według niego jedyna i prawdziwa historia to historia naturalna człowieka. Michelet był na drodze do tej prawdy, mówiąc o fistule Ludwika XIV¹⁷², ale bardzo prędko wrócił do dawnych błędów.

Wyraziwszy ten głęboki pogląd, młody fizjolog przyłączył się do przechodzącej właśnie grupy przyjaciół. Dwaj archiwiści, mający widocznie mniej znajomych w ogrodzie, zbyt odległym od ulicy Paradis-au-Marais¹⁷³, pozostali sami, rozmawiając o swoich studiach. Gélis, który był na trzecim kursie, przygotowywał rozprawę i temat jej przedstawiał z młodzieńczym zapałem. Temat ten wydał mi się dobry, a to tym bardziej, że ostatnio sam zajmowałem się tymi zagadnieniami w mojej ostatniej pracy. Był to *Monasticon gallicanum*¹⁷⁴. Młody erudyta (nadamę mu to miano jako proroctwo) zamyślał objaśnić tekst wszystkich kartonów rytych około 1690 r. dla pracy Dom Germaina, którą ów byłby też wydał, gdyby nie przeszkoda, wprawdzie nieprzewidywana, ale nigdy uniknąć się niedająca. Dom Germain, umierając, pozostawił rękopis swój wykończony i w pełnym porządku. Czyż mój taki będzie? Ale nie o to chodzi. Pan Gélis, o ile zrozumiałem, zamierzał poświęcić archeologiczną wzmiankę każdemu z opactw, narysowanych przez skromnych, nieznanych rytowników Dom Germaina.

Przyjaciół zapytał go, czy zna wszystkie drukowane i rękopiśmienne dokumenty odnoszące się do tego przedmiotu. Tu nadstawiłem ucha. Naprzód mówili o źródłach dawnych i muszę przyznać, że czynili to z dostateczną znajomością metody, mimo niezliczonych i dziwacznych kalamburów. Potem przeszli do współczesnych prac krytycznych.

— Czy czytałeś — rzekł — Boulmier — notatki Courajoda?¹⁷⁵

„Dobrze!” — pomyślałem.

— Tak — odrzekł Gélis — to sumienna praca.

— A czytałeś — pytał dalej Boulmier — artykuł Tamiseya de Larroque¹⁷⁶, umieszczony w „Przeglądzie Zagadnień Historycznych”?

„Dobrze!” — pomyślałem po raz drugi.

— Tak — odrzekł Gélis — i znalazłem tam nieco pożytecznych wskazówek.

— Czy czytałeś też — rzekł Boulmier — *Wykaz opactw benedyktyńskich w 1660 roku* Sylwestra Bonnard?

„Dobrze!” — pomyślałem po raz trzeci.

— Ach, Boże! Nie czytałem — odpowiedział Gélis. — I nie wiem, czy go przeczytam. Sylwester Bonnard to głupiec.

Odwrociwszy głowę, spostrzegłem, że już cień pada na moje krzesło. Było chłodno i doprawdy głupio z mej strony narażać się na reumatyzm dla słuchania impertynencji dwóch młokosów.

„Ach! ach! — pomyślałem, wstając. — Niech ten żółtodziób napisze swą rozprawę i broni jej. Spotka się z moim kolegą Quicheratem¹⁷⁷ lub innym jakimś profesorem i ci

¹⁷²Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej; o *fistule Ludwika XIV*: powstał u niego ropień odbytu, który pękł, tworząc niegójącą się fistulę (przetokę), zoperowaną po kilku miesiącach prób na innych pacjentach przez chirurga w obecności królewskiej żony, syna, spowiednika i premiera; o problemie króla z odbytnicą wiedziała cała Francja, wszyscy oczekiwali na pomyślną operację. [przypis edytorski]

¹⁷³Paradis-au-Marais — dawna ulica w Paryżu, istniejąca do 1868. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*Monasticon gallicanum* — zbiór 168 rycin przedstawiających francuskie klasztory benedyktyńskie Kongregacji św. Maura, zamówionych przez Dom Michela Germaina (1645–1684), benedyktyna z paryskiego opactwa Saint-Germain-des-Prés, do pisanych przez niego tekstów o każdym z tych klasztorów; praca za życia autora nie ukazała się drukiem, teksty pozostały w rękopisie, w formie luźnych kart, niektóre zaginęły, a ryciny krążyły luzem; w 1860 udało się opublikować zebrane reprodukcje rycin ukazujących klasztory w prowincji Reim, a w 1870 wszystkie ryciny dzieła. [przypis edytorski]

¹⁷⁵*Courajod, Louis* (1841–1896) — francuski historyk sztuki, kustosz muzeum w Luwrze, kolekcjoner. [przypis edytorski]

¹⁷⁶*Larroque, Philippe Tamizey de* (1828–1898) — francuski historyk, erudyta, wydawca dokumentów historycznych. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*Quicherat, Jules* (1814–1882) — francuski historyk i archeolog; profesor École des Chartes, elitarnej szkoły wyższej prowadzącej studia w zakresie nauk pomocniczych historii, od 1871 dyrektor tej placówki. [przypis edytorski]

już mu pokażą, jak ma zielono w głowie. Ja uważam go po prostu za urwisa i zastanowiwszy się, jak czynię to teraz, przyznać trzeba, że to, co powiedział o Michelecie, jest niedozwolone i przekracza wszelkie granice. Tak wyrazić się o starym, genialnym mistrzu! To doprawdy szkaradne!

17 kwietnia

— Tereso, podaj mi nowy kapelusz, najlepszy mój surdut i laskę ze srebrną gałką.

Ale Teresa głucha jest jak pień, a powolna jak sprawiedliwość. To skutek wieku. Najgorsze jednak jest to, że jej się zdaje, iż słuch ma bardzo ostry i ruchy szybkie; dumna ze swych sześćdziesięciu lat uczciwej służby, służby swemu staremu panu z najczujniejszym despotyzmem.

Czyż nie mówiłem?... Oto nie chce mi dać laski ze srebrną gałką — z obawy, bym jej nie zgubił. Istotnie często zapominam parasola lub laski w omnibusach¹⁷⁸ i księgarniach. Ale mam powód, dla którego chcę wziąć dzisiaj laskę ze srebrną gałką, wyobrażającą don Kichota¹⁷⁹, który z nastawioną lancą pędzi na wiatraki, podczas gdy Sanczo Pansa, wznosząc ręce do nieba, daremnie zaklina go, by się zatrzymał. Laska ta to całe moje dziedzictwo po wuju kapitanie Wiktorze, który za życia podobniejszy był do don Kichota niż Sanczo Pansa i lubił brać cięgi równie naturalnie, jak inni ich unikają.

Od trzydziestu lat noszę tę laskę przy każdej uroczystej lub pamiętnej wyprawie i obie postaci, pana i giermka, są mi natchnieniem i radą. Zdaje mi się, że słyszę don Kichota, jak mówi:

— Myśl zawsze i wytrwale o rzeczach wielkich i wiedz, że myśl jest jedyną rzeczywistością świata. Do miary swojej stosuj rzeczy i niech świat cały będzie dla ciebie tylko odbłaskiem twojej bohaterskiej duszy. Walcz dla honoru, to tylko godne jest męża, a jeśli zdarzy ci się odnosić rany, przelewaj swą krew z uśmiechem jak dobroczynną rosę.

A Sanczo Pansa mówi mi:

— Pozostań takim, jakim stworzyło cię niebo, mój bracie. Ceń więcej kromkę zsycającą się w twojej sakwie niż bekasy¹⁸⁰ piekące się w kuchni magnata. Bądź posłuszny swemu panu, czy rozumny jest, czy szalony, i nie zaprzataj sobie głowy rzeczami niepotrzebnymi. Strzeż się razów; szukać niebezpieczeństw to znaczy — wyzywać Boga.

Ale jeśli niezrównany rycerz i jego nader zwykły giermek są wyobrażeni na gałce mej laski, to w istocie tkwią oni w moim wnętrzu. Wszyscy mamy w sobie don Kichota i Sanczo Panse, których słuchamy, a chociaż Sanczo nas przekonuje, to jednak podziwiać musimy don Kichota... Ale dość gadulstwa! Idźmy do pani de Gabry w sprawie wychodzącej poza zakres zwykłego biegu życia.

Tęgoż dnia

Zastałem panią de Gabry w czarnej sukni; naciągała rękawiczki.

— Jestem gotowa — rzekła.

Gotową widziałem ją zawsze, ilekroć szło o spełnienie dobrego uczynku.

Zeszliśmy ze schodów i wsiedliśmy do powozu. Nie wiem, czy przerwaniem milczenia obawiałem się rozwiać jakieś tajemne wpływy, ale jechaliśmy po szerokich, bezludnych bulwarach, nie mówiąc ani słowa i przyglądając się krzyżom, wieńcom, utraconym kolumnom, czekającym w sklepach na swą żalobną klientelę.

Dorożka zatrzymała się u samego krańca ziemi żyjących, przed bramą, na której wyryto słowa nadziei.

Przeszliśmy wzdłuż alei cyprysowej i skręciliśmy na wąską ścieżkę, wijącą się między grobami.

¹⁷⁸*omnibus* (łac. dosł.: dla wszystkich) — duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, pod koniec XIX w. powszechny jako środek regularnej komunikacji w dużych miastach Europy; poprzednik autobusów. [przypis edytorski]

¹⁷⁹*Don Kichot z La Manchy* — tytułowy bohater powieści Miguela de Cervantesa (1547–1616), szlachcic, który pod wpływem romansów o czynach rycerskich postanowił ruszyć w świat i wcielić w życie średniowieczny ideał rycerski, jednak pozbawiony poczucia rzeczywistości, często narażał się na śmieszność (np. atakując wiatrak, który wziął za olbrzyma); jego giermkim był prostoduszny i przyziemny chłop, Sancho Pansa. [przypis edytorski]

¹⁸⁰*bekas* — średniej wielkości ptak wędrowny zamieszkujący tereny podmokłe. [przypis edytorski]

— To tu — rzekła pani de Gabry.

Na fryzie przyozdobionym odwróconymi pochodniami wyryty był napis:

RODZINY ALLIER I ALEXANDRE

Krata zamykała wejście do grobowca. W głębi, nad ołtarzem, zarzuconym różami, wmurowana była marmurowa tablica z imionami, między którymi wyczytałem imię Klementyny i jej córki.

To, co odczułem teraz, było czymś głębokim i niejasnym, co da się porównać jedynie do dźwięków pięknej muzyki. W starym swoim sercu usłyszałem jakby tony instrumentów o niebiańskiej słodkości. Z poważną harmonią pogrzebowego hymnu łączyły się przytłumione tony pieśni miłosnej, bo serce moje łączyło posępną powagę teraźniejszości z miłym wdziękiem przeszłości.

Odszedłszy od grobu, który pani de Gabry przystroiła różami, przeszliśmy cmentarz, nie przemówiwszy do siebie ani słowa. Ale gdy znów znaleźliśmy się wśród żyjących, okowy milczenia pękły.

— Gdy szedłem za panią przez te milczące aleje — rzekłem do pani de Gabry — myślałem o tych aniołach z legend, które spotyka się u tajemniczych granic życia i śmierci. Grób, do którego mnie pani zaprowadziła, grób, o którym nic nie wiedziałem, jak w ogóle o wszystkim, co się dotyczy tej, co w nim spoczywa wśród swoich, przypominał mi jedyne wzruszenia mego życia; są one w tym życiu bezbarwnym jak światło na ciemnej drodze. Światło oddala się w miarę, jak wydłuża się droga, jestem prawie u końca ostatniego zbocza, jednak ilekroć się odwrócę, widzę je równie żywe jak niegdyś. Wspomnienia tłoczą się w mej duszy. Jestem jak stary, omszały dąb, co wstrząsając gałęziami, budzi całe roje śpiewających ptaków. Na nieszczęście piosenka moich ptaków jest jak świat stara i tylko mnie może zajmować.

Starość

— Piosenka ta mnie zachwyci — rzekła pani de Gabry. — Opowiedz mi pan swoje wspomnienia i mów ze mną jak ze starą kobietą. Dziś znalazłam trzy srebrne nitki w moich włosach.

— Powitaj je, pani, bez smutku — odrzekłem. — Czas uchodzący jest miły dla tych, którzy przyjmują go życzliwie i wyrozumiale. A gdy po wielu, wielu latach lekki, srebrzysty puszek obramuje pani ciemne sploty, będziesz pani piękna nowym wdziękiem, mniej żywym, lecz bardziej wzruszającym niż pierwszy, i mąż pani tak samo podziwiać będzie jej siwe włosy, jak podziwiał ciemny pukiel dany mu przed ślubem, który dotąd, jak świętość, nosi w medalionie. Bulwary te są szerokie i mało uczęszczane. Chodząc, będziemy mogli rozmawiać swobodnie. Najpierw powiem pani, jak poznałem ojca Klementyny. Niech się pani nie spodziewa usłyszeć czegoś nadzwyczajnego lub zadziwiającego, bo inaczej spotka panią zawód.

Przemijanie, Starość

Pan de Lessay mieszkał na drugim piętrze, w starym domu na avenue de l'Observatoire. Dom ten, z frontową fasadą ozdobioną starożytnymi biustami¹⁸¹, i stary, zapuszczony ogród były pierwszymi obrazami, które głęboko wyryły się w mych dziecięcych oczach, i gdy nadejdzie chwila nieunikniona, one zapewne ostatnie wślizną się pod me ociężałe powieki. W tym domu się urodziłem, igrając w tym ogrodzie, nauczyłem się odczuwać i poznawać niektóre części wszechświata. Czarowne chwile, święte to godziny, kiedy dusza zupełnie świeża poznaje świat, przyoblekający się dla niej w czar tajemniczy, w radosny blask. Bo istotnie, droga pani, świat jest tylko odbiciem naszej duszy.

Dzieciństwo, Obraz świata

Matka moja obdarzona była bardzo szczęśliwym usposobieniem. Wstawiała ze wschodem słońca jak ptaszki, do których podobna była instynktem macierzyńskim, zapobiegliwością gospodarską, nieustanną potrzebą śpiewania i pewnym przyrodzonym wdziękiem, który, choć byłem jeszcze dzieckiem, odczuwałem bardzo wyraźnie. Ona była duszą domu, wypełniała go swą wesołą a systematyczną pracą. O ile matka była żywa, o tyle ojciec był powolny. Pamiętam jego twarz spokojną, na której chwilami zjawiał się ironiczny uśmiech. Był znużony i lubował się w swym znużeniu. Siadywał w głębokim fotelu przy oknie i czytał od rana do wieczora; po nim odziedziczyłem zamiłowanie do książek. Mam

Ojciec

¹⁸¹biust — tu: popiersie, forma rzeźby. [przypis edytorski]

w swojej bibliotece egzemplarze Mably'ego¹⁸² i Raynala¹⁸³, które od początku do końca zaopatrzone są jego własnoręcznymi notatkami. Nie warto było liczyć na to, że się zajmie czymkolwiek na świecie. Jeśli matka zręcznymi, miłymi podstępami próbowała wyrwać go z apatii, potrząsał głową z tą niewzruszoną łagodnością, która jest siłą charakterów słabych. Do rozpaczy doprowadzał biedną kobietę, która nie pojmowała tej kontemplacyjnej mądrości, a w życiu widziała tylko codzienne troski i wesołą pracę każdej godziny. Uważała ten stan za chorobę i obawiała się jej pogorszenia. Ale apatia ojca miała inną przyczynę.

Ojciec mój w 1801 r., za pana Decrès¹⁸⁴, wstąpił do biur zarządu marynarki i złożył dowody rzeczywistych zdolności administracyjnych. Wówczas w dziedzinie marynarki panowała bardzo ożywiona działalność i ojciec mój w roku 1805 został naczelnikiem drugiego departamentu Ministerstwa Marynarki. Tegoż roku pan minister polecił ojca cesarzowi, który zażądał od niego raportu o organizacji marynarki angielskiej. Praca ta, nacechowana mimo woli autora duchem wysoce liberalnym, ukończona została dopiero w roku 1807, mniej więcej w osiemnaście miesięcy po porażce admirała Villeneuve'a¹⁸⁵ pod Trafalgarem¹⁸⁶. Napoleon, który od owego złowrogiego dnia o żadnym okręcie już słyszeć nie chciał, ze złością przejrzał memoriał i rzucił go w ogień, wołając: „Frazesy! frazesy! frazesy!”. Ojcu memu doniesiono, iż gniew cesarza był w owej chwili tak gwałtowny, że w zarzewiu kominka jeszcze deptał butami rękopis. Miał on zresztą zwyczaj w chwilach irytacji aż do osmalenia podeszew nogami przydeptywać zarzewie kominka.

Ojciec nie mógł zapomnieć niełaski, w którą popadł, i na pewno bezużyteczność usiłowań, aby zadowolić zwierzchników, była powodem jego późniejszej apatii. Jednak Napoleon po powrocie z wyspy Elby¹⁸⁷ kazał go przywołać i powierzył mu redagowanie w duchu patriotycznym i liberalnym biuletynów i proklamacji do floty. Po Waterloo¹⁸⁸ ojciec, bardziej zasmucony niż zdziwiony, pozostał na uboczu i nie był prześladowany przez nowy rząd. Tylko wszyscy zgadzali się na to, że był jakobinem¹⁸⁹, krwiopijcą, człowiekiem, którego nie należy widywać. Starszy brat matki, Wiktor Maldent, kapitan piechoty, w roku 1814 pozostawiony na półzoldzie, a w 1815 zwolniony z armii z powodu swego zachowania, pomnażał jeszcze trudności, jakie upadek Cesarstwa sprowadził na mego ojca. Kapitan Wiktor w kawiarniach i na balach publicznych wykrzykiwał, że Burbonowie sprzedali Francję Kozakom¹⁹⁰. Pierwszemu lepszemu, kogo spotkał, pokazywał trójkolorową kokardę¹⁹¹ ukrytą w kapeluszu, ostentacyjnie nosił laskę z toczoną rączką, przedstawiającą Napoleona.

¹⁸²Mably, Gabriel Bonnot de (1709–1785) — francuski myśliciel społeczny, teoretyk państwa i prawa, dyplomata; autor prac historyczno-politycznych, które przyczyniły się do późniejszych koncepcji republikanizmu, a także komunizmu. [przypis edytorski]

¹⁸³Raynal, Guillaume (1713–1796) — francuski historyk, pisarz i filozof epoki oświecenia. [przypis edytorski]

¹⁸⁴Decrès, Denis (1762–1820) — oficer marynarki francuskiej, minister marynarki za rządów cesarza Napoleona I (1801–1814, 1815). [przypis edytorski]

¹⁸⁵Villeneuve, Pierre Charles (1763–1806) — francuski wiceadmiral, dowódca francusko-hiszpańskiej floty w bitwie pod Trafalgarem. [przypis edytorski]

¹⁸⁶bitwa pod Trafalgarem (21 października 1805) — bitwa morską stoczona podczas wojen napoleońskich pomiędzy flotą brytyjską pod dowództwem admirała Horacego Nelsona a połączoną flotą francusko-hiszpańską; zakończona wielkim zwycięstwem floty brytyjskiej, stała się początkiem hegemonii Brytyjczyków na morzach świata, trwającej aż do II wojny światowej. [przypis edytorski]

¹⁸⁷Elba — wyspa na M. Tyrreńskim, między Płw. Apenińskim a Korsyką; Napoleon po powrocie z wyspy Elby: po przegranej bitwie pod Lipskiem i zdobyciu Paryża przez Sprzymierzonych Napoleon abdykował i w maju 1814 został zesłany na Elbę, a 1 marca 1815 powrócił do Francji i ponownie sięgnął po władzę. [przypis edytorski]

¹⁸⁸bitwa pod Waterloo (18 czerwca 1815) — stoczona na terenie Belgii ostatnia bitwa cesarza Napoleona Bonaparte, w której armia francuska została zniszczona przez koalicyjne wojska angielskie Wellingtona i wojska pruskie Blüchera; w wyniku klęski Napoleon abdykował, co zakończyło okres rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

¹⁸⁹jakobin — członek lewicowego, rewolucyjnego klubu politycznego działającego w okresie rewolucji francuskiej; przen.: zwolennik rewolucji. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Burbonowie sprzedali Francję Kozakom — obalona przez rewolucję dynastia Burbonów powróciła na tron Francji dzięki poparciu Wielkiej Brytanii i Rosji. [przypis edytorski]

¹⁹¹trójkolorowa kokarda — w barwach niebiesko-biało-czerwonej flagi francuskiej, wprowadzonej podczas rewolucji; flaga królestwa Francji za panowania Burbonów (zarówno przed rewolucją, jak i po przywróceniu ich rządów w 1814) była biała, ze stylizowanymi złotymi kwiatami lilii. [przypis edytorski]

Jeśli pani nie widziała nigdy litografii Charleta¹⁹² nie potrafi pani wyrobić sobie pojęcia o fizjonomii wuja Wiktora, który w swej obcisłej, szamerowanej kurtce, z krzyżem wojskowym i bukietem fiołków na piersiach, z buńczuczną elegancją przechadzał się w ogrodzie Tuileries¹⁹³. Bezczytność i brak wstrzemięźliwości sprawiły, że jego namiętności polityczne wyrażały się w wybrykach w najgorszym guście. Wymyślał i złorzeczył ludziom, którzy czytali „La Quotidienne”¹⁹⁴ lub „Le Drapeau blanc”¹⁹⁵ i doszło do tego, że ku swemu smutkowi i wstydowi ranił w pojedynku szesnastoletniego młodzieniaszka. Jednym słowem, wuj Wiktor był zupełnym przeciwieństwem człowieka rozumnego, a że w świętek i piątek przychodził do nas na obiad i kolację, jego zła reputacja przylgnęła do naszego domowego ogniska. Mego biednego ojca boleśnie trapiły te wybryki gościa, ale że był bardzo dobry, przeto nadal uprzejmie przyjmował kapitana, który za to z całego serca nim gardził.

To, co opowiadam pani teraz, zrozumiałem dopiero później. Wówczas mój wuj, kapitan, wzbudzał we mnie najwyższy zapal i solennie obiecywałem sobie, o ile się uda, pójść w jego ślady. Pewnego dnia, aby dać początek temu podobieństwu, podparłem się pod boki i zacząłem kłąć jak diabli. Moja kochana matka wymierzyła mi taki tęgi policzek, że dopiero po dłużej trwającym zdumieniu rozpląnałem się we łzach. Jeszcze dziś widzę stary, żółty, aksamitny fotel, za którym tego dnia wylałem potok łez.

Byłem wtedy bardzo małym chłopczykiem. Pewnego ranka ojciec, wzięwszy mnie na kolana jak zwykle, uśmiechnął się do mnie z tym odcieniem szyderstwa, które jego wiecznej łagodności nadawało osobliwy wyraz. Gdy siedząc na jego kolanach, bawiłem się jego długimi, siwymi włosami, ojciec opowiadał mi rzeczy, których dobrze nie rozumiałem, a które zajmowały mnie właśnie dlatego, że były tajemnicze. Zdaje mi się, nie jestem tego zupełnie pewny, że tego dnia opowiadał mi, według tekstu pieśni, historię króla z Yvetot¹⁹⁶. Nagle usłyszeliśmy wielki huk, brzęknęły szyby. Ojciec spuścił mnie z kolan, wyciągnięte jego ramiona drżały, twarz była nieruchoma i biała jak płótno, oczy ogromne, szeroko rozwarte. Próbował przemówić, zęby mu szczękały. Wreszcie szepnął: „Rozstrzelali go”. Nie wiedziałem, co chciał przez to powiedzieć, ogarnął mnie niepojęty strach. Potem dopiero dowiedziałem się, że mówił o marszałku Neyu¹⁹⁷, którego rozstrzelali 7 grudnia 1815 pod murem okalającym pusty plac graniczący z naszym domem.

W tym okresie spotykałem często na schodach staruszka (może niezupełnie był staruszką), którego małe czarne oczki nadzwyczaj żywo błyszczały na nieruchomej, ciemnej twarzy. Nie wydawał mi się żywy, a przynajmniej nie zdawał się żyć jak inni ludzie. U pana Denon¹⁹⁸, do którego zaprowadził mnie raz ojciec, widziałem mumię przywiezioną z Egiptu; otóż w dobrej wierze wyobrażałem sobie, że mumia pana Denon budzi się, gdy jest sama, wychodzi ze swej złoconej skrzyni, wkłada orzechowy surdut i perukę i wtedy jest panem de Lessay. Dziś nawet, droga pani, odrzucając to mniemanie jako pozbawione wszelkiej podstawy, wyznać muszę, że pan de Lessay był bardzo podobny do mumii pana Denon. Wystarczy to, aby zrozumieć, że osobliwość ta wzbudzała we mnie fantastyczny lęk.

¹⁹²Charlet, Nicolas-Toussaint (1792–1845) — francuski malarz, grafik, karykaturzysta, twórca obrazów, rysunków i litografii o tematyce batalistycznej, ilustrujących kampanie napoleońskie. [przypis edytorski]

¹⁹³Tuileries, fr. Tuileries — paryskie ogrody i istniejący do 1871 pałac, położone między Luwrem a Sekwaną. [przypis edytorski]

¹⁹⁴La Quotidienne (fr.: Codzienna) — rojalistyczna gazeta francuska wydawana w l. 1790–1847. [przypis edytorski]

¹⁹⁵Le Drapeau blanc (fr.: Biały Sztandar) — rojalistyczny dziennik paryski, wydawany w l. 1819–1827. [przypis edytorski]

¹⁹⁶król Yvetot — z piosenki *Le Roi d'Yvetot* Pierre'a Jeana de Beranger (1780–1857) z 1813, o kochającym wygodne i spokojne życie dobrym królu-pacyfście, rządzącym miasteczkiem Yvetot w Normandii. [przypis edytorski]

¹⁹⁷Ney, Michel (1769–1815) — francuski żołnierz i dowódca, marszałek Francji; zrobił błyskotliwą karierę wojskową, walcząc w obronie rewolucji francuskiej oraz w wojnach napoleońskich; wspierał cesarza Napoleona w czasie studniowej kampanii w 1815, walczył pod Waterloo; po powrocie Ludwika XVIII na tron został osądzony za zdradę stanu i rozstrzelany. [przypis edytorski]

¹⁹⁸Denon, Dominique Vivant (1747–1825) — francuski rysownik, pisarz, dyplomata, pionier muzealnictwa i egiptologii; w grupie uczonych towarzyszył wyprawie armii Napoleona Bonapartego do Egiptu i jako pierwszy opublikował dokumentację rysunkową i opisy zabytków (*Voyage dans la Basse et Haute Egipte*; 1802), wywołując wielkie zainteresowanie Egiptem w Europie; dyrektor generalny muzeów (1802–1814), organizator muzeum w Luwrze. [przypis edytorski]

W rzeczywistości zaś pan de Lessay był małym szlachcicem, lecz wielkim filozofem. Uczeń Mably'ego i Jana Jakuba Rousseau¹⁹⁹, pochlebiał sobie, że nie ma przesądów, co samo przez się już było grubym przesądem. Mówię tu pani o człowieku minionego już wieku. Obawiam się, że nie będę zrozumiany i pewny jestem, że pani nie zainteresuję. To tak dalekie od nas! Ale skracam, o ile można; zresztą nie przyrzekałem pani nic ciekawego i nie mogła się pani spodziewać wielkich zdarzeń w życiu Sylwestra Bonnard.

Pani de Gabry uprzejmie mnie zachęciła i ciągnąłem dalej: — Pan de Lessay był szorstki z panami, a ugrzeczniwy względem dam. Całował rękę mej matki, której obyczaj Republiki i Cesarstwa nie przyzwyczaiły do takiej galanterii. Dzięki niemu zetknąłem się z epoką Ludwika XVI²⁰⁰. Pan de Lessay był geografem i myślę, że nikt chyba nie był tak jak on dumny, że zajmuje się konfiguracją świata. Przed rewolucją zajmował się gospodarstwem jak filozof, przy czym stracił swe dobra do ostatniego zagonu. Nie mając już piędzi ziemi własnej, zagarnął całą ziemię i według relacji podróżników kreślił mnóstwo przedziwnych map. Wykarmiony najczystszyimi teoriami Encyklopedystów²⁰¹, nie zadowalał się rozmieszczaniem śmiertelników pod takim to stopniem, tyłoma minutami i tyłoma sekundami długości i szerokości geograficznej. Zajmował się ich szczęściem, niestety! Należy zauważyć, droga pani, że ludzie zajmujący się szczęściem ludów unieszczęśliwiają swoich najbliższych. Pan de Lessay był rojalistą-wolterianinem²⁰², typ wówczas dość pospolity wśród byłej arystokracji. Był on bardziej matematykiem niż d'Alembert²⁰³, bardziej filozofem niż Jan Jakub Rousseau i bardziej rojalistą niż sam Ludwik XVIII²⁰⁴. Ale miłość jego do króla była niczym w porównaniu z jego nienawiścią do cesarza. Pan de Lessay należał do spisku Georgesa²⁰⁵ przeciwko Pierwszemu Konsulowi²⁰⁶; śledztwo przeoczyło go lub zlekceważyło — nie dostał się na listę oskarżonych. Obelgi tej nie przebaczył nigdy Bonapartemu, którego nazywał potworem korsykańskim i któremu, jak mawiał, nie byłby nigdy powierzył jednego pułku, tak dalece uważał go za mizernego wodza.

Szczęście

1813 roku pan de Lessay, od dawna będący wdowcem, mając lat pięćdziesiąt pięć, ożenił się z młodziutką kobietą, która przedtem rysowała mu mapy. Żona obdarzyła go córeczką i umarła w połogu. Matka moja pielęgnowała młodą kobietę w czasie jej krótkiej choroby i czuwała nad tym, by dziecku na niczym nie zbywało. Dziecię to nazwano Klementyną.

Od tych narodzin i tej śmierci datują się stosunki mojej rodziny z panem de Lessay. Wyrastałem już wtedy z pierwszego dzieciństwa, zgrubiałem, stałem się mniej wrażliwy, straciłem cudowny dar odczuwania i patrzenia, otaczające mnie rzeczy nie sprawiały mi miłych niespodzianek, które stanowią urok najtkliwszego wieku. Toteż nie pozostało mi żadne wspomnienie z czasów po urodzeniu Klementyny; wiem tylko, że w parę miesięcy później spotkało mnie nieszczęście, na którego wspomnienie dziś jeszcze ściska mi się

¹⁹⁹Rousseau, Jean Jacques (1712–1778) — francuskojęzyczny pisarz i myśliciel, przedstawiciel oświecenia, encyklopedysta; autor m.in. traktatu *Umowa społeczna* (1762), przedstawiającego koncepcję powstania państwa przez dobrowolną umowę między suwerennym społeczeństwem a władzą. [przypis edytorski]

²⁰⁰Ludwik XVI (1754–1793) — król Francji (od 1774) z dynastii Burbonów, ścięty w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁰¹Encyklopedysty — grupa francuskich intelektualistów: naukowców, filozofów i pisarzy, którzy napisali i skompilowali Wielką Encyklopedię Francuską, propagującą oświeceniowy racjonalizm, rozwój nauk, świeckie myślenie i tolerancję. [przypis edytorski]

²⁰²wolterianin — zwolennik wolterianizmu, koncepcji światopoglądowo-politycznych Woltera (1694–1778), francuskiego pisarza oświeceniowego i filozofa, reprezentujących filozoficzny sceptycyzm połączony z afirmacją rozumu, postulujących walkę z obskurantyzmem, krytykę światopoglądu religijnego z pozycji deistycznych oraz idee tolerancji religijnej; najlepszym ustrojem wg wolterianizmu jest monarchia oświecona. [przypis edytorski]

²⁰³d'Alembert, Jean le Rond (1717–1783) — francuski filozof, matematyk i fizyk, współautor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*. [przypis edytorski]

²⁰⁴Ludwik XVIII (1755–1824) — król Francji z dynastii Burbonów, objął władzę po abdykacji Napoleona Bonapartego (1814). [przypis edytorski]

²⁰⁵Cadoudal, Georges (1771–1804) — francuski rojalista, spiskowiec; podczas rewolucji przywódca szuanów (chłopskich powstańców w Bretanii); w 1800 zamieszany w zamach przeciwko Napoleonowi Bonapartemu jako Pierwszemu Konsulowi, uciekł do Wielkiej Brytanii; w 1803 uczestniczył w kolejnym spisku przeciwko Bonapartemu; pojmany, został stracony; w 1814 pośmiertnie mianowany przez Ludwika XVIII marszałkiem Francji. [przypis edytorski]

²⁰⁶Pierwszy Konsul — w latach 1799–1804 najwyższy urząd we Francji, sprawowany przez Napoleona Bonapartego. [przypis edytorski]

serce. Straciłem matkę. Wielkie milczenie, wielki chłód i wielki cień padł nagle na cały nasz dom.

Popadłem w rodzaj odrętwienia. Ojciec odesłał mnie do liceum, ale tam z wielkim trudem otrząsnąłem się z mego przygnębienia.

Nie byłem jednak zupełnie głupi i moi profesorowie nauczyli mnie mniej więcej wszystkiego, czego mnie nauczyć chcieli, to znaczy trochę łaciny i greki. Miałem do czynienia tylko ze starożytnymi bohaterami. Nauczyłem się szanować Milcjadesa²⁰⁷ i podziwiać Temistoklesa²⁰⁸. Quintus Fabius²⁰⁹ należał do mych zażyłych znajomych, o ile zażyłość możliwa była między mną a tak wielkim konsulem. Dumny z tak wysokich stosunków, nie raczyłem już spojrzeć na małą Klementynę i jej starego ojca, zresztą pewnego dnia wyjechali do Normandii²¹⁰, a ja nawet nie pomyślałem o tym, czy kiedykolwiek powrócą.

Powrócili jednak, droga pani, powrócili! Wpływy niebios, siły przyrody, tajemnicze potęgi, które obdarzacie ludzi zdolnością kochania, wy wiecie, że na nowo ujrzałem Klementynę! Weszli do naszego smutnego domu. Pan de Lessay nie nosił już peruki. Łysy, z siwymi kosmykami na czerwonych skroniach, był jędrnym staruszkiem. A ta boska istota, jaśniejąca u jego boku, której obecność blaskiem nappełniła stary, wyblakły salon, to nie zjawisko, to istotnie Klementyna! Mówię szczerze: jej błękitne oczy, oczy-niezbudki, wydały mi się czymś niezmiernym i dziś jeszcze nie mogę sobie wyobrazić, że te dwa żywe klejnoty uległy trudom życia i rozkładowi śmierci.

Zmieszała się trochę, witając mego ojca, którego nie знаła wcale. Cera jej była lekko zaróżowiona, rozchylone usta uśmiechały się uśmiechem, który każe marzyć o nieskończoności, prawdopodobnie dlatego, że nie zdradza żadnej ściśle określonej myśli, a wyraża tylko radość życia i zadowolenie z własnej piękności. Twarz jej jaśniała pod różową kapotką jak klejnot w otwartym futerale; miała kaszmirowy szal na białej muslinowej, marszczonej w stanie sukni, spod której wysuwał się koniuszek bucika z brązowej skórki... Niech się droga pani nie śmieje; taka była wówczas moda i nie wiem, czy dzisiejsza ma tyle świeżości, prostoty i skromnego wdzięku.

Pan de Lessay powiedział nam, że rozpoczął wydawanie atlasu historycznego, że wraca do Paryża i że chętnie zająłby swoje dawne mieszkanie, gdyby było wolne. Ojciec zapytał panny de Lessay, czy rada²¹¹ jest zamieszkać w stolicy. Uśmiech na jej twarzy świadczył o zadowoleniu. Uśmiechała się do okien, otwartych na kąpiący się w słońcu zielony ogród, do zegara z brązowym Mariuszem²¹², siedzącym na ruinach Kartaginy²¹³, uśmiechała się do starych, krytych żółtym aksamitem foteli i do biednego studenta, który nie śmiał na nią podnieść oczu. Jakżeż ją od tego dnia kochałem!

Ale oto zbliżamy się do ulicy de Sèvres i niedługo ujrzemy pani okna. Nie umiem opowiadać zajmująco i treściwie i gdyby, co jest niemożliwe, przyszło mi na myśl skomponować romans, nie udało by mi się to nigdy. Długo przygotowywałem opowiadanie, które teraz zamknę w kilku słowach; bo jest pewna delikatność, pewien wdźwięk duszy, którą starzec raniłby boleśnie, z upodobaniem rozwodząc się nad uczuciem miłości, chociażby najczystszej. Przejdźmy kilka kroków po tym bulwarze, otoczonym klasztorami,

²⁰⁷*Miltiades* (ok. 554–488 p.n.e.) — polityk i wódz ateński, dzięki któremu wojska ateńskie pokonały pod Maratonem ekspedycyjną armię perską. [przypis edytorski]

²⁰⁸*Temistokles* (ok. 524–459 p.n.e.) — polityk i wódz ateński, twórca potęgi morskiej Aten, główny autor zwycięstwa Greków nad Persami pod Salaminą. [przypis edytorski]

²⁰⁹*Quintus Fabius Maximus* (ok. 280–203 p.n.e.) — rzymski polityk i wódz z czasów II wojny punickiej, pięciokrotnie konsul, dwukrotnie dyktator; podczas inwazji Hannibala na Italię stosował przeciw niemu taktykę unikania otwartego starcia, nękając wroga oddziałami i prowadząc wojnę na wyczerpanie, stąd otrzymał przydomek *Cunctator*, tj. zwlekający. [przypis edytorski]

²¹⁰*Normandia* — kraina historyczna i geograficzna w płn. Francji, nad kanałem La Manche; obecnie także francuski region administracyjny. [przypis edytorski]

²¹¹*rada* (daw.) — zadowolona; chętna. [przypis edytorski]

²¹²*Mariusz*, właśc. *Gajusz Mariusz* (156–86 p.n.e.) — rzymski wódz i mąż stanu, przywódca stronnictwa ludowego (popularów), reformator armii rzymskiej, zwycięzca wielu wojen; na wygnaniu schronił się w ruinach Kartaginy. [przypis edytorski]

²¹³*Kartagina* — staroż. miasto na afrykańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego (w pobliżu dzisiejszego Tunisu), założone w IX w. p.n.e. przez Fenicjan z Tyru; od VI wieku p.n.e. stolica najpotężniejszego państwa nad Morzem Śródziemnym; od III w. p.n.e. Kartagina prowadziła serię wojen z Rzymem (tzw. wojny punickie), ostatecznie została pokonana i zburzona w 146 p.n.e. [przypis edytorski]

a moje opowiadanie zmieści się łatwo w przestrzeni, jaka nas dzieli od dzwonnicy, którą szanowna pani stąd widzi.

Pan de Lessay, dowiedziawszy się, że ukończyłem szkołę paleograficzną, uznał, że jestem godny dopuszczenia do współpracy nad jego atlasem historycznym. Szło o to, żeby na szeregu map oznaczyć to, co starzec-filozof nazywał zmiennością losu mocarstw, od czasów Noego²¹⁴ do Karola Wielkiego²¹⁵. Pan de Lessay w zagadnieniach dotyczących starożytności powtarzał wszystkie błędy i omyłki XVIII wieku. Ja należałem w poglądach na historię do szkoły nowatorów, a ponadto byłem w wieku, w którym nie umiemy jeszcze udawać. Sposób, w jaki starzec rozumiał, a raczej nie rozumiał czasów barbarzyńskich, upór, z jakim w odległej starożytności widzieć chciał ambitnych książąt, obłudnych i chciwych prałatów, cnotliwych obywateli, poetów-filozofów i inne osobistości, istniejące jedynie w romansach Marmontela²¹⁶, czyniły mnie ogromnie nieszczęśliwym i zmuszały do wszelkiego rodzaju zaprzeczeń i zarzutów, bardzo racjonalnych, doprawdy, ale zupełnie zbytecznych, a niekiedy niebezpiecznych. Pan de Lessay był bardzo zapalczywy, a Klementyna bardzo piękna! Między nim a nią upływały mi godziny tortur i rozkoszy. Kochałem; byłem słaby, wkrótce zgodziłem się już na wszystko, co chciał, na wszelkie historyczne i polityczne zmiany, jakim ta ziemia, która miała potem nosić Klementynę, podlegała od czasów Abrahama, Menesa i Deukaliona²¹⁷.

W miarę jak kreślił mapy, panna de Lessay malowała je akwarelą. Nachylona nad stołem, trzymała pędzelek w dwóch palcach; cień z powiek schodził na jej policzki i wółprzymknięte oczy otaczał cudnym, ciemnym kręgiem. Od czasu do czasu podnosiła głowę i widziałem jej rozchylone usta. W jej piękności było tyle wyrazu, że każdy jej oddech wydawał się westchnieniem i każdy najzwyczajniejszy ruch pogrążał mnie w głębokie rozmarzenie. Patrząc na nią, przyznawałem panu de Lessay, że Jowisz²¹⁸ rządził despotycznie górzystą strefą Tesalii²¹⁹ i że Orfeusz²²⁰ był nieostrożny, powierzając duchowieństwu nauczanie filozofii. Dziś jeszcze nie wiem, czy byłem tchórzem, czy bohaterem, ustępując upartemu starcowi.

Panna de Lessay, muszę przyznać, nie zwracała na mnie wielkiej uwagi. Obojętność ta zdawała mi się tak słuszną i naturalną, że nie myślałem się na nią zalić; cierpiałem, ale cierpiałem bezwiednie. Żyłem nadzieją; byliśmy dopiero przy pierwszym królestwie asyryjskim²²¹.

Pan de Lessay co wieczór przychodził na kawę do ojca. Nie rozumiem zupełnie, skąd się tak zaprzyjaźnili, rzadko bowiem znaleźć by można dwa tak absolutnie różne charakte-

²¹⁴Noe — postać biblijna; przed zesłaniem na ziemię niszczycielskim potopem z rozkazu Boga zbudował według szczegółowych wskazówek arkę (rodzaj statku), dzięki której uratował swoją rodzinę oraz po parze każdego rodzaju zwierząt; jego trzej synowie: Sem, Cham i Jafet, dali początek trzem grupom ludów, zamieszkujących trzy części świata i składających się na całą ludzkość. [przypis edytorski]

²¹⁵Karol Wielki (ok. 742–814) — król Franków i Longobardów, stworzył pierwsze europejskie imperium od czasu upadku cesarstwa zachodniorzymskiego, koronował się na cesarza rzymskiego w Rzymie w 800. [przypis edytorski]

²¹⁶Marmontel, Jean-François (1723–1799) — francuski pisarz, dramaturg, współautor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*; autor serii *Powiastek moralnych* oraz głośnej powieści *Belizariusz* (*Bélisaire*, 1767), opowiadającej o wybitnym generale bizantyjskim, który wg legendy pod koniec życia popadł w niełaskę u niewdzięcznego cesarza Justyniana, potępionej przez Sorbonę, gdyż w rozdziale XV autor głosił potrzebę tolerancji religijnej. [przypis edytorski]

²¹⁷Abraham, Menes i Deukalion — pradawne postacie z różnych kręgów kulturowych; Abraham: postać biblijna, pierwszy z hebrajskich patriarchów; Menes: władca, który zjednoczył Dolny i Górny Egipt i stał się pierwszym faraonem, współcześnie zwykle utożsamiany z historycznym Narmerem (ok. 3100 p.n.e.); Deukalion (mit. gr.): razem z żoną Pyrrą jako jedyni przetrwali zesłany przez Zeusa potopu i odrodzili ludzkość, rzucając za siebie kamienie, które stawały się ludźmi. [przypis edytorski]

²¹⁸Jowisz a. Jupiter (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

²¹⁹Tesalia — kraina hist. w północnej Grecji, nad M. Egejskim; od północy oddzielona od Macedonii rozległym masywem górskim Olimp, w starożytności uważanym za siedzibę bogów greckich. [przypis edytorski]

²²⁰Orfeusz (mit. gr.) — niezrównany trzeci śpiewak i poeta, swoim śpiewem uspokajał dzikie bestie i poruszał nawet drzewa i skały; od Orfeusza wywodzono początki *orfizmu*: staroż. nurtu religijnego o charakterze mistycznym, który w odróżnieniu od tradycyjnej religii greckiej propagował ascezę, posługiwał się świętymi pismami i charakteryzował się wiarą w istnienie boskiej i nieśmiertelnej duszy ludzkiej, uwięzionej w ciele, oraz we wcielanie się duszy po śmierci w inne ciała (wędrowka dusz). [przypis edytorski]

²²¹Asyria — starożytne państwo semickie w pln. Mezopotamii, na terenie ob. Iraku; *pierwsze królestwo asyryjskie*: w dzisiejszej terminologii: okres staroasyryjski (ok. 2025–1750 p.n.e.), zapoczątkowany powstaniem niezależnego miasta-państwa Aszur, zakończony podbojem Asyrii przez Hammurabiego. [przypis edytorski]

ry. Ojciec mój podziwiał mało, a przebaczał wiele. Z wiekiem nabrał wstrętu do wszelkiej przesady. Swoje idee przybierał w tysiące delikatnych odcieni, a każdy sąd przyjmował z różnego rodzaju zastrzeżeniami. Te subtelne nawyki wyprowadzały z równowagi starego szlachcica, oschłego i arbitralnego; umiarkowanie przeciwnika nie rozbijało go nigdy, wręcz przeciwnie! Wietrzyłem niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwem tym był Bonaparte. Ojciec nie zachował dla cesarza żadnego uczucia, ale ponieważ pracował pod jego rozkazami, nie znośli, by go lżono, a w dodatku na korzyść Burbonów, do których miał śmiertelną urazę. Pan de Lessay więcej niż kiedykolwiek zdawał się wolterianinem i legitymistą²²², a początek wszelkiego zła politycznego, społecznego i religijnego przypisywał Bonapartemu. W tym stanie rzeczy najbardziej niepokoił mnie wuj Wiktor. Ten straszny wuj stał się niemożliwy, odkąd nie stało²²³ mej matki, by go uspokajała. Harfa Dawida²²⁴ była rozbita i Saul²²⁵ puszczał wodze swym szaleństwom. Upadek Karola X²²⁶ wzmógł jeszcze śmiałość starego napoleońskiego wojaka, który pozwalał sobie na wszelkie możliwe wybryki i prowokacje. Nie bywał już u nas tak często, dom był dlań zbyt smutny i cichy. Ale niekiedy zjawiał się w porze obiadowej, obsypany kwiatami jak mauzoleum. Zazwyczaj siadał do stołu, klnąc co się zmieści, i między jednym a drugim kęsem przechwalał się miłosnymi zwycięstwami starego wiarusa²²⁷. Po obiedzie składał serwetę w kształt mitry²²⁸ biskupiej, połykał pół karafki wódki i wychodził z pośpiechem człowieka przerażonego myślą spędzenia kilku godzin bez picia w towarzystwie starego filozofa i młodego uczonego. Czułem dobrze, że jeśli spotka się kiedy z panem de Lessay, wszystko będzie stracone. Dzień ten nadszedł, niestety!

Kapitan i tym razem ginął pod kwiatami i tak przypominał pomnik mający upamiętnić chwałę Cesarstwa, że miało się ochotę założyć mu wieniec nieśmiertelników na każde ramię. Był nadzwyczaj zadowolony i pierwszą osobą, która zarobiła na tym dobrym humorze, była kucharka, którą objął wpół w chwili, gdy stawiała na stole pieczeń.

Po obiedzie odsunął podaną mu karafeczkę wódki, mówiąc, że zaraz zapali ją w kawie. Ze strachem zapytałem, czy nie chce, aby mu kawę podano natychmiast. Wuj Wiktor był bardzo podejrzliwy i niegłupi. Mój pośpiech wydał mu się podejrzany, bo spojrzał na mnie dziwnie i rzekł:

— Cierpliwości, siostrzeńcze! Nie kadeci, u diabła, trąbią na odwrót! Bardzo ci pilno, panie magistrze, przekonać się, czy mam ostrogi u butów.

Było jasne, że kapitan odgadł, iż pragnę, aby prędko sobie poszedł. Znając go, wiedziałem, że zostanie. Został. Najdrobniejsze szczegóły tego wieczoru wyryły się w mej pamięci. Wuj był wesoły i jowialny. Sama myśl, że jest natrętny, wystarczyła mu do podtrzymania dobrego humoru. Świetnym, koszarowym stylem opowiedział nam historię pewnej zakonnicy, trębacza i pięciu butelek chambertina²²⁹, która zapewne miała wielkie powodzenie w garnizonach, ale której nie próbowałbym pani opowiedzieć, gdybym ją nawet pamiętał. Gdy przeszliśmy do salonu, wuj zwrócił naszą uwagę na zły stan naszych kominkowych przyborów i objaśniał nam użycie glinki tripoli²³⁰ do polerowania metali. O polityce ani słowa. Czekał. W ruinach Kartaginy wybiła godzina ósma. Była to pora pana de Lessay. W kilka minut później wszedł z córką do salonu. Zaczął się zwykły tryb wieczoru. Klementyna zasiadła do haftowania pod lampą, której abażur pozostawiał jej głowę w lekkim cieniu, a całą jasność rzucał na jej paluszki, czyniąc je prawie świetlanymi. Pan de Lessay mówił o komecie, zapowiedzianej przez astronomów,

²²²legitymista — w XIX w.: zwolennik politycznej doktryny legitymizmu, osoba głosząca nienaruszalność praw dynastii do tronu, uważająca obalenie monarchy przez poddanych za nielegalne. [przypis edytorski]

²²³nie stało (daw.) — zabrakło. [przypis edytorski]

²²⁴Dawid — postać biblijna, poeta i pieśniarz, król Izraela, ojciec Salomona; w młodości na dworze króla Saula, dręczonego przez złe duchy, grywał mu na harfie, by ulżyć mu w cierpieniach. [przypis edytorski]

²²⁵Saul — postać biblijna, pierwszy król Izraela, powołany przez proroka Samuela. [przypis edytorski]

²²⁶Karol X Filip (1757–1836) — król Francji (1824–1830), usiłował przywrócić monarchię absolutną; zrekompensował wielkim właścicielom ziemskim koszty obalenia feudalizmu, zwiększył władzę Kościoła katolickiego, zniósł wolność prasy i ograniczył prawa wyborcze; obalony w wyniku rewolucji lipcowej, po której powołano na tron Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

²²⁷wiarus — stary żołnierz. [przypis edytorski]

²²⁸mitra — tu: wysokie, dwuczłonowe nakrycie głowy biskupów. [przypis edytorski]

²²⁹chambertin — gatunek czerwonego wina francuskiego z Burgundii. [przypis edytorski]

²³⁰tripoli a. trypla (geol.) — lekka, krucha, porowata skała osadowa, której nazwa pochodzi od złóż znajdujących się w Libii, w pobliżu Trypolisu. [przypis edytorski]

i przy tej okazji rozwijał teorie, które, choć nieco ryzykowne, świadczyły jednak o pewnej kulturze umysłowej. Ojciec, który znał się trochę na astronomii, wyraził zdrowy sąd, kończąc go swym wiecznym: „Czy ja wiem zresztą?”. Ja przytoczyłem opinię naszego sąsiada z obserwatorium, wielkiego Arago²³¹. Wuj Wiktor utrzymywał, że komety mają wpływ na jakość wina i na potwierdzenie przytoczył jakąś wesołą, karczemną historyjkę. Byłem tak kontent²³² z tej rozmowy, że starałem się ją podtrzymywać przy pomocy ostatnio przeczytanych artykułów i długiego wywodu na temat składu chemicznego tych wielkich gwiazd, które, rozsypane na niebie na przestrzeni miliardów mil, zmieściłyby się w butelce. Ojciec mój, nieco zaskoczony moją elokwencją²³³, patrzył na mnie z wyrazem łagodnej drwiny. Ale nie można ciągle tkwić w obłokach. Patrząc na Klementynę, powiedziałem coś o komecie brylantowej, którą poprzedniego dnia widziałem na zegarku u jubilera. Był to nieszczęśliwy pomysł!

— Mój siostrzeńcze — zawołał kapitan Wiktor — twoja kometa nie warta tej, która błyszczała we włosach cesarzowej Józefiny²³⁴, gdy przyjechała do Strasburga²³⁵, aby rozdawać w armii krzyże.

— Ta Józefinka bardzo lubiła klejnoty — rzekł pan de Lessay, popijając kawę. — Nie potępiam jej za to; miała swe zalety, choć była lekkomyślna. Była z domu Tascher i wielki zaszczyt zrobiła Buonapartemu²³⁶, że za niego wyszła. Panna Tascher to niewiele znaczy, ale Buonaparte to zupełnie nic.

— Co pan przez to rozumie, panie margrabi? — zapytał kapitan Wiktor.

— Nie jestem margrabią — odrzekł oschle pan de Lessay — a rozumiem przez to, że dla Buonapartego odpowiednią żoną byłaby jedna z tych, opisywanych w podróży Cooka²³⁷, kobiet-ludożerczyń, które nagie, tatuowane i z obrączką w nozdrzach, z rozkoszą pożerają rozkładające się ciała ludzkie.

„To było do przewidzenia” — pomyślałem sobie i w tej rozpaczy (o, biedne serce ludzkie!) pierwszą moją myślą było, że słusznie przewidywałem. Muszę przyznać, że odpowiedź kapitana była wzniosła. Wsparł rękę na biodrze, pogardliwie zmierzył pana de Lessay i rzekł:

— Napoleon, mości panie, miał inną żonę niż Józefina i Maria Ludwika²³⁸. Tej towarzyszki jego życia pan nie znał, a ja widziałem ją z bliska; nosi błękitny płaszcz, usiany gwiazdami, uwieńczona jest wawrzynem, krzyż zasługi błyszczy na jej piersi, imię jej jest — Chwała.

Pan de Lessay odstawił filiżankę na kominek i rzekł spokojnie:

— Pański Buonaparte był łobuzem.

Ojciec niedbale wstał, z wolna wyciągnął rękę i rzekł łagodnym, cichym głosem do pana Lessay:

— Jakikolwiek był człowiek zmarły na Wyspie Świętej Heleny²³⁹, pracowałem dziesięć lat pod jego rządami, a szwagier mój był trzy razy pod jego sztandarem ranny. Proszę cię, mój przyjacielu, nie zapominać o tym na przyszłość.

Czego nie dokonały wzniosłe i komiczne zuchwałstwa kapitana, to wywołała uprzejma uwaga mego ojca. Pan de Lessay wpadł w szalony gniew.

²³¹ *Arago, François* (1786–1853) — francuski astronom, fizyk, polityk; członek Francuskiej Akademii Nauk, dyrektor paryskiego obserwatorium astronomicznego. [przypis edytorski]

²³² *kontent* (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

²³³ *elokwencja* — zdolność do efektownych i przekonujących wypowiedzi. [przypis edytorski]

²³⁴ *Józefina*, właśc. *Józefina de Beaubarnais*, ur. jako *Marie Joséphe Rose Tascher de La Pagerie* (1763–1814) — pierwsza żona Napoleona Bonapartego, cesarzowa Francji. [przypis edytorski]

²³⁵ *Strasburg* — miasto w pln.-wsch. Francji, niedaleko granicy niemieckiej na Renie. [przypis edytorski]

²³⁶ *Buonaparte* — prawdziwe brzmienie nazwiska cesarza Napoleona Bonapartego, który urodził się na Korsyce w szlacheckiej rodzinie pochodzenia włoskiego i zmienił nazwisko w wieku 27 lat; pierwotne brzmienie było używane przez jego wrogów dla wyrażenia pogardy dla obcego, który koronował się na władcę Francji. [przypis edytorski]

²³⁷ *Cook, James* (1728–1779) — angielski żeglarz i odkrywca; organizator i kierownik trzech brytyjskich wypraw na Ocean Spokojny i dokoła świata; zginął w potyczce z krajowcami na Hawajach. [przypis edytorski]

²³⁸ *Maria Ludwika Austriaczka* (1791–1847) — księżniczka austriacka, druga żona Napoleona I. [przypis edytorski]

²³⁹ *Wyspa Św. Heleny* — wyspa w płd. części Atlantyku, na którą w 1815 został zesłany Napoleon Bonaparte i gdzie zmarł w 1821. [przypis edytorski]

— Zapomniałem — krzyknął blady, z zaciśniętymi zębami, z pianą na ustach — zapomniałem, byłem w błędzie! Beczka zawsze śledziem trąci i gdy służyło się łajdakom...

Na te słowa kapitan skoczył mu do gardła i byłby go niechybnie zadusił, gdyby nie ja i Klementyna. Ojciec ze skrzyżowanymi rękami, nieco bledszy niż zwykle, patrzył na tę scenę z wyrazem niewysłowionej litości. To, co nastąpiło później, było jeszcze smutniejsze, ale po co zatrzymywać się nad szaleństwem dwóch starców? W końcu udało mi się ich rozłączyć; pan de Lessay dał znak córce i wyszedł. Gdy wychodziła za ojcem, pobiegłem za nią na schody.

— Panno Klementyno — rzekłem zrozpaczony, ściskając jej rękę — kocham cię, kocham!

Chwilę zatrzymała rękę moją w swej dłoni; usta jej rozchyliły się. Cóż odpowie? Ale nagle, podnosząc oczy na ojca wstępującego na schody, wysunęła rękę i uczyniła gest pożegnania.

Odtąd nie widziałem jej więcej. Ojciec jej zamieszkał w okolicy Panteonu²⁴⁰, w mieszkaniu, które wynajął celem rozprzedaży swego atlasu historycznego. Umarł tam w kilka miesięcy później skutkiem ataku apopleksji. Córka jego wyjechała do Nevers, do rodziny swej matki. W Nevers poślubiła syna bogatego gospodarza, Achillesa Allier.

Co do mnie, droga pani, żyłem sam, w zgodzie z sobą samym; istnienie moje, wolne od wielkich smutków i wielkich radości, było dość szczęśliwe. Długo jednak bez bolesnego ściśnięcia serca, podczas długich, zimowych wieczorów, nie mogłem patrzeć na pusty fotel. Klementyna dawno umarła; córka jej poszła za nią na wieki spoczynek. Wnuczkę jej poznałem u pani. Nie powiem jeszcze jak starzec z Pisma: „A teraz, Panie, służę Twego puść w pokoju...”²⁴¹. Jeśli taki jak ja starzec może się komuś przydać, to z pani pomocą tej sierocie chcę poświęcić resztę swoich sił.

Słowa te wyrzekłem w przedśionku mieszkania państwa de Gabry i już miałem się pożegnać, gdy uprzejma moja przewodniczka rzekła:

— Kochany panie, nie mogę ci w tym być tak pomocna, jakbym chciała. Joasia jest małoletnią sierotą. Nie może pan nic uczynić dla niej bez upoważnienia jej opiekuna.

— Ach — zawołałem — nie myślałem wcale, że Joasia ma opiekuna!

Pani de Gabry spojrzała na mnie zdziwiona. Nie spodziewała się u starca takiej naiwności.

— Opiekunem Joasi Alexandre — dodała — jest pan Mouche, rejent w Levallois-Perret²⁴². Obawiam się, że panu będzie trudno się z nim porozumieć, bo to człowiek poważny.

— Ach, mój Boże! Z kimże, jeśli nie z ludźmi poważnymi mogę się w moim wieku porozumiewać?

Uśmiechnęła się z łagodną ironią, tak jak uśmiechał się mój ojciec, i rzekła:

— Z ludźmi podobnymi do pana. A pan Mouche do takich nie należy; nie wzbudza we mnie zaufania. Będzie pan musiał żądać od niego upoważnienia na odwiedzanie Joasi, którą umieścił na jednej z pensji w dzielnicy Ternes, gdzie zresztą nie czuje się ona dobrze.

Ucałowałem rękę pani de Gabry i rozstaliśmy się.

Od 2 do 5 maja

Odwiedziłem go, pana Mouche, opiekuna Joasi, w kancelarii. Mały, chudy, suchy, z cerą jakby powleczoną pyłem swoich papierzyków. Jest to zwierzę uokularnione, nie można bowiem wyobrazić go sobie bez okularów. Słyszałem tego pana Mouche; ma skrzeczący głos, mówi wprowadzając w sposób wyszukany, ale wolałbym, aby wcale nie dobiegał wyrażań. Obserwowałem tego pana Mouche; jest ceremonialny i zza okularów, spod oka śledzi człowieka.

Pan Mouche jest bardzo szczęśliwy, a nawet, jak sam powiedział, zachwycony tym, że interesuję się jego pupilką. Ale pan Mouche nie sądzi, że żyje się na świecie dla zabawy,

²⁴⁰ *Panteon* — tu: budowla w Paryżu, w Dzielnicy Łacińskiej, miejsce pochówku osób szczególnie zasłużonych dla Francji. [przypis edytorski]

²⁴¹ *A teraz, Panie, służę Twego puść w pokoju...* — Łk 2, 29 (słowa świątobliwego starca Symeona na widok małego Jezusa przyniesionego przez Józefa i Marię do świątyni; wcześniej Bóg objawił Symeonowi, że nie umrze, póki nie ujrzy Mesjasza). [przypis edytorski]

²⁴² *Levallois-Perret* — francuska gmina na przedmieściach Paryża, ok. 6 km na płn.-zach. od jego centrum. [przypis edytorski]

nie, stanowczo tak nie myśli, i na dobrą sprawę sam jest tak mało zabawny, że należałoby się z nim zgodzić. Obawia się, by jego pupilce nie wpojono fałszywego i szkodliwego poglądu na życie, dostarczając jej zbyt wiele rozrywek. Dlatego, powiada mi, błagał panią de Gabry, ażeby bardzo rzadko zapraszała tę panienkę do siebie. Rozstałem się z zapyłonym kauzyperdą²⁴³ i jego pełną kurzu kancelarią, unosząc formalne upoważnienie (wszystko, co wychodzi od pana Mouche, jest zawsze formalne) na odwiedzanie w pierwszy czwartek każdego miesiąca panny Joanny Alexandre u panny Préfère, nauczycielki przy ulicy Demours w Ternes²⁴⁴.

W pierwszy czwartek maja udałem się do panny Préfère, której zakład naukowy już z daleka oznajmiał się szyldem o błękitnych literach. Ten błękit stanowił dla mnie pierwszą wskazówkę co do charakteru panny Préfère, który następnie miałem sposobność poznać bliżej. Wystraszona służąca odebrała mój bilet wizytowy i pozostawiła bez słowa nadziei w zimnej rozmównicy, gdzie wdychałem ów mdły zapach właściwy refektarzom²⁴⁵ zakładów wychowawczych. Posadzka rozmównicy była tak nielitościwie wywoskowana, iż sądziłem, że przyjdzie mi w rozpaczy pozostać na progu. Ale na szczęście zauważyłem małe kwadratowe kawałki sukna, rozsiane na podłodze przed wyściełanymi krzesłkami; po kolei stawiając nogi na tych dywanowych wysepkach, udało mi się dotrzeć do rogu kominka, gdzie zdyszany usiadłem.

Na kominku stała w wielkich, złożonych ramach tablica, jak głośiły płomieniste goetyckie litery, honorowa, zapisana mnóstwem nazwisk, między którymi nie spotkałem nazwiska Joanny Alexandre. Zdążyłem kilka razy odczytać nazwiska uczennic, które zasłużyły się w oczach panny Préfère i zaniepokoiłem się, że nikt nie nadchodzi. Pannie Préfère byłoby się z pewnością udało zaprowadzić na owym pedagogicznym terenie absolutną ciszę przestworów niebieskich, gdyby nie stada wróbli, które obrały sobie jej podwórze, by świergotać tam, ile dusza zapagnie. Przyjemnie było ich słuchać. Ale jakże im się przyglądać przez matowe szyby? Musiałem zadowolić się widokiem czterech ścian rozmównicy, od góry do dołu przyozdobionych rysunkami wykonanymi przez uczennice zakładu. Były tam westalki²⁴⁶, kwiaty, chatki, kapitele²⁴⁷, łuki i ogromna głowa Tacjusza²⁴⁸, króla Sabinów, podpisana: Estella Mouton.

Dość już długo podziwiałem energię, z jaką panna Mouton oddała krzaczaste brwi i gniewny wzrok starożytnego wojownika, gdy krok lżejszy niż szelest zeschłego, pędzonego wiatrem liścia kazał mi odwrócić głowę. W rzeczywistości nie był to zeschły liść; była to panna Préfère. Ze złożonymi rękami sunęła po lśniącym zwierciadle posadzki jak święte ze *Złotej legendy* po kryształach wód. Ale wątpię, czy pod jakimkolwiek innym względem panna Préfère mogła przywieść na myśl dziewicę tak drogiej idei mistycznej. Sama twarz jej przypominała raczej jabłko na strychu, przez skrzętną gospodynię przechowywane na zimę. Miała na ramionach pelerynkę z frędzlami, która sama przez się nie przedstawiała nic osobliwego, ale którą nosiła jak szatę kościelną lub jak oznakę wysokiego urzędu. Wyłożyłem jej cel mojej wizyty i wręczyłem mój list polecający.

— Pan widział pana Mouche — rzekła. — Jakże zdrowie jego, możliwie dobre? To człowiek tak pocziwy, tak...

Nie dokończyła i spojrzenie wlepiła w sufit. Mój wzrok pobiegł za nim i spoczął na krążku papieru, wyciętego na kształt koronki. Krążek, umieszczony pod sufitem zamiast

²⁴³kauzyperda (daw. pogard.) — lichy prawnik. [przypis edytorski]

²⁴⁴Ternes — dzielnica w płn.zach. części Paryża. [przypis edytorski]

²⁴⁵refektarz (z łac.) — sala jadalna w klasztorze lub seminarium duchownym; we francuskim analogiczny wyraz *réfectoire* oznacza ogólnie salę jadalną pewnej wspólnie mieszkającej społeczności, w tym również np. w szkole z internatem, w hospicjum, w koszarach. [przypis edytorski]

²⁴⁶westalki — w starożytnym Rzymie: dziewicze kapłanki strzegące świętego ognia w świątyni Westy, otoczone wielkim szacunkiem. [przypis edytorski]

²⁴⁷kapitel (archit.) — głowica, zwieńczenie kolumny. [przypis edytorski]

²⁴⁸Tytus Tacjusz, łac. *Titus Tatius* — legendarny król miasta Cures, należącego do italskiego plemienia Sabinów, dowódca wojsk sabinich walczących z Rzymem. W założonej przez Romulusa i jego towarzyszy osadzie Rzym brakowało kobiet, a sąsiednie plemiona odmawiały zgody na małżeństwa z ich kobietami. Romulus nakazał zorganizowanie święta, na które zaproszono panny z sąsiedniego plemienia Sabinów, a kiedy przybyły, kazał je porwać i wydać za mąż za mężczyzn z najlepszych rodów. Doszło do wojny, którą przerwano dopiero na prośbę porwanych kobiet, a władzę w Rzymie podzielono pomiędzy Romulusa i Tytusa Tacjusza, od czego wywodziło później dwuwładzę konsulów. Porwanie Sabinek było popularnym motywem w sztuce, począwszy od renesansu. [przypis edytorski]

świecznika, miał, jak sędzę, przywabiać muchy, a tym samym odciągać je od złożonych ram luster i tablicy honorowej.

— Poznałem pannę Alexandre — rzekłem — u pani de Gabry i mogłem ocenić dobroć i inteligencję tej panienki. Znałem niegdyś jej dziadków i chcę przenieść na nią sympatię i życzliwość, jaką dla nich żywiłem.

Z całą odpowiedzi panna Préfère westchnęła głęboko, przycisnęła do piersi tajemniczą pelerynkę i znów spojrzała na papierowy krążek u sufitu. Wreszcie rzekła:

— Pan znał państwa Alexandre, chcę zatem wierzyć, że wraz z panem Mouche i ze mną ubolewał pan nad szalonymi spekulacjami, które ich do ruiny, a córkę do nędzy doprowadziły.

Słyszając te słowa, pomyślałem, że być nieszczęśliwym to wielki błąd, a już na pewno błąd nie do wybaczenia ze strony tych, którzy długo byli godni zazdrości. Upadek ich jest dla nas pociechą i zadośćuczynieniem, stajemy się więc nielitościwi.

Z całą szczerością oświadczyłem, że sprawy finansowe są mi zupełnie obce i zapytałem przełożoną pensji, czy zadowolona jest z panny Alexandre.

— To niepohamowana dziewczyna — zawołała panna Préfère.

I przybrała wyszukaną postawę, chcąc symbolicznie wyrazić położenie, w którym stawia ją tak trudna do prowadzenia uczennica. Po czym, wracając do uczuć łagodniejszych, rzekła:

— Ta młoda panienka — rzekła — jest dość inteligentna. Ale nie można jej skłonić do uczenia się systematycznego, dla zasady.

Co za dziwna osoba, ta panna Préfère! Chodząc, nie podnosi nóg i mówiąc, nie porusza wargami. Nie zatrzymując się dłużej nad tymi właściwościami, odpowiedziałem, że zasady są bez wątpienia czymś doskonałym i że co do tego polegam na jej znajomości rzeczy, ale w końcu, jeśli się ktoś czegoś nauczy, to zupełnie wszystko jedno, jaki zastosował sposób.

Panna Préfère uczyniła powolny gest przeczenia. Potem, wzdychając, rzekła:

— Ach! Ktoś, kto nie zajmuje się wychowaniem, ma o tym bardzo fałszywe pojęcie. Jestem przekonana, że ma jak najlepsze w świecie zamiary, ale lepiej robi, daleko lepiej, jeśli polegać będzie na osobach kompetentnych.

Nie nalegałem i zapytałem, czy mógłbym zaraz widzieć pannę Alexandre.

Spojrzała na swą pelerynkę, jak gdyby w gmatwaniu jej frędzli, niby w czarodziejskiej księdze, miała odczytać odpowiedź, którą dać zamierzała, i wreszcie rzekła:

— Panna Alexandre musi odbyć teraz korepetycję. U nas uczennice starsze uczą młodsze. Nazywamy to nauczaniem wzajemnym... Ale nie chciałabym, aby się pan trudził daremnie! Każę ją zawołać. Pozwoli pan tylko, że dla porządku i dokładności zapiszę nazwisko pańskie w spisie odwiedzających.

Usiadła przed stołem, otworzyła gruby zeszyt i wyciągnęła spod pelerynki list pana Mouche, który tam przedtem wsunęła.

— Bonnard, przez d, nieprawdaż? — rzekła, pisząc. — Wybacz pan, że nalegam na ten szczegół. Moim zdaniem, imiona własne mają swoją ortografię. U nas robi się dyktando imion własnych... Imion historycznych, naturalnie.

Napisawszy biegle ręką moje nazwisko, zapytała, czy nie mógłbym dodać do nazwiska jakiej godności, na przykład były kupiec, urzędnik, emeryt lub tym podobne. W zeszytce jest taka rubryka.

— Ach, mój Boże! — rzekłem — jeśli pani tak zależy na zapełnieniu tej rubryki, niech pani już napisze: członek Akademii Francuskiej.

Jeszcze widziałem przed sobą pelerynkę panny Préfère, ale już nie panna Préfère była w nią odziana; była to nowa osoba, uprzedzająco uprzejma, pieszczotliwa, uszczęśliwiona, promieniejąca. Oczy jej śmiały się, śmiały się drobne zmarszczki (było ich mnóstwo) jej twarzy, uśmiechały się usta (tylko jedną stroną). Przemówiła, głos odpowiadał jej nowej minie — był to głos miódowo słodki.

— Mówił pan zatem, że ta kochana Joasia jest bardzo inteligentna. Ja ze swej strony zauważyłam to samo i dumna jestem, że zgadzam się pod tym względem z panem. Ta młoda panienka doprawdy żywo mnie interesuje. Chociaż nieco zbyt żywa, ma ona, że tak powiem, doskonałe usposobienie. Ale wybaczy pan, że zabieram mu jego cenny czas.

Zawołała służącą, która zjawiła się jeszcze bardziej wystraszona niż poprzednio i znikła po otrzymaniu rozkazu zawiadomienia panny Alexandre, że pan Sylwester Bonnard, członek Akademii, czeka na nią w rozmównicy.

Panna Préfère zdążyła zaledwie oświadczyć mi, że ma głęboki szacunek dla wszelkich postanowień Akademii, jakiegokolwiek one są, gdy ukazała się Joasia, zadyszana, czerwona jak piwonias, z szeroko otwartymi oczami, z opuszczonymi rękami — śliczna w swej naiwnej niezgrabności.

— Jak ty wyglądasz, moje dziecko! — szepnęła panna Préfère z macierzyńską czułością, poprawiając jej kołnierzyk.

Istotnie, Joasia wyglądała dość dziwnie. Pasma zaczesanych w tył włosów wymykały się z siatki; chude ręce, do łokcia wciśnięte w rękawki, ręce, z którymi nie wiedziała, co robić, były czerwone od odmrożeń; spod kusej sukienki widniały za luźne pończochy i wykrzywione buciki, wokół talii owinięty był sznur do skakania, wszystko to czyniło z Joasi pannę niezbyt wystrojoną.

— Mała trzpiotko! — westchnęła panna Préfère, która teraz zdawała się być już nie matką, lecz starszą siostrą.

Potem wymknęła się, sunąc jak cień po zwierciadle posadzki.

— Usiądź, Joasiu — rzekłem — i mów ze mną jak z przyjacielem. Nie bardzo ci tu dobrze?

Zawahała się, po czym odrzekła z uśmiechem rezygnacji:

— Nie bardzo.

Trzymała w rękach oba końce skakanki i milczała. Zapytałem ją, czy skacze jeszcze przez sznur.

— O, nie, proszę pana! — odrzekła żywo. — Kiedy służąca powiedziała mi, że jakiś pan czeka na mnie w rozmównicy, pokazywałam małym, jak mają skakać. Więc biegnąc, okręciłam sznur wkoło talii, żeby go nie zgubić. To nie było stosowne, proszę mi wybaczyć. Tak nieprzyzwyczajona jestem do odwiedzin.

— Sprawiedliwe nieba! Czemuż miałyby mnie gniewać twoja skakanka? Klaryski²⁴⁹ nosiły także sznury u pasa, a były to święte niewiasty.

— Bardzo pan dobry, że przyszedł mnie pan odwiedzić i że tak serdecznie mówi pan ze mną. Nie podziękowałam panu zaraz, jak weszłam, bo zanadto byłam zdziwiona. Widział pan panią de Gabry? Niech mi pan powie coś o niej, dobrze?

— Pani de Gabry — odrzekłem — jest zdrowa. Przebywa w swym ślicznym majątku w Lusance. Powiem ci o niej, Joasiu, tak jak mawiał o swojej pani pewien stary ogrodnik, gdy go o nią zapytywano: „Pani jest na swej drodze”. Tak, pani de Gabry jest na swej drodze; a ty wiesz, Joasiu, jak dobra jest ta droga i jak równym krokiem stąpa ona po niej. Któregoś dnia, zanim wyjechała do Lusance, poszedłem z nią bardzo daleko, daleko i mówiliśmy o tobie. Mówiliśmy o tobie, moje dziecko, na grobie twojej matki.

— Bardzo wam dziękuję — rzekła Joasia. I rozplakała się.

Z cziłą pozwoleń płynąć tym dziewczęcym łzom. Potem, podczas gdy ocierała oczy, prosiłem, by opowiedziała mi o swym życiu w tym domu.

Powiedziała mi, że jest jednocześnie uczennicą i nauczycielką.

— Ty rozkazujesz i tobie rozkazują. Dzieje się tak często na świecie. Ścierp to, moje dziecko.

Ale Joasia wyjaśniła mi, że jej nie uczą i ona nie naucza, ale że obowiązkiem jej jest ubierać dzieci z niższych klas, myć je, uczyć przyzwoitego zachowania, abecadła, szycia, bawić się z nimi, a po pacierzu ułożyć do snu.

— Ach — zawołałem — więc to panna Préfère nazywa wzajemnym nauczaniem! Nie taję przed tobą, Joasiu, że panna Préfère nie bardzo mi się podoba. Nie wydaje mi się tak dobra, jakbym tego pragnął.

— Och — odrzekła Joasia — jest taka, jak większość ludzi. Jest dobra dla tych, których lubi, a niedobra dla tych, których nie lubi. Ale otóż to! Zdaje mi się, że mnie nie bardzo lubi.

— A pan Mouche? Joasiu, co sądzisz o panu Mouche?

Dobro, Zło

²⁴⁹klaryski — zakonnice należące do żeńskiego zakonu kontemplacyjnego zał. w 1212 w Asyżu przez św. Franciszka i św. Klarę, pierwszą przełożoną tej wspólnoty. [przypis edytorski]

Żywo odrzekła:

— Błagam pana, nie mów mi pan o panu Mouche! Błagam pana o to.

Uśluhałem tej gorącej, prawie dzikiej prośby i przeszedłem na inny temat.

— Joasiu, czy i tu lepisz swe woskowe figurki? Nie zapomniałem wróżki, która tak bardzo zadziwiła mnie w Lusance.

— Nie mam wosku — rzekła, opuszczając ręce.

— Nie masz wosku — zawołałem — w Rzeczypospolitej pszczołek! Przyniosę ci, Joasiu, różnobarwne woski, przejrzyste jak klejnoty.

— Dziękuję — odrzekła — ale niech pan tego nie robi. Nie mam tu czasu lepić figurek. Ale jednak zaczęłam modelować małego świętego Jerzego dla pani de Gabry, maleńkiego świętego Jerzego w złożonym pancerzu. Nasze dziewczynki myślały, że to lalka, zaczęły się nim bawić i porozrywały na kawałki.

Wyjęła z kieszeni fartuszka małą figurkę, której powykręcane członki ledwie trzymały się swego drucianego szkieletu. Na ten widok opanował ją jednocześnie smutek i wesołość; w końcu wesołość przeważyła, Joasia uśmiechnęła się, lecz uśmiech ten nagle znikł z jej twarzy.

Panna Préfère wyprostowana, pełna słodyczy, stała w drzwiach rozmównicy.

— Drogie dziecko! — najczulszym głosem westchnęła przełożona szkoły. — Obawiam się, żebyś pana zbyt nie utrudziła. Przecież chwile pańskie są tak cenne.

Poprosiłem ją, by pozbyła się tych złudzeń, i wstając, żeby się pożegnać, wyjąłem z kieszeni czekoladki i inne słodycze, które przyniosłem dla Joasi.

— Och, proszę pana — zawołała Joasia — jest tu tego dla całej pensji!

Dama w pelerynce wmieszała się:

— Panno Joasiu, proszę podziękować panu za jego upominek.

Joasia spojrzała na nią z dziką miną i zwróciła się do mnie:

— Dziękuję panu za te łakocie — rzekła — ale głównie dziękuję za pańską dobroć, za to, że pan przyszedł mnie odwiedzić.

— Joasiu — rzekłem, ściskając obie jej rączki — bądź dobrą i dzielną dziewczyną. Do widzenia.

Zdarzyło się, że wychodząc ze swymi paczkami czekolady i ciastek, Joasia uderzyła rączką skakanki o poręcz krzesła. Panna Préfère z oburzeniem przycisnęła pod pelerynką obie ręce do serca; sądziłem, że za chwilę będę świadkiem zemdlenia jej scholastycznej²⁵⁰ duszy.

Gdy pozostaliśmy sami, panna Préfère odzyskała spokój i muszę przyznać, nie pochlbiając sobie, że uśmiechnęła się do mnie całą jedną stroną twarzy.

— Pani — rzekłem, korzystając z jej życzliwego usposobienia — zauważyłem, że Joasia Alexandre jest trochę błada. Wie pani lepiej ode mnie, ile jej wiek przejściowy wymaga starań i troskliwości. Obraziłbym panią, gdybym wymagał większej troskliwości i pieczołowitości dla Joasi.

Te słowa wprowadziły ją w zachwyt. Spojrzała z miną scholastyczną na papierowy krążek u sufitu i zawołała, składając ręce:

— Ach, jak ci znakomici ludzie umieją zwracać uwagę na najdrobniejsze szczegóły!

Zwróciłem jej uwagę na to, że zdrowie młodej dziewczyny nie jest drobnym szczegółem i pożegnałem ją. Zatrzymała mnie u progu i rzekła poufnie:

— Wybacz pan mej słabostce, jestem kobietą, kocham sławę. Nie mogę zataić przed panem, że zaszczycona się czuję obecnością członka Akademii w moim skromnym zakładzie.

Wybaczyłem tę słabostkę pannie Préfère i myśląc o Joasi z zaślepieniem egoizmu, powtarzałem sobie przez całą drogę:

— Co zrobimy z tego dziecka?

2 czerwca

²⁵⁰scholastyczny — odnoszący się do scholastyki: średniowiecznej filozofii, która starała się wywieść prawdy dotyczące świata z dogmatów religijnych; przen.: dogmatyczny, odwołujący się do autorytetów, formalistyczny, oderwany od życia. [przypis edytorski]

Tego dnia odprowadziłem na cmentarz w Marnes²⁵¹ zwłoki kolegi, który w bardzo podeszłym wieku, według idei Goethego²⁵², zgodził się umrzeć. Wielki Goethe, zadziwiający siłą żywotną, wierzył istotnie, że umiera się tylko wtedy, gdy się tego chce, to znaczy, gdy aż do cna są zniszczone wszystkie opierające się ostatecznemu rozkładowi energie, których całość stanowi samo życie. Innymi słowy, myślał, że umiera się wtedy, kiedy już żyć nie można. To rozumiem! Należy się tylko porozumieć i wspaniała idea Goethego, jeśli tłumaczyć ją sobie właściwie, sprowadza się do piosenki o panu de la Palisse²⁵³.

Zatem mój zacny kolega zgodził się umrzeć dzięki dwóm czy trzem przekonywającym atakom apoplektycznym, z których ostatni już nie wymagał odpowiedzi. Mało obcowalem z nim za życia, ale widać zostałem jego przyjacielem po śmierci, bo koledzy nasi tonem poważnym i ze wzruszeniem oświadczyli mi, że muszę trzymać koniec całunu nakrywającego trumnę i przemówić nad zwłokami.

Po wielce nieumiejętnym odczytaniu krótkiej przemowy, którą napisałem, jak umiałem najlepiej (co nie świadczy jeszcze o jej wartości), udałem się na przechadzkę do lasku Ville-d'Avray i niezbyt często opierając się na lasce wuja kapitana, wszedłem na cienistą ścieżkę, na którą słońce rzucało złote plamy. Nigdy jeszcze zapach trawy i wilgotnych liści, błękitna jasność nieba i cisza drzew nie przejmowały tak głęboko duszy mej i zmysłów; uczucie, jakiego doświadczyłem w tej ciszy, jakby przepojonej ciągłym dźwięczeniem, miało w sobie coś religijnego i zmysłowego zarazem.

Usiadłem w cieniu drogi, pod grupą młodych dębów. Przysięgłem sobie nie umrzeć, a przynajmniej nie zgodzić się umrzeć, zanim, usiadłszy znów pod jakim dębem, w obliczu cichej przestrzeni pól nie zadumam się nad naturą duszy ludzkiej i ostatecznym końcem człowieka. Pszczoła, której brunatny tułów błyszczał w słońcu jak stary złoty pancerz, przyfrunęła, brzęcząc, i siadła na rozkwitłym, ciemnym kwiecie ślazu kołyszącym się na włochatej wysokiej łodydze. Na pewno nie pierwszy raz miałem przed oczami widok tak zwykły, ale pierwszy raz przyglądałem mu się z zaciekawieniem tak przyjaznym i inteligentnym. Zrozumiałem, że między owadem a rośliną istnieją bardzo liczne i różnorodne a subtelne związki, których dotąd nie podejrzewałem. Nasycony nektarem owad, śmiałym lotem odleciał. Ja z trudem się podniosłem.

— Żegnajcie — rzekłem do pszczoły i kwiatka. — Żegnajcie. Obym żył dość długo, by danym mi było odgadnąć tajemnicę waszej harmonii. Jestem bardzo znużony. W naturze ludzkiej leży to, iż odpoczynek po jednej pracy znajduje człowiek tylko w pracy innej. Jeśli Bóg da, kwiaty i owady będą moim odpoczynkiem po filologii i paleografii. Jak pełny znaczenia jest stary mit o Anteuszu²⁵⁴! Dotknąłem ziemi i jestem nowym człowiekiem. W siedemdziesiątym roku życia rodzi się w mej duszy nowa ciekawość jak owe młode pędy, które tryskają ze spróchniałego pnia starej wierzby.

Pszczoła

Praca

4 czerwca

W mgliste, szare poranki, nadające rzeczom niewysłowioną słodycz, lubię patrzeć z mego okna na Sekwanę i jej wybrzeża. Widziałem lazuru błękit nieba, zlewający swoje przejrzyste światło na Zatokę Neapolitańską. A nasze paryskie niebo jest bardziej ożywione, życzliwsze, łaskawsze. Śmieje się, grozi, pieści, smuci się lub weseli jak ludzkie spojrzenie. W tej chwili zlewa ono miłą światłość na ludzi i zwierzęta w ich codzien-

²⁵¹Marnes-la-Coquette — gmina na zach. przedmieściach Paryża, ok. 13 km od centrum miasta. [przypis edytorski]

²⁵²Goethe, Johann Wolfgang (1749–1832) — jeden z najwybitniejszych autorów niemieckich, poeta, dramaturg, prozaik, uczonek i polityk, reprezentant nurtu „burzy i naporu”, przedstawiciel klasycyzmu weimarskiego. [przypis edytorski]

²⁵³piosenka o panu de la Palisse — popularna piosenka francuska, złożona z zabawnych oczywistości, przypisywana Bernardowi de la Monnoye (1641–1728), inspirowana napisem na nagrobku marszałka Francji Jacquesa de la Palisse, poległego w bitwie pod Pawią (1525); występująca w kilkudziesięciu wariantach, których stałym elementem jest stwierdzenie, że przed śmiercią pan la Palisse wciąż żył, np. ze słowami: „Biada! La Palisse nie żyje, zginął pod Pawią. Biada! Gdyby nie umarł, nadal by żył” lub: „Kwadrans przed śmiercią był jeszcze żywy”; w jęz. francuskim wyraz *lapalissade* oznacza oczywistą prawdę, truizm. [przypis edytorski]

²⁵⁴Anteus (mit. gr.) — syn Posejdona i Gai (Ziemi), olbrzym, który w walkach zapaśniczych był niezwyciężony, gdyż zyskiwał siły, dotykając ziemi; kiedy walczący z nim Herakles zorientował się, dlaczego nie może go pokonać, uniósł go w powietrze i zmiażdżył w uścisku. [przypis edytorski]

nej pracy. Tam, na drugim wybrzeżu, tragarze portu Saint-Nicolas²⁵⁵ wyładują paki rogów wołowych, inni, stojąc na ruchomej kładce, zręcznie z rąk do rąk rzucają głowy cukru²⁵⁶ aż na dno parowego statku. Na wybrzeżu północnym konie dorożkarskie, rzędem stojące w cieniu klonów, z głowami pogrążonymi w workach, żują spokojnie swój owies, podczas gdy rumiany stangret wychyla kieliszek przed ladą kupca win, oglądając się za rannym gościem.

Księgarze rozkładają na parapecie swe przenośne kramiki. Zaczni ci przekupnie mądrości, żyjący ciągle na ulicy, w bluzie na wietrze rozwianej, są tak zahartowani powietrzem, deszczami, mrozem, śniegiem, mgłami i słońcem, że stali się podobni do starych posągów katedralnych. Wszyscy oni są moimi przyjaciółmi i prawie nigdy nie przechodzę przed ich kramikami, żeby nie wybrać jakiejś książki, której dotąd nie miałem i której braku nie spostrzegłem.

Po powrocie do domu słyszę krzyki mojej gospodyni, twierdzącej, że obrywam kieszonkę i znoszę papierzyska na pokarm dla szczurów. Teresa jest rozumna i właśnie dlatego, że jest rozumna, nie słucham jej; bo mimo swej spokojnej miny zawsze wołałem namiętne szaleństwo niż rozumną obojętność. Ale moje namiętności nie są z tych, co wybuchają, niszczą i zabijają; ogół ich nie widzi. Wstrząsają mną jednak i nieraz zdarzało mi się spędzić bezsenną noc z powodu kilku kartek napisanych przez zapomnianego mnicha lub wydrukowanych przez nieznanego ucznia Piotra Schöffera²⁵⁷. I jeśli piękne te zapaly wygasają we mnie, to dlatego, że sam gasnę powoli. Nasze namiętności — to my. Moje księgi — to ja. Jestem stary i zasuszony jak one.

Lekki wietrzyk wraz z pyłem ulicznym miotał skrzydlate nasiona klonów i żdzbla siano, wypadłe z pysków koni. Pył sam przez się jest niczym, ale patrząc, jak wiruje, przypominam sobie, że na taki sam wirujący pył patrzałem, gdy byłem dzieckiem, i wzruszenie przejmuje moje serce starego paryżanina. Wszystko, co widzę z mego okna: na lewo widnokrag, rozciągający się do wzgórz Chaillot²⁵⁸, Łuk Triumfalny, niby naparstek z kamienia, rzeka chwały Sekwana z jej mostami, lipy tarasu tuileryjskiego, renesansowy Luwr, cyzelowany jak klejnot; na prawo, od strony Pont Neuf²⁵⁹, *pons Lutetiae*, *Novus dictus*²⁶⁰, jak piszą na starych rycinach, stary czcigodny Paryż ze swymi wieżami i kopułami; wszystko to — to moje życie, to ja sam; byłbym niczym bez tych rzeczy, które odzwierciedlają się we mnie tysiącnymi odcieniami myśli, ożywiają mnie, są moim natchnieniem. Dlatego tak ogromnie kocham Paryż.

A jednak jestem znudzony; czuję, że nie można odpocząć w tym mieście, gdzie myśli jest tak wiele, w mieście, które myśleć mnie nauczyło i ciągle jeszcze myśleć mi każe. Jak nie być zdenerwowanym wśród tych ksiąg, podniecających ciągle mą ciekawość, której nie zaspokoją i tylko nużą? Tu trzeba odszukać datę, tu miejsce, które ściśle określić należy, lub jakieś stare wyrażenie, którego właściwe znaczenie ciekawe byłoby poznać. Słowa? — Tak jest, słowa! Jako filolog jestem ich władcą, one są moimi poddanymi i oddają im, jak dobry władca, całe swoje życie. Czyż nigdy nie będę mógł abdykować? Przeczuję, że jest gdzieś, z dala stąd, na skraju lasu, domek, gdzie znajdę potrzebny mi spokój, zanim inny, głębszy a nieunikniony otuli mnie ostatecznie. Marzę o ławce przed progiem i o polach szerokich jak okiem sięgnąć. Ale trzeba by przy tym uśmiechu młodej twarzyczki, z której by tryskała, w której by odbijała się cała ta piękność; uważałbym się za dziadka i pustka mojego życia byłaby zapełniona.

Książka

Rozum, Uczucie,
Szaleństwo

Książka, Starość

Miasto
Słowo

²⁵⁵port Saint-Nicolas — dawny port w Paryżu, na prawym brzegu Sekwany, w pobliżu Luwru oraz istniejącego do 1780 kościoła Saint-Nicolas-du-Louvre. [przypis edytorski]

²⁵⁶głowa cukru — forma, jaką do pocz. XX w. nadawano cukrowi rafinowanemu na potrzeby handlu: stożkowata bryła z zaokrąglonym wierzchołkiem; głowę cukru rozłupywano i kruszono przy pomocy specjalnych narzędzi. [przypis edytorski]

²⁵⁷Schöffer, Peter (ok. 1425–ok. 1503) — niemiecki drukarz i księgarz w czasach początku druku; do 1456 najbliższy współpracownik Gutenberga, następnie w spółce z J. Fustem, który przejął warsztat drukarski Gutenberga; po śmierci Fusta w 1466 jedyny właściciel drukarni. [przypis edytorski]

²⁵⁸wzgórza Chaillot, fr. *Colline de Chaillot* — niskie wzgórza w Paryżu, na prawym brzegu Sekwany; miejsce średniowiecznej wioski Chaillot, a także zamku i klasztoru, zburzonych podczas rewolucji; w 1860 włączone w obręb Paryża. [przypis edytorski]

²⁵⁹Pont Neuf (pol.: Nowy Most) — XVII-wieczny most przez Sekwanę w Paryżu, łączący wyspę Île de la Cité z lewym i prawym brzegiem rzeki; najstarszy istniejący most w mieście. [przypis edytorski]

²⁶⁰*Pons Lutetiae*, *Novus dictus* (łac.) — most w Lutecji, Nowym zwany; *Lutetia Parisiorum*, Lutecja [plemienia] Paryżów, to starożytna nazwa Paryża. [przypis edytorski]

Nie jestem człowiekiem gwałtownym, a jednak irytuję się łatwo i wszystkie moje prace sprawiały mi tyleż zmartwienia, co i przyjemności. Nie wiem, jak się to stało, że przypominała mi się wtedy pyszałkowata i lekceważąca impertynencja, na jaką przed trzema miesiącami pozwolił sobie mój młody przyjaciel z Ogrodu Luksemburskiego. Nie przez ironię nazywam go przyjacielem, lubię bowiem ucząc się młodość mimo jej śmiałości i kaprysów myślowych. Jednak mój młody przyjaciel przekroczył granice. Mistrz Ambroży Paré²⁶¹, który pierwszy wprowadził podwiązanie arterii i zastawszy chirurgię partacką w rękach felczerów-empiryków, podniósł ją na wyżyny, na jakich jest dzisiaj — mistrz Ambroży Paré na starość szarpany był przez różnych cyrulików²⁶² i golibrodów. Obrzucony obelżywymi wyrazami przez młodego szalawilę²⁶³, który mógł być najpocziwszym w świecie chłopcem, ale nie miał poczucia szacunku, stary mistrz odpowiedział mu w swym traktacie *O mumii, o jednoroźcu, o jadach i dzumie*. „Proszę go — mówi wielki mąż — proszę, jeśli ma ochotę w czymkolwiek zaprzeczyć mej odpowiedzi, niechaj porzuci niechęć i łagodniej traktuje biednego staruszka”. Ta odpowiedź piękna, gdy wychodzi spod pióra Ambrożego Paré, gdyby nawet pochodziła od wiejskiego znachora, osiwiatego w pracy, a wyśmianego przez niebaczego młokosa, jeszcze byłaby godna pochwały.

Pomyśli, kto może, że to wspomnienie było przebudzeniem się niskiej niechęci. I ja tak myślałem i gromiłem sam siebie za nędzne czepianie się słów dziecka, niewiedzącego, co mówi. Na szczęście rozmyślanie moje na ten temat wzięło później lepszy obrót i dlatego notuję je w tym zeszycie. Przypominałem sobie, jak pewnego dnia, mając lat dwadzieścia (minęło już odtąd przeszło pół wieku), przechadzałem się z kilkoma towarzyszami w tym samym Ogrodzie Luksemburskim. Mówiliśmy o naszych starych profesorach i jeden z nas wymienił nazwisko pana Petit-Radel²⁶⁴, szanownego erudyty, który pierwszy rzucił światło na początki sztuki etruskiej²⁶⁵, ale miał nieszczęście sporządzić spis chronologiczny kochanków Heleny trojańskiej. Śmieliśmy się z tego spisu serdecznie, a ja zawołałem: „Petit-Radel jest osłem nie tylko o pięciu literach, to osioł w dwunastu tomach”.

Słowo młodzieniaszka zbyt jest lekkie, by miało zaważyć na sumieniu starca. Obym w walce życia tylko tak niewinne rzucał pociski! I dziś zadaję sobie pytanie, czy bezwiednie nie zrobiłem kiedyś czegoś równie śmiesznego jak chronologiczny spis kochanków Heleny. Postęp wiedzy zbyt uczynił czyni prace, które niegdyś najbardziej przyczyniły się do tego postępu. Ponieważ teraz nie ma z nich wielkiego pożytku, młodość w dobrej wierze sądzi, że nigdy do niczego nie służyły, i gardzi nimi; a jeśli znajdzie się w nich jakaś myśl zbyt przestarzała, wyśmiewa je bez ogródki. Jak ja, mając lat dwadzieścia, śmiałem się z pana Petit-Radel i jego miłosnej chronologii, tak niedawno w Luksemburgu mój młody i niegrzeczny przyjaciel...

Wejrz w siebie, Oktawianie, i porzuć twe żale,
Chcesz, by cię oszczędzono; tyś nie szczędził wcale²⁶⁶.

6 czerwca

Historia, Wiedza, Młodość

²⁶¹Paré, Ambroise (1510–1590) — wybitny chirurg francuski, jeden z prekursorów nowoczesnej chirurgii; lekarz nadworny Henryka II, Franciszka II, Karola IX i Henryka III. [przypis edytorski]

²⁶²Cyrulik — fryzjer wykonujący również proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

²⁶³szalawila — człowiek lekkomyślny, lekkoduch. [przypis edytorski]

²⁶⁴Petit-Radel, Louis Charles François (1756–1836) — francuski ksiądz, archeolog; podczas pobytu we Włoszech zajmował się badaniami prehistorycznych konstrukcji, tzw. murów cyklopowych (pelazgijskich) oraz nuragów na Sardynii; członek Akademii Inskrypcji i Literatury Pięknej Instytutu Francji, kustosz biblioteki Mazarina, kawaler Legii Honorowej. [przypis edytorski]

²⁶⁵pierwszy rzucił światło na początki sztuki etruskiej, fr. *jeta le premier quelque lumière sur les origines étrusques* — omyłka autora, powinno być: *pelazgijskiej*, tj. prehistorycznych murów, bram itp. wykonanych z wielkich, jedynie powierzchownie obrobionych kamieni, dopasowanych do siebie bez spajania zaprawą. Tego rodzaju konstrukcje kultury mykeńskiej w Grecji przypisywano mitycznemu plemieniu Pelazgów, zamieszkujących Grecję przed przybyciem Greków, lub Cyklopowi, mitycznym olbrzymom. We włoskim regionie Lacjum (okolicie Rzymu) konstrukcje tego typu pozostawił po sobie italski lud Herników. Etruskowie to lud zamieszkujący w starożytności północną Italię, początkowo dominujący nad Rzymianami, w III w. p.n.e. całkowicie przez nich podbity i wchłonięty. [przypis edytorski]

²⁶⁶Wejrz w siebie, Oktawianie... — Corneille Cynna, akt IV, scena 2 (słowa Augusta). [przypis edytorski]

Był to pierwszy czwartek czerwca. Zamknąłem książkę i pożegnałem świętego opata Droktoweusza, któremu, jako że zażywa szczęśliwości niebiańskiej, zapewne niepilno widzieć imię swe i czyny rękami moimi wysławione na ziemi w skromnej kompilacji. Czyż mam się przyznać? Ów kwiat ślazu i pszczoła, które widziałem w zeszłym tygodniu, obchodzą mnie więcej niż wszyscy starzy opaci w mitrach i pastorałach. I przed chwilą służąca moja zdybała mnie u okna w kuchni, jak przyglądałem się przez lupę kwiatom lewkonii. W jednej z książek Sprengla²⁶⁷, którą czytałem w okresie pierwszej młodości, kiedy czytałem wszystko, jest kilka myśli o życiu miłosnym kwiatów; przychodzą mi one do głowy dziś, po pół wieku zapomnienia, i interesują do tego stopnia, że żałuję, iż nie poświęciłem swych skromnych zdolności badaniu roślin i owadów.

Myśli te snulem, szukając krawata, ale na próżno; przeszukawszy mnóstwo szuflad, musiałem zwrócić się do swojej gospodyni. Teresa weszła, utykając.

— Trzeba mi było powiedzieć, że pan wychodzi — rzekła — byłabym panu krawat podała.

— Ale czy nie lepiej, Tereso — odrzekłem — położyć go w takim miejscu, gdzie mógłbym go znaleźć bez twojej pomocy?

Teresa nie raczyła mi odpowiedzieć. Nie pozostawia mi ona swobody rozporządzania czymkolwiek. Nie mogę sam wydostać chustki do nosa, muszę zażądać tego od niej, a że Teresa jest głucha, niedołężna, a co gorsza, zupełnie traci pamięć, więc męczę się, bo ciągle brak mi różnych rzeczy. Ale Teresa ze spokojną dumą korzysta ze swej władzy domowej, a ja nie mam odwagi zbuntować się przeciw rządzeniu mymi szafami.

— Krawat, Tereso! Czyż nie słyszysz? Gdzie mój krawat? Jeśli mnie będziesz do rozpaczy doprowadzać swoją opieszałością, to nie krawata będę potrzebował, ale stryczka, żeby się powiesić.

— Cóż panu tak pilno? — odpowiada Teresa. — Krawat nie zginął. Nic tu nie ginie, bo ja wszystkiego pilnuję. Ale muszę mieć czas, żeby go poszukać.

„Oto — myślałem sobie — oto wynik półwiekowego poświęcenia. Ale gdyby ta nieubłagana Teresa raz, raz jeden w życiu na moje szczęście zaniedbała swoje obowiązki, żeby na jedną chwilę tylko coś przewiniła, nie miałaby nade mną takiej władzy i śmiałybym jej się oprzeć. Ale czyż można oprzeć się cnocie? Ludzie bez błędu i słabostek są straszni — jest się wobec nich bezbronnym. Teresa, na przykład, nie ma ani jednej wady, do której można by się przyczepić. Nie wątpi ani o siebie, ani o Bogu, ani o ludziach. Jest to niewiasta silna, cnotliwa dziewczyna z Pisma; ludzie jej nie znają, ale ja ją znam. Ukazuje się w mej duszy z lampą w ręku, ze skromną domową lampą, która błyszczy pod belkami sielskiego dachu i nie zagaśnie nigdy u końca tych ramion chudych, powykręcanych i silnych jak sęki”.

— Tereso, mój krawat! Czyż nie wiesz, nieszczęsna, że dzisiaj pierwszy czwartek czerwca i że panna Joanna na mnie czeka? Przełożona szkoły kazała zapewne wywo-skować posadzkę rozmównicy tak, że przejrzeć się w niej można, i jeżeli sobie połamię tam kości (co z pewnością nastąpi), przyjemnie będzie zobaczyć w niej, jak w lustrze, własną strapioną twarz. Biorąc więc za wzór miłego i wspaniałego bohatera, którego podobizna cyzelowana jest na lasce wuja Wiktora, postaram się pokazać twarz uśmiechniętą i duszę wytrwałą. Co za piękne słońce! Wybrzeża są nim wyzłocone, a Sekwana śmieje się tysiącem błyszczących zmarszczek. Miasto jest jak złote; jasny pył, niby pasma blond włosów, osnuwa jego piękne kontury... Tereso, krawat! Ach, jak dobrze rozumiem dziś pocziwca Chryzala²⁶⁸, chowającego swe żaboty²⁶⁹ w grubym tomie Plutarcha²⁷⁰. Za jego przykładem będę odtąd chować moje krawaty między kartkami *Acta sanctorum*.

Teresa pozwalała mi mówić i w milczeniu szukała. Usłyszałem, że z cicha zadzwonił ktoś do drzwi.

²⁶⁷ Sprengel, Christian Konrad (1750–1816) — niemiecki botanik, odkrył rolę owadów i wiatru w zapyłaniu kwiatów (1793). [przypis edytorski]

²⁶⁸ Chryzał — postać z komedii Moliera *Uczone białogłowy* (1672): pocziwcy, ograniczony mieszcuch; w rozmowie z siostrą narzeka: „Te książki wasze to są bezpotrzebne graty, prócz grubego Plutarcha, w którym me rabaty prasuję” (akt II, scena 7, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński). [przypis edytorski]

²⁶⁹ Żaboty — ozdoba z marszczącej tkaniny umieszczana na przodzie koszuli lub bluzki. [przypis edytorski]

²⁷⁰ Plutarch z Cheronei (ok. 50–ok. 125 n.e.) — grecki filozof, historyk, moralista; autor popularnego zbioru zestawionych parami życiorysów sławnych Greków i Rzymian (*Żywoty równoległe*). [przypis edytorski]

— Tereso — rzekłem — dzwonią. Daj mi krawat i idź otworzyć; albo idź otworzyć, a krawat, z boską pomocą, dasz mi później. Ale nie pozostawaj tak, proszę cię, między komodą a drzwiami jak koń, że tak powiem, między dwoma siodłami.

Teresa poszła ku drzwiom jak naprzeciw wroga. Moja zacna gospodyni zrobiła się bardzo niegościnna. Każdy obcy jest dla niej podejrzany. Według jej słów jest to wynikiem długiego doświadczenia i znajomości ludzi. Nie miałem czasu rozważyć, czy to samo doświadczenie, wykonane przez innego eksperymentatora, dałoby te same wyniki. W gabinecie czekał na mnie pan Mouche.

Pan Mouche jest jeszcze bardziej żółty, niż myślałem. Ma niebieskie okulary i jego źrenice biegają poza nimi jak myszy za parawanem. Pan Mouche przeprosza, że przeskadza mi w chwili... Nie określa tej chwili bliżej, ale sądzę, że ma na myśli chwilę, w której jestem bez krawata. Jak wiecie, nie moja w tym wina. Pan Mouche, który nie wie o tym zresztą, zupełnie nie wydaje się obrażony. Obawia się tylko, czy nie jest natrętny. Uspokajam jego skrupuły. Powiada mi, że przyszedł ze mną pomówić jako opiekun panny Alexandre. Przede wszystkim prosi, bym nie zwracał uwagi na ograniczenia, które początkowo uważał za stosowne wpisać do upoważnienia danego mi dla odwiedzania panny Joanny na pensji. Odtąd zakład wychowawczy panny Préfere stoi dla mnie otworem codziennie od godziny pierwszej do czwartej. Wiedząc, jak interesuję się tą panienką, uważa za swój obowiązek podać mi bliższe szczegóły o osobie, której powierzył swoją pupilkę. Panna Préfere, którą zna od dawna, posiada jego pełne zaufanie. Panna Préfere jest, według niego, osobą światłą, rozumną i dobrych obyczajów.

— Panna Préfere — rzekł — ma zasady; a to, proszę pana, rzecz rzadka w dzisiejszych czasach. Wszystko bardzo zmieniło się obecnie i dzisiejsza epoka niewarta poprzednich.

— Dowodem moje schody, mój panie — odrzekłem. — Przed dwudziestu pięciu laty najłatwiej w świecie było po nich wchodzić, a teraz już przy pierwszych stopniach zawsze się zadyszę i kolana mam jak podcięte. Popsuły się schody. Albo gazety i książki, które niegdyś bez trudu pochłaniałem przy świetle księżyca, dziś przy najpiękniejszym słońcu sztydzą z mej ciekawości i jeśli nie mam okularów, ukazują mi tylko coś białego z czarnym. Podagra nurtuje moje członki. I to także jest jedna ze złośliwości dzisiejszych czasów.

— Nie tylko to, proszę pana — odrzekł poważnie pan Mouche — ale istotnym złem naszej epoki jest, że nikt nie zadowala się swoim położeniem w świecie. Od góry do dołu drabiny społecznej, we wszystkich stanach, panuje niepokój, niezadowolenie, pragnienie dobrobytu.

— Mój Boże — odrzekłem — czy istotnie sądzisz pan, że to pożądanie dobrobytu jest specyficzną cechą naszej epoki? Ludziom nigdy, w żadnej epoce, nie uśmiechał się niedostatek. Zawsze starali się polepszyć swój byt. Ten ciągły wysiłek wytwarzał wciąż rewolucje. Trwa on dalej, ot i wszystko!

— Ach, szanowny panie — odrzekł pan Mouche — jak to znać, że pan żyje tylko w swych książkach, z dala od interesów! Nie widzi pan, tak jak ja, konfliktów w interesach, ciągłych walk pieniężnych. Od największych do maluczkich, wszędzie jednaki rozgorączkowanie. Wszyscy zapamiętali oddają się spekulacji. To, co widzę, przeraża mnie.

Zapytywałem sam siebie, czy pan Mouche po to tylko przyszedł do mnie, by wyrazić mi swą cnotliwą mizantropię²⁷¹; ale usłyszałem z ust jego bardziej pocieszające wyrazy. Pan Mouche opowiedział mi, że Wirginia Préfere to osoba godna szacunku, poważania i sympatii; jest pełna powagi, zdolna do poświęceń, wykształcona, dyskretna, czytuje na głos, jest wstydliva i umie przykładać plastry. Zrozumiałem teraz, że dlatego roztoczył przede mną tak ponury obraz ogólnego zepsucia, aby przez kontrast lepiej wydobyć na jaw cnoty nauczycielki. Dowiedziałem się, że zakład przy ulicy Demour posiada dobrą klientelę, przynosi dochody i cieszy się ogólnym szacunkiem. Pan Mouche dla podkreślenia swych zapewnień wyciągnął rękę w czarnej, wełnianej rękawiczce. Po czym dodał:

— Z tytułu mego zawodu znam się na ludziach. Rejent jest po trosze spowiednikiem. Uważałem za swój obowiązek, szanowny panie, dać panu tak dobre informacje w chwili, gdy szczęśliwy traf zbliżył pana do panny Préfere. Dodam jeszcze słówko: osoba ta, która

Gospodyni

Starość

Bieda, Rewolucja

²⁷¹mizantropia (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

nic nie wie o kroku uczynionym przeze mnie u pana, mówiła mi w tych dniach o panu z niezmierną sympatią. Powtarzaniem osłabiłbym jej wyrażenia i nie mógłbym ich zresztą powtórzyć, nie zdradzając niejako zaufania panny Préfère.

— Nie zdradzaj go pan — odrzekłem — nie zdradzaj! Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że panna Préfère tak mnie zna. Jednak jeśli ma pan na nią wpływ, oparty na dawnej przyjaźni, skorzystam z pańskiego życzliwego względem mnie usposobienia, aby prosić pana, byś użył tego wpływu na korzyść Joanny Alexandre. Dziecko to, bo jest to jeszcze dziecko, jest przeciążone pracą. Jest jednocześnie i nauczycielką, i uczennicą, męczy ją to bardzo. Poza tym obawiam się, że zbyt dotkliwie odczuwa swe ubóstwo, a jest to natura szlachetna, którą upokorzenia mogłyby popchnąć do buntu.

— Niestety — odrzekł pan Mouche — trzeba przygotować ją do życia. Nikt nie znalazł się na świecie dla zabawy i dla spełniania swych wszystkich zachcianek!

— Jest się na świecie — rzekłem żywo — po to, żeby cieszyć się dobrem i pięknem i żeby spełniać swe zachcianki, jeśli są dobre, szlachetne i rozumne. Wychowanie, które nie wyrabia woli, jest wychowaniem paczającym dusze. Nauczyciel powinien uczyć dzieci chcieć!

Z miny pana Mouche wywnioskowałem, że ma mnie za głupca. Ciągnął on dalej z wielkim spokojem i pewnością siebie:

— Pomyśl pan, że wychowanie ubogich winno być prowadzone z wielką ostrożnością, z uwzględnieniem należytej pozycji, jaką zajmować będą w społeczeństwie. Może nie wie pan o tym, że Noel Alexandre umarł po bankructwie, w długach, i że jego córka wychowywana jest prawie z miłosierdzia.

— Och, panie — zawołałem — nie mówmy o tym! Wyglądałoby to na usprawiedliwianie się, a wtedy nie byłoby prawdą!

— Pasywa sukcesji²⁷² — ciągnął rejent — przewyższały aktywa²⁷³. Ale ułożyłem się z wierzycielami w interesie małoletniej.

Chciał dać mi bardziej szczegółowe objaśnienia, ale odmówiłem, ponieważ w ogóle nie jestem zdolny do rozumienia interesów, a tym bardziej interesów pana Mouche. Rejent znów starał się usprawiedliwić system edukacyjny panny Préfère i na zakończenie rzekł:

— Zabawa niczego nauczyć nie może.

— Uczyć się można tylko przez zabawę — odrzekłem. — Sztuka nauczania jest tylko sztuką rozbudzania ciekawości w młodych duszach po to, żeby następnie ją zaspokajać, ciekawość zaś żywa jest i zdrowa tylko w umysłach szczęśliwych. Wiadomości, które gwałtem wpycha się do umysłu, tłumią i duszą go. Żeby przetrwać naukę, trzeba przekłnąć ją z apetytem. Znam Joasię! Gdyby to dziecko było mnie powierzone, uczyniłbym z niej nie uczoną, bo pragnę jej dobra, ale dziewczynę tryskającą inteligencją i życiem, w której całe piękno przyrody i sztuki odbiłoby się łagodnym blaskiem. Nauczyłbym ją kochać piękny krajobraz, idealne sceny poezji i historii, szlachetną, wzruszającą muzykę. Uczyniłbym jej miłym wszystko, co pragnąłbym, aby ukochała. Nawet roboty ręczne, szycie upiększyłbym dla niej przez wybór tkanin, gust haftów, styl koronek. Dałbym jej pięknego psa i konia, by nauczyła się kierować zwierzętami, dałbym jej ptaki do żywienia, by poznała wartość kropli wody i okruszyny chleba. Żeby stworzyć jej jeszcze jedną radość więcej, chciałbym, aby z radością była miłosierna. A skoro ból jest nieunikniony, skoro życie pełne jest nędzy i smutków, nauczyłbym ją tej mądrości chrześcijańskiej, która wznosi nas ponad wszelkie nędze i nawet ból czyni pięknym. Oto jak rozumiem wychowanie młodej dziewczyny.

— Chylę czoła przed tymi wywodami — odrzekł pan Mouche, splatając ręce w czarnych wełnianych rękawiczkach.

Wstał.

— Pojmuje pan — rzekłem, odprowadzając go do drzwi — że nie zamierzam narzucać pannie Préfère mego systemu wychowawczego, który zresztą jest zupełnie osobisty i absolutnie niezgodny z organizacją najlepiej prowadzonych pensji. Proszę pana tylko, byś przekonał pannę Préfère, aby dawała Joasi mniej pracy, a więcej odpoczynku, aby

Kondycja ludzka, Nauczyciel

Nauka, Młodość

Nauka, Młodość

²⁷²sukcesja (praw.) — następstwo prawne po poprzedniku, tu: skutek odziedziczenia spadku. [przypis edytorski]

²⁷³pasywa i aktywa (ekon.) — *pasywa*: zobowiązania finansowe, które trzeba spłacić w przyszłości; *aktywa*: majątek posiadany przez przedsiębiorstwo lub osobę. [przypis edytorski]

jej nie poniżała i pozostawiała jej tyle swobody umysłu i ciała, na ile pozwala regulamin szkoły.

Z bładym, tajemniczym uśmiechem zapewnił mnie pan Mouche, że uwagi moje będą dobrze przyjęte i pilnie uwzględnione.

Po czym, lekko skłoniwszy się, wyszedł, pozostawiając mnie w stanie niewytłumaczonego niepokoju i zmieszania. Z różnego rodzaju ludźmi miałem do czynienia w życiu, ale nigdy z ludźmi takimi jak ten rejent i ta nauczycielka.

6 lipca

Pan Mouche przetrzymał mnie zbyt długo swoją wizytą, musiałem więc na dziś wyrzec się odwiedzenia Joasi. Cały tydzień zajmowały mnie obowiązki zawodowe. Chociaż doszedłem już do lat, gdy zrywa się związki i stosunki zawodowe, tysiączne nici wiążą mnie ze światem, w którym żyłem. Przewodniczę różnym akademiom, kongresom, stowarzyszeniom. Obarczony jestem różnymi honorowymi czynnościami, spełniam ich coś, dobrze licząc, siedem w jednym ministerium. Urzędy chciałyby się mnie pozbyć, tak samo jak ja ich. Ale nawyknięcie silniejsze jest od nich i ode mnie i dalej, utykając, wydeptuję schody ministerstw. Kiedy mnie już nie będzie, woźni pokazywać sobie będą w okularach mój cień. Gdy się jest już bardzo starym, niezmiernie trudno jest zniknąć. A jednak czas, jak mówi piosenka, wziąć dymisję i pomyśleć o końcu²⁷⁴.

Starość

Pamiętam, poznałem kiedyś u mego ojca pewną starą margrabinę-filozofkę, w młodości wielbicielek Helvetiusa²⁷⁵. Otóż do tej pani podczas jej ostatniej choroby przyszedł proboszcz, aby ją przygotować na śmierć.

Żart, Śmierć, Książd

— Czyż to tak potrzebne? — odrzekła księdzu. — Widzę, że wszystkim udaje się to doskonale od pierwszego razu.

W kilka dni później odwiedził ją mój ojciec, czuła się już bardzo źle.

— Dobry wieczór, przyjacielu — rzekła, ściskając jego rękę — idę zobaczyć, czy Bóg zyskuje przy bliższym poznaniu.

Oto jak umierały piękne wielbicielki filozofów... Takie spotkanie własnego końca nie jest zaiste prostacką przechawką i tak lekkomyślne traktowanie rzeczy poważnej nie lęgnie się w umyśle głupców. Ale mnie ono razi. Ani obawy moje, ani nadzieje nie godziłyby się na takie rozstanie z życiem. Chciałbym w takiej chwili zdobyć się na trochę skupienia i dlatego trzeba będzie, bym za lat kilka wszedł w siebie, inaczej... Ale, pst!... Niech Ta, co przechodzi, nie obróci się i nie słyszy swego imienia. Mogę jeszcze bez niej unieść swe brzemień.

Zastałem Joasię uszczęśliwioną. Powiedziała mi, że zeszłego czwartku, po wizycie opiekuna, panna Préfère zwolniła ją od regulaminu i od niektórych prac. Od owego błogosławionego czwartku przechadza się swobodnie po ogrodzie, któremu brak tylko kwiatów i liści; że nawet może pracować nad swym nieszczęsnym świętym Jerzym.

I z uśmiechem dodała:

— Wiem, że panu zawdzięczam to wszystko.

Zagałęm o czymś innym, ale zauważyłem, że nie słucha mnie tak, jakby chciała.

— Widzę, że trapi cię jakaś myśl — rzekłem. — Mów mi o niej szczerze, inaczej wszystko, o czym będziemy mówić, nic nie będzie warte i niegodne będzie mnie i ciebie.

— Och, słucham pana uważnie — rzekła — ale prawdą jest, że myślałam o czym innym. Pan mi wybaczy, nieprawdaż? Myślałam, że panna Préfère musi bardzo pana kochać, gdyż stała się dla mnie taka dobra.

I spojrzała na mnie z miną jednocześnie tak uśmiechniętą i wystraszoną, że wybuchnąłem śmiechem.

— Dziwi cię to? — zapytałem.

²⁷⁴A jednak czas, jak mówi piosenka, wziąć dymisję i pomyśleć o końcu — zapewne odniesienie do wiersza *Stances de la retraite* (Strofy o wycofaniu się, 1618) francuskiego poety Honorata de Racan (1589–1670), członka pierwszego składu Akademii Francuskiej. Być może jednak wskazanie „jak mówi piosenka” odnosi się do fragmentu z początku zdania, występującego również u Musseta i pochodzącego prawdopodobnie z ludowej, regionalnej piosenki francuskiej z powtarzającymi się słowami „Jednak już czas, już czas” (*il est pourtant temps, pourtant temps*). [przypis edytorski]

²⁷⁵Helvétius, *Claude Adrien*, pol. *Helwecjusz* (1715–1771) — francuski filozof materialista, czołowy przedstawiciel oświecenia; autor materialistycznego traktatu *O umyśle* (1758), potępionego przez parlament Paryża i Kościół katolicki i publicznie spalonego. [przypis edytorski]

— Bardzo — odrzekła.
— A dlaczego, proszę cię?
— Bo zupełnie nie widzę powodu, dla którego miałby się pan podobać pannie Préfère.
— Uważasz, że nie mogę się podobać, Joasiu?
— O, nie! Ale doprawdy nie wiem, dlaczego pan ma się podobać pannie Préfère.
A jednak pan podoba się jej bardzo. Kazała mnie zawołać i zadawała mi mnóstwo pytań dotyczących pana.

— Doprawdy?
— Tak, chciała wiedzieć, jak jest u pana w domu. Tak dalece, że pytała mnie nawet o wiek pańskiej gospodyni!

— No dobrze! A ty co o tym myślisz?
Długo trzymała wzrok spuszczonej na swe podarte obuwie i zdawała się być pogrążona w głębokiej zadumie. Wreszcie, podnosząc głowę, rzekła:

— Ja nie rozumiem. Bardzo naturalne jest, nieprawdaż, że jest się zaniepokojonym, gdy się czegoś nie rozumie? Wiem dobrze, że jestem trzpiot, ale pan nie ma mi tego za złe.

— Nie, doprawdy, Joasiu, nie mam ci tego za złe.
Przyznaję, że zdziwienie jej udzieliło się mnie i w starej swojej głowie zastanawiałem się nad myślą młodej dziewczyny: jest się zdziwionym, gdy się czegoś nie rozumie.

Joasia z uśmiechem ciągnęła dalej:
— Pytała mnie... niech pan zgadnie!... Pytała, czy pan lubi smaczne jedzenie.
— I jak przyjąłeś, Joasiu, ten potop pytań?
— Odpowiedziałam: „Nie wiem, proszę pani”. A pani powiedziała: „Jesteś mały głup-tasek. Najmniejsze szczegóły życia znakomitego męża powinny być zauważone. Wiedz, moja panno, że pan Sylwester Bonnard jest jedną ze sław Francji”.

— No, no! — zawołałem. — A co panienka myśli o tym?
— Myślę, że panna Préfère miała rację. Ale nie zależy mi na tym... (to złe, co teraz powiem), zupełnie nie zależy mi na tym, aby panna Préfère kiedykolwiek miała rację.

— No, to bądź zadowolona, Joasiu; panna Préfère nie miała racji.
— Nie! Nie! Miała rację. Ale ja chciałabym kochać wszystkich, którzy pana kochają, wszystkich bez wyjątku, a teraz już nie mogę, bo nigdy nie potrafię pokochać panny Préfère.

— Joasiu, posłuchaj minie — rzekłem poważnie. — Panna Préfère stała się dobra dla ciebie, bądź dobra dla niej.

— Pannie Préfère — rzekła sucho — łatwo jest być dobrą dla mnie, a mnie byłoby bardzo trudno być dobrą dla niej.

— Moje dziecko, władza, zwierzchnictwo nauczycielki jest święte. Przełożona pensji zastępuje ci matkę, którą straciłaś.

Zaledwie wyrzekłem to uroczyste głupstwo, pożałowałem tego żywo. Dziewczyna zbladła, oczy jej nabrzmiały łzami:

— Och! — zawołała. — Jak pan mógł taką rzecz powiedzieć, pan?

Tak, jak mogłem coś takiego powiedzieć?

Joasia powtarzała:

— Mama! Moja kochana mamusia! Moja biedna matczka!

Przypadek przeszkodził mi być głupim do końca. Nie wiem, jak to się stało, że wyglądałem, jak gdybym płakał. W moim wieku już się nie płacze. Prawdopodobnie uporczywy kaszel wycisnął mi łzy z oczu. Ale było to do złudzenia podobne do płaczu. Joasia te łzy wzięła za płacz. Ach! Jaki czysty, jaki promienny uśmiech zabłysnął wtedy spod jej pięknych, wilgotnych rzęs — jak słońce spomiędzy gałęzi po letniej ulewie! Wzięliśmy się za ręce i długo trwaliśmy w milczeniu, szczęśliwi.

— Moje dziecko — rzekłem wreszcie — jestem bardzo stary i znam wiele tajemnic życia, które tobie dopiero później się odsłonią. Wierz mi, przyszłość utkana jest z przeszłości. Wszystko, co uczynisz, aby tu dobrze żyć, bez nienawiści i goryczy, przyda ci się na to, abyś kiedyś, w swoim domu, żyła w radości i pokoju. Bądź łagodna i umiej cierpieć. Kto umie cierpieć, cierpi mniej. A gdyby zdarzyło ci się kiedy mieć prawdziwy powód do skargi i żalu, będę przy tobie, aby go wysłuchać. Krzywdę, jaka by cię mogła spotkać, odczujemy wraz z tobą, pani de Gabry i ja.

Łzy

Obraz świata

— Jakże zdrowie szanownego pana? Zupełnie dobrze?

To, podszedłszy z cicha, panna Préfère z uśmiechem zadawała mi to pytanie. Pierwszą moją myślą było posłać ją do wszystkich diabłów, drugą — stwierdzić, że usta jej tak są stworzone do uśmiechu jak rondel do grania na skrzypcach, trzecią — odpłacić jej za grzeczność, co uczyniłem, wyrażając nadzieję, że i jej zdrowie nie pozostawia nic do życzenia.

Odwołała Joasię, aby przeszła się po ogrodzie; potem jedną ręką przyciskając pelerynkę, drugą wyciągając w stronę złotej tablicy, ukazała mi imię Joanny Alexandre wypisane gotyckimi literami na czele listy.

— Z wielką radością widzę — rzekłem — że pani jest zadowolona ze sprawowania tego dziecka. Nic mi miłsze być nie może i skłonny jestem przypisać ten dobry rezultat pani życzliwej troskliwości. Pozwoliłem sobie przysłać parę książek, które mogą zająć młode panienki i wielu rzeczy je nauczyć. Przerzuciwszy je, osądzi pani sama, czy ma je pani dać w ręce panny Alexandre i jej towarzyszek.

Wdzięczność przełożonej pensji doszła aż do roztkliwienia i wyraziła się potokiem słów. Aby zatamować je, rzekłem:

— Piękna pogoda dzisiaj.

— Tak — odrzekła — i jeśli się utrzyma, to moje dziatki będą miały piękne dni na odpoczynek.

— Mówi pani zapewne o wakacjach. Ale panna Alexandre, która jest sierotką, nie wyjedzie stąd na wakacje. Co ona robić będzie, mój Boże, w tym wielkim, pustym domu?

— Dostarczymy jej rozrywek, o ile można najwięcej. Będę z nią chodziła do muzeów i...

Zawahała się i rumieniąc się, dodała:

— I do pana, jeśli pan pozwoli.

— A jakże! — zawołałem. — A to doskonała myśl!

Rozeszliśmy się nawzajem z siebie zadowoleni. Ja z niej, bo otrzymałem to, czego pragnąłem, ona zaś bez żadnej, ocenić się dającej, przyczyny, więc bezinteresownie, co według Platona²⁷⁶ stawia ją na najwyższym stopniu hierarchii dusz.

A jednak ze złym przeczuciem wprowadzam tę osobę do mojego domu. I chciałbym bardzo, aby Joasia była w innych rękach. Pan Mouche i panna Préfère będą zawsze górowali nade mną. Nie wiem nigdy, dlaczego mówią to, co mówią, ani dlaczego czynią tak, jak czynią; są w nich tajemnicze głębie, które mnie niepokoją. Słusznie mówiła Joasia przed chwilą: jest się niespokojnym, gdy się czegoś nie rozumie.

Niestety! W moim wieku wie się aż nadto dobrze, jak mało niewinne jest życie i ile się traci, trwając na świecie; toteż tylko do młodości ma się zaufanie.

Starość, Młodość

16 sierpnia

Czekałem na nie. Doprawdy, czekałem z niecierpliwością. Chcąc skłonić Teresę, aby je dobrze przyjęła, użyłem całej mej sztuki przypodobania się i pochlebstwa, ale to mało. Przyszły. Joasia była, słowo daję, ładna. Nie taka ładna jak jej babka, oczywiście. Ale dziś po raz pierwszy spostrzegłem, że ma miłą twarzyczkę, a jest to na świecie rzecz bardzo dla kobiety potrzebna. Uśmiechnęła się i gród książek cały pojaśniał.

Śledziłem Teresę, obserwowałem, czy jej surowość starej dozorczyń domowego ogniska mięknie na widok młodej dziewczyny. Widziałem, jak zwróciła na Joasię swe wyblakłe oczy, długą twarz o obwisłej skórze, bezzębne usta i spiczasty podbródek starej, wszechwładnej wróżki. I nic więcej.

Panna Préfère, w błękitnej sukni, zbliżała się, cofała, podskakiwała, dreptała, wykrzykiwała, wzdychała, spuszczała oczy, podnosiła je, rozplywała się w grzecznościach, nieśmiała, to znów śmiała, zalekniona, to znów odważna, jednym słowem nie wiedziała, co z sobą zrobić.

— Co tu książek! — zawołała. — I pan je wszystkie czytał, panie Bonnard?

— Niestety, tak — odrzekłem — i dlatego nie umiem zupełnie nic. Nie ma tu ani jednej książki, która nie przeczytałaby drugiej, tak że gdy się zna je wszystkie, nie wiadomo, co myśleć. Do tego wniosku właśnie doszedłem, proszę pani.

Książka

²⁷⁶Platon (427–347 p.n.e.) — filozof grecki, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa. [przypis edytorski]

Na to panna Préfère zawołała Joasię, chcąc jej zakomunikować swoje wrażenia. Ale Joasia wyglądała oknem.

— Jakie to piękne! — rzekła, zwracając się do nas. — Lubię patrzeć, jak płynie rzeka. To o tylu rzeczach każe myśleć!

Panna Préfère zdjęła kapelusz i odsłoniła czoło, przyozdobione blond loczkami. Moja gospodyni natychmiast pochwyciła jej kapelusz, mówiąc, że nie lubi, żeby się „łachy” poniewierały po meblach. Potem zbliżyła się do Joasi i poprosiła o jej „szmatki”, nazywając ją swą panienczką. Panienczka, oddając płaszczyk i kapelusz, odsłoniła zgrabną szyjkę i krągłą kibić, której zarysy odcinały się wyraźnie w świetle wielkiego okna, i doprawdy pragnąłem, aby w tej chwili widzieć ją mógł ktoś inny prócz starej służącej, przełożonej pensji, w loczkach jak baranek, i starego paleografa.

— Przyglądasz się Sekwanie — rzekłem — błyszczysz w słońcu jak złota.

— Tak — odrzekła, wsparta o parapet okna. — Wygląda jak płynący płomień. Ale niech pan spojrzysz tam, jak wydaje się świeża pod wierzbami wybrzeża, odbijającymi się w jej falach. Ten mały kącik podoba mi się jeszcze bardziej niż wszystko inne.

— No — rzekłem — widzę, że cię rzeka nęci. Co byś powiedziała, żebyśmy, za zwoleniem panny Préfère, pojechali do Saint-Cloud²⁷⁷ statkiem parowym? Znajdziemy go na pewno koło mostu Pont Royal.

Joasia była bardzo zadowolona z mego pomysłu, a panna Préfère gotowa do wszelkich poświęceń. Ale moja gospodyni nie myślała nas tak puścić. Wyciągnęła mnie do jadalni, dokąd z drzeniem za nią poszedłem.

— Pan nigdy o niczym nie pomyśli — rzekła, gdyśmy już byli sami — i ja muszę myśleć o wszystkim. Całe szczęście, że mam dobrą pamięć!

Nie uznałem za stosowne rozwiązać tak śmiałego złudzenia. Teresa mówiła dalej:

— A teraz chciał pan wyjść, nie mówiąc mi nawet, co panienska lubi. Już pana dość trudno zadowolić, ale pan wie przynajmniej, co dobre. Nie tak jak te młódki. One to, co najlepsze, uważają czasem za najgorsze, a to, co niesmaczne, im wydaje się dobre, a to dlatego, że mają serce jeszcze niedobrze utwierdzone na swoim miejscu; wcale nie wiadomo, co z nimi robić. Czy panienska lubi gołąbki z groszkiem i ptysie z kremem?

— Kochana Tereso — odrzekłem — zrób, jak ci się podoba, a zawsze będzie dobrze. Te panie zadowolą się naszym codziennym skromnym posiłkiem.

Teresa odrzekła oschle:

— Mówię z panem o panience; nie trzeba, żeby odeszła stąd, nie skorzystawszy trochę na tej wizycie. Co do tej starej z lokami, jeśli jej się mój obiad nie spodoba, niech ssie swoje palce. Kpię sobie z tego!

Spokojny na duszy, wracałem do grodu książek, w którym panna Préfère ze spokojem robiła szydełkiem, jak gdyby była u siebie. Nieomal sam w to wierzyłem. Co prawda niewiele miejsca zajmowała we framudze okna, ale tak dobrze wybrała sobie krzesło i podnózek, że sprzęty te wyglądały, jak gdyby dla niej stworzone.

Joasia, przeciwnie, rzucała na książki i obrazy długie spojrzenia, wyglądające prawie jak serdeczne pożegnanie.

— Joasiu — rzekłem — zabaw się przeglądaniem tej książki, która na pewno ci się spodoba; zawiera bardzo piękne ryciny.

I otworzyłem przed nią zbiór kostiumów Vecelliego²⁷⁸; nie tę, jak może wam się zdaje, banalną kopię, mizernie wykonaną przez nowoczesnych artystów, lecz wspaniałą, szacowny egzemplarz pierwszego wydania, który nie mniej jest szlachetny od szlachetnych pań, przedstawionych na jego żółtych, przez wiek upiększonych kartach.

Przerzucając ryciny, Joasia rzekła z naiwną ciekawością:

— Mówił pan o przechadzce, a każe mi pan odbyć podróż. Daleką podróż.

Rzeka

Młodość

²⁷⁷ Saint-Cloud — francuska miejscowość nad Sekwaną, na zachodnich przedmieściach Paryża, ok. 10 km od centrum. [przypis edytorski]

²⁷⁸ Vecellio, Cesare (ok. 1521–ok. 1601) — włoski grafik i malarz okresu renesansu; autor m.in. książki *De gli habitati antichi et moderni di diverse parti del mondo* (O ubiorach dawnych i współczesnych w rozmaitych częściach świata, wyd. 1590), zawierającej ok. 600 pełnostronicowych rycin przedstawiających stroje mężczyzn i kobiet z różnych krain wraz z opisami. [przypis edytorski]

— Tak, moje dziecko — odrzekłem — ale trzeba wygodnie urządzić się w podróży. Siedzisz na brzeжку krzesła i kołyszysz nim w dodatku, a Vecellio musi ci też ciążyć na kolanach. Usiądź na dobre, krzesło postaw prosto, a książkę połóż na stole.

Usłuchała mnie z uśmiechem, mówiąc:

— O, niech pan patrzy, co za cudny kostium. (Był to kostium dogaressy²⁷⁹). Jakie to wspaniałe, jak piękne myśli nasuwa! Zbytek to jednak piękna rzecz!

— Nie trzeba wypowiadać podobnych myśli, panno Joanno — rzekła przełożona, podnosząc znad roboty swój nieforemny nos.

— To bardzo niewinna myśl — odrzekłem. — Są dusze wyjątkowe, mające wrodzone upodobanie do wspaniałości.

Nieforemny nos natychmiast opuścił się znowu.

— Panna Préfère także lubi zbytek — rzekła Joasia — wykrawa przecież papierowe abażury na lampy. Jest to zbytek oszczędny, niemniej jednak zbytek.

Powracając do Wenecji, zaznajamialiśmy się właśnie z patrycjuszką²⁸⁰ ubraną w bogato haftowaną dalmatykę²⁸¹, gdy usłyszałem dzwonek. Myślałem, że to chłopiec z cukierni z ciastem, ale drzwi grodu książek otwarły się i...

Pragnąłeś przed chwilą, stary Sylwestrze Bonnard, by inne oczy niż te wybladłe oczy w okularach widzieć mogły twą protegowaną w całym wdzięku i krasie; życzenie twe spełniło się w sposób najmniej spodziewany. I jak nieopatrzemu Tezeuszowi²⁸² głos jakiś szepce ci:

Lękaj się, Panie, lękaj, że cię może twarde
Nieba dość nienawidzą, by spełnić twe chęci²⁸³.

Drzwi grodu książek otwarły się i ukazał się w nich piękny młodzieniec, wprowadzony przez Teresę. Stara, poczciwa dusza umie tylko otwierać i zamykać drzwi przed ludźmi; nie rozumie zupełnie finezji przedpokoju i salonu. Nie ma zwyczaju ani zapowiadać przybywającego, ani kazać czekać. Albo wyrzuca ludzi za drzwi, albo pcha ich od razu do pokoju.

I oto piękny młodzieniec już stoi przede mną i doprawdy nie mogę przecież zaraz zamknąć go w sąsiednim pokoju jak niebezpieczne stworzenie. Czekam, aż się wytłumaczy; czyni to bez zmieszania, zdaje mi się, zauważył młodą dziewczynę, która, nachylona nad stołem, przewraca kartki książki. Patrzę na niego i albo się myślę, albo już go gdzieś widziałem. Nazywa się Gélis. Jest to nazwisko, które już słyszałem, tylko nie pamiętam, gdzie. Istotnie, pan Gélis (skoro ma być Gélis) jest bardzo udanym młodzieńcem. Opowiada mi, że jest na trzecim kursie wydziału szkoły paleograficznej, że od piętnastu czy osiemnastu miesięcy przygotowuje rozprawę dyplomową, której treścią jest stan opactw benedyktyńskich w 1700 roku. Przeczytał ostatnie moje prace o *Monasticonie* i jest przekonany, że nie doprowadzi swej pracy do szczęśliwego końca, po pierwsze, bez moich rad, a następnie, bez rękopisu będącego w moim posiadaniu; manuskryptem tym jest *Rejestr rachunków opactwa Cîteaux od roku 1683 do 1704*.

Po tym oświadczeniu podał mi list polecający, dany mu przez jednego z moich znakomitszych kolegów. Teraz już wiem, przypominam sobie: pan Gélis jest po prostu tym młodzieńcem, który zeszłego roku pod kasztanami terasy luksemburskiej nazwał mnie głupcem. Rozwinąwszy list polecający, rozważam: „No, no, biedaku! Nawet nie przypuszczasz, że cię słyszałem i wiem, co sądzisz o mnie... a przynajmniej, co sądziłeś wtedy; te młode umysły są przecież tak zmienne! Mam cię, nierozważny młodzieńcze!

²⁷⁹ *dogaressa* (wł.) — małżonka doży, najwyższego urzędnika Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

²⁸⁰ *patrycjuszka* — rzymska lub włoska arystokratka, przedstawicielka uprzywilejowanego rodu. [przypis edytorski]

²⁸¹ *dalmatyka* — długa, szeroka szata z krótkimi rękawami, popularny w cesarstwie rzymskim ubiór pochodzący z Dalmacji, krainy hist. na wsch. wybrzeżu Adriatyku; ob. nazwa pochodząca od tego stroju chrześcijańskiej wierzchniej szaty liturgicznej, używanej w Kościele katolickim i niektórych Kościołach protestanckich. [przypis edytorski]

²⁸² *Tezeusz* (mit. gr.) — heros ateński, zabójca Minotaura, uważany za zjednoczyciela Attyki i założyciela ateńskiego miasta-państwa; mąż królowny kreteńskiej Fedry. [przypis edytorski]

²⁸³ *Lękaj się panie, lękaj, że cię może twarde nieba dość nienawidzą...* — Racine, *Fedra*, akt V, scena 3 (Arycja do Tezeusza). [przypis edytorski]

Dostałeś się do jaskini lwa, i to tak niespodziewanie, że stary lew, zdziwiony, doprawdy nie wie, co ma zrobić ze swoją zdobyczą. A ty, stary lwie, czyżbyś nie był głupcem? Jeśli nim nie jesteś, to byłeś nim. Byłeś głupcem, żeś podsłuchiwał pana Gélis u stóp posągu Małgorzaty de Valois, podwójnym głupcem, żeś go wysłuchiwał do końca, a potrójnym, żeś nie zapomniał tego, czego lepiej było nie słyszeć”.

Tak wyłajawszy starego lwa, nakłaniałem go, żeby był łaskawy i litościwy; nie dał się też długo prosić i wkrótce stał się tak wesoły, że musiał powstrzymać się, aby nie wybuchnąć radosnym rykiem.

List mego kolegi czytałem w ten sposób, że można było przypuścić, iż nie znam liter. Trwało to niezmiernie długo i pan Gélis mógłby się znudzić, ale patrzył na Joasię i to wpływało na jego cierpliwość. Joasia od czasu do czasu zwracała głowę w naszą stronę. Nie można przecie siedzieć bez ruchu, nieprawdaż? Panna Préfère poprawiała loczki, pierś jej unosiła się cichym westchnieniem. Muszę dodać, że często mnie tym zaszczyciała.

— Bardzo jestem rad — rzekłem, składając list — że mogę być panu użyteczny. Trudni się pan poszukiwaniami, które mnie tak żywo zajmowały. Zrobiłem, co mogłem. Wiem równie dobrze jak pan — lepiej nawet od pana — ile jeszcze pozostaje do zrobienia. Manuskrypt, którego pan ode mnie żąda, jest do pańskiego rozporządzenia, może go pan zabrać, ale nadmieniam, że jest bardzo duży i obawiam się...

— Ach, proszę pana — rzekł Gélis — grubych ksiąg się nie lękam.

Poprosiłem gościa, by poczekał, i udałem się do sąsiedniego gabinetu po ów rejestr. Nie od razu go odnalazłem i bałem się, że w ogóle go nie znajdę, bo po nieomylnych znakach poznałem, że gospodyni moja i tu robiła porządek. Ale rejestr był tak wielki i gruby, że Teresa nie zdołała ukryć go zupełnie. Podniosłem go z trudem i z przyjemnością zauważyłem, że jest dostatecznie ciężki.

„Czekaj, mój chłopcze — mówiłem w duchu z uśmiechem, który musiał być bardzo zjadliwy — czekaj, obarczę cię tym brzemieniem, najpierw połamię ci ono kości, a potem mózgowinę. To będzie pierwsza zemsta Sylwestra Bonnard. Dalej już zobaczymy”.

Gdy wróciłem do grodu książek, usłyszałem pana Gélis, który mówił do Joasi:

— Wenecjanki moczyły włosy w farbie. Ich kolor blond miał odcień miodu i złota. Są jednak włosy, których naturalna barwa ładniejsza jest niż miód i złoto.

A Joasia odpowiadała skupionym i zadumanym zmlczeniem. Przeczynałem, że była to sprawa tego łotra Vecelliego i że pochyleni nad książką razem oglądali dogaresę i patrycjuszki.

Ukazałem się ze swą ogromną księgą; myślałem, że Gélis się skrzywi. Byłby to ciężar nawet dla tragarza; ramiona bolały mnie porządnie. Ale młodzieniec pochwycił go jak piórko i z uśmiechem wsunął go pod pachę, po czym podziękował mi ze zwięzłością, którą bardzo cenię, przypomniał, że będzie potrzebował moich rad, umówił się co do dnia następnych odwiedzin i wyszedł, kłaniając się wszystkim z największą swobodą.

— Przystojny, miły chłopiec — rzekłem.

Joasia przewróciła kilka kartek Vecelliego i nic nie odpowiedziała.

Pojechaliśmy do Saint-Cloud.

Wrzesień–grudzień

Wizyty u mnie powtarzały się regularnie, za co głęboko jestem wdzięczny pannie Préfère. W nagrodę zdobyła też w grodzie książek wyłączny swój kącik. Mówi ona teraz: moje krzesło, mój podnózek, moja półeczka. Jej półeczką jest półka, z której wygnała poetów prowansalskich, aby umieścić na niej swój worek do roboty. Jest bardzo uprzejma i doprawdy muszę być potworem, skoro jej nie lubię. Znoszę ją tylko w całym znaczeniu tego wyrazu. Ale czegoż nie zniósłbym dla Joasi? Ona nadaje grodowi książek wdzięk, którego wspomnienie jeszcze po jej odejściu mnie cieszy. Joasia jest niezbyt wykształcona, ale tak uzdolniona, że gdy chcę zwrócić jej uwagę na jakąś piękną rzecz, okazuje się, że dotąd nie widziałem tego piękna, jak należy, i dopiero ona mi je ukazuje. Jeśli dotąd nie udało mi się skierować jej myśli za biegiem moich, to za to często z przyjemnością szedłem za sprytnymi kaprysami jej wyobraźni.

Człowiek praktyczniejszy ode mnie pomyślałby nad tym, aby uczynić ją pożyteczną. Ale czyż w życiu być uprzejmym i miłym nie znaczy tyle samo co być pożytecznym? Nie będąc ładną, Joasia czaruje. Czar może przydać się w życiu tak jak cerowanie pończoch.

Zresztą nie jestem nieśmiertelny, a ona na pewno nie będzie jeszcze stara, kiedy mój rejent (nie jest nim pan Mouche) odczyta jej pewien dokument, który podpisałem niedawno.

Nie chcę, aby ktoś inny zabezpieczał jej przyszłość i wyposażał ją. Nie jestem bardzo bogaty i spuścizna ojcowska nie powiększyła się w moich rękach. Nie można zebrać majątku, szperając w starych tekstach. Ale księgi moje, według dzisiejszych cen tego szlachetnego towaru, są coś warte. Jest na tej półce kilku poetów XVI wieku, o których posiadanie będą walczyć milionerzy i książęta. I sądzę, że te *Godzinki* Simona Vostre nie przejdą niepostrzeżone przez sale licytacyjne hotelu Silvestre, równie jak i *Preces piae*, należące niegdyś do królowej Klaudii²⁸⁴. Staralem się zebrać i zachować wszystkie te rzadkie i ciekawe egzemplarze, zaludniające gród książek, i bardzo długo sądziłem, że są mi tak potrzebne do życia jak światło i powietrze. Kochałem je bardzo i dziś jeszcze nie mógłbym się do nich nie uśmiechać i nie pieścić się z nimi. Te pergaminy tak są mile dla oka, te weliny tak przyjemne w dotknięciu! Nie ma tu ani jednej książki, która dla szczególnych swych zalet nie byłaby godna szacunku kulturalnego człowieka. Jakież inny właściciel potrafi je tak cenić! Skąd mogę wiedzieć, że nowy właściciel nie zmarnuje ich lub nie uszkodzi przez kaprys ignoranta? W jakie ręce dostanie się ten niezrównany egzemplarz *Historii opactwa Sain-Germain-des-Prés*, na którego marginesach sam autor, Don Jakub Bouillart²⁸⁵, własną ręką poczynił pełne treści notatki?...

Panie Bonnard, jesteś starym głupcem! To biedne stworzenie, twoją kucharkę, przykuł dziś do łóżka ostry reumatyzm. Ma przyjść Joasia ze swym cerberem²⁸⁶, a ty, zamiast pomyśleć, jak je przyjąć, myślisz o tysiącnych głupstwach. Sylwestrze Bonnard, nigdy do niczego nie dojdiesz, ja ci to mówię!

I właśnie widzę z okna, jak wysiadają z omnibusu. Joasia zeskakuje jak kotka, a panna Préfère powierza się silnym ramionom konduktora ze wstydliwą minką Wirginii²⁸⁷, ocalonej z rozbicia i tym razem gotowej na przyjęcie tego ratunku. Joasia podnosi głowę, widzi mnie i przesyła mi niedostrzegalny znak przyjaznego porozumienia. Spostrzegam, że jest ładna; nie tak ładna jednakże, jak ładna była jej babka. Ale wdzięk jej stanowi radość i pociechę starego głupca, którym jestem. Co do młodych głupców (są jeszcze tacy), nie wiem, co o tym pomyślą; to nie moja sprawa. Ale Bonnard, mój przyjacielu, czyż trzeba ci powtórzyć, że twoja gospodyni leży w łóżku i że sam musisz otworzyć drzwi?

Otwórz, staruszkule grudniu... To wiosna dzwoni do twoich drzwi.

Istotnie, to Joasia, Joasia cała różowa. Panna Préfère, zdyszana i oburzona, jeszcze jest o całe piętro niżej, ale spieszenie gramoli się na schody.

Gdy weszły, przedstawiłem stan zdrowia mojej gospodyni i zaproponowałem obiad w restauracji. Ale Teresa, wszechwładna nawet na łożu boleści, zdecydowała, że trzeba jeść w domu. Porządni ludzie, według jej zdania, nie jadają w restauracji. Zresztą przewidziała wszystko; co potrzebne do obiadu, jest kupione, ugotuje go stróżka.

Nieustraszona Joasia zapragnęła zobaczyć, czy chorej staruszce niczego nie trzeba. Jak łatwo możecie sobie wyobrazić, została natychmiast odesłana z powrotem do salonu, mniej szorstko jednak, niż myślałem.

— Gdybym potrzebowała usługi, co niech Bóg broni — odpowiedziano jej — znajdę sobie kogoś mniej delikatnego. Mnie trzeba spokoju. A jest to towar, którego panienka nie ma na sprzedaż w swym kramiku. Idź się, panienka, śmiać i nie stój tu. To niezdrowo; starość się udziela.

Joasia, powtórzywszy nam te słowa, dodała, że bardzo lubi sposób mówienia starej Teresy. Na co panna Préfère zarzuciła jej, że ma bardzo niedystyngowane gusty. Próbowaliśmy bronić Joasi, dając za przykład wielu dobrych pracowników na niwie macierzyste-

Sluga, Jedzenie, Dom

²⁸⁴Klaudia francuska, fr. *Claude de France* (1499–1524) — córka króla Francji Ludwika XII, żona Franciszka I, znana z pobożności. [przypis edytorski]

²⁸⁵Bouillart, Jacques (1669–1726) — benedyktyński mnich z kongregacji św. Maura, autor dzieła *Histoire de l'abbaye royale de Saint-Germain-des-Prés* (Historia królewskiego opactwa Sain-Germain-des-Prés, 1724). [przypis edytorski]

²⁸⁶Cerber (mit. gr.) — trzygłowy pies, pilnujący wejścia do krainy zmarłych; tu przen.: groźny strażnik. [przypis edytorski]

²⁸⁷Wirginia — bohaterka powieści *Pauel i Wirginia* (1788) Bernardina de Saint-Pierre: ginie podczas katastrofy statku, gdyż z powodu wstydlivosti, mimo prośb usiłującego ją ocalić marynarza, nie chce publicznie zrzucić obszernej sukni. [przypis edytorski]

go języka, którym za nauczycieli tego przedmiotu służyli tragarze portowi i praczki. Ale panna Préfère ma zbyt dystyngowany smak, by zgodzić się z moim zdaniem.

Tymczasem Joasia z błagalną minką prosiła, bym jej pozwolił przypasać biały fartuszek i iść do kuchni gotować obiad.

— Joasiu — rzekłem z mentorską powagą — sądzę, że o ile chodzi o tłuczenie talerzy, wyszczerbianie półmisek i obijanie rondli i patelni, to niechlujne stworzenie, które Teresa wezwała do kuchni, temu zadaniu podoła, bo zdaje mi się, że w tej chwili słyszę w kuchni złowrogie hałasy. Wszelako powierzam ci, Joasiu, sporządzenie deseru. Idź po fartuszek, sam ci go przypaszę.

Istotnie, uroczyście zawiązałem jej płócienny fartuszek naokoło talii i Joasia pobiegła do kuchni, by przygotować, jak dowiedzieliśmy się później, bardzo smaczne potrawy.

Nie miałem możliwości poczuć się zadowolonym z tego obrotu sprawy, bo zaczęło mnie niepokoić zachowanie się panny Préfère, która pozostała sam na sam ze mną. Patrzyła na mnie oczami pełnymi łez i ognia, przy czym głęboko wzdychała.

— Żal mi pana — rzekła. — Człowiek taki jak pan, człowiek wyjątkowy, żyje sam z ordynarną służącą (bo jest ordynarna, tego zaprzeczyć się nie da!). Co za okropne życie! Panu potrzeba spokoju, troskliwości, względów, starań wszelkiego rodzaju; pan może zachorować. A nie ma kobiety, która by nie uważała sobie za zaszczyt nosić pańskie nazwisko i dzielić jego życie. Nie, nie ma takiej: serce mi to mówi!

I obiema rękami przyciskała to serce, ciągle gotowe wyskoczyć.

Byłem dosłownie zrozpaczony. Próbowałem przekonać pannę Préfère, że nie mam zamiaru zmieniać czegokolwiek w moim trybie życia i że doznaję tyle szczęścia, ile wymaga mój los, wiek i usposobienie.

— Nie, pan nie jest szczęśliwy! — zawołała. — Panu potrzebna jest dusza zdolna go zrozumieć. Niech się pan wyrwie ze swego odrętwienia, rzuci okiem wkoło siebie. Ma pan rozległe stosunki, piękne znajomości. Jako członek Akademii musi pan bywać w towarzystwach. Niech pan patrzy, sądzi, porównuje. Rozumna kobieta nie odmówi panu swej ręki. Jestem kobietą, mój panie, mój instynkt mnie nie myli; coś szepcze mi w duszy, że pan będzie szczęśliwy w małżeństwie. Kobiety są tak poświęcające się, tak kochające (nie wszystkie zapewne, ale przecież niektóre). Są też tak wrażliwe na sławę! Kucharka pańska nie ma już sił; jest głucha, niedołężna; gdyby w nocy zdarzyło się jakie nieszczęście, choroba! Drżę na samą myśl o tym!

I drżała rzeczywiście; zamykała oczy, zaciskała pięści, tupała nogami. Byłem niezmiernie zgnębiony. Z ogromnym żarem mówiła dalej:

— Zdrowie pańskie! To cenne zdrowie! Oddałabym z radością całą swoją krew, aby zachować życie uczonemu, literata, zasłużonego męża, członka Akademii! Pogardzałabym kobietą, która by tego nie uczyniła. Wie pan, znałam kobietę, żonę znakomitego matematyka, człowieka, który zapisywał całe zeszyty liczb i napełniał nimi wszystkie szafy w mieszkaniu. Cierpiał na chorobę serca i niknął w oczach. A u jego boku widziałam żonę, zupełnie spokojną; wreszcie nie mogłam tego wytrzymać i pewnego dnia powiedziałam: „Moja kochana, nie masz ani odrobiny serca. Ja na twoim miejscu zrobiłabym... zrobiłabym... Nie wiem, co bym zrobiła!”.

Umilkła, wyczerpana. Położenie było okropne. O tym, by wyraźnie powiedzieć pannie Préfère, co sądzę o jej radach, nawet myśleć nie było można. Bo pogniewać się z nią — znaczyło utracić Joasię. Przyjąłem więc całą rzecz spokojnie. Zresztą była u mnie i ten взгляд wpłynął na to, że zachowałem się uprzejmie.

— Jestem bardzo stary, proszę pani — rzekłem — i obawiam się, że pani rady są mocno spóźnione. Pomyślę jednak o tym. Tymczasem niech się pani uspokoi. Dobrze by było, żeby pani wypila szklankę wody z cukrem.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu słowa te uspokoiły ją natychmiast; wyjęła robótkę i zasiadła w swoim kąciку, przy swojej półce, na swoim krześle, z nogami na swoim podnóżku.

Obiad zupełnie się nie udał. Panna Préfère, pogrążona w marzeniu, nie zauważyła tego. Ja zazwyczaj jestem bardzo wrażliwy na tego rodzaju niepowodzenia, ale wywołało ono taką radość u Joasi, że w końcu i ja znalazłem w tym przyjemność. Nie wiedziałem jeszcze, mimo mego wieku, że kura z jednej strony spalona, a z drugiej niedopieczona jest rzeczą zabawną; dowiedziałem się o tym, słysząc srebrzysty śmiech Joasi. Z powodu

tej kury opowiedzieliśmy sobie tysiące dowcipów, których już nie pamiętam, i w końcu byłem zachwycony, że kurę źle upieczono.

Obiad kończył się wesoło, gdy Joasia w białym fartuszk, szczupła i smukła, wniosła półmisek kremu własnej roboty. Skąpane w bladym złocie kawałki piany błyszczały łagodnym blaskiem i rozsiewały delikatny zapach wanilii. Z niewinną powagą gospoś Chardina²⁸⁸ postawiła półmisek na stole.

W głębi duszy byłem bardzo niespokojny. Wydało mi się niepodobieństwem²⁸⁹, bym mógł długo pozostać w dobrych stosunkach z panną Préfère, której szał matrymonialny wybuchnął tak niespodziewanie. A gdy odejdzie nauczycielka, żegnaj, uczennico! Skorzystałem z tego, że pocziwa dusza poszła włożyć płaszcz, aby zapytać, ile też właściwie Joasia ma lat. Miała lat osiemnaście i jeden miesiąc. Policzylem na palcach i okazało się, że brak jej dwóch lat i jedenastu miesięcy do pełnoletności.

Jak przetrwać ten okres czasu?

Odchodząc, panna Préfère pożegnała mnie spojrzeniem tak wymownym, że zadrżałem cały.

— Do widzenia — rzekłem poważnie do młodej dziewczyny. — Posłuchaj mnie, Joasiu: przyjaciel twój jest stary i może ci go zabraknąć. Przyrzeknij mi, że zawsze sama nad sobą będziesz czuwać, a ja będę spokojny. Niech cię Bóg strzeże, moje dziecko!

Zamknąwszy za nią drzwi, otworzyłem okno, żeby ujrzeć ją jeszcze. Noc była ciemna i widziałem tylko niewyraźne cienie, sunące po bulwarze. Z dołu wznosił się do mnie ogromny, głuchy szum miasta i serce ścisnęło mi się trwożnie.

Noc, Miasto, Strach

15 grudnia

Król Thule²⁹⁰ przechowywał złoty puchar, który mu kochanka zostawiła na pamiątkę. Przed śmiercią, czując, że pije po raz ostatni, rzucił puchar do morza. Chowam ten zeszyt wspomnień, jak ów stary król mglistych mórz chował swój cyzelowany puchar, i tak jak on zniszczył swój dar miłości, ja spalę tę księgę rozmyślań. I doprawdy, nie przez wyniosłe skąpstwo i egoistyczną dumę zniszczę ten pomnik skromnego żywota; po prostu obawiałbym się, że rzeczy dla mnie drogie i święte, wydadzą się pospolite i śmieszne, bo są nieartystycznie przedstawione. Nie mówię tego ze względu na to, co nastąpi. Mimo że na pewno byłem śmieszny, gdy, zaproszony na obiad do panny Préfère, usiadłem na kozetce (była to istotnie kozetka), po prawicy tej niepokojącej osoby. Stół nakryto w małym saloniku. Wyszczerbione talerze, niejednakowe szklanki, noże chwiejące się w oprawach, widelce z zardzewiałymi zębami — nie brakowało niczego, aby odebrać apetyt porządnemu człowiekowi.

Dano mi do poznania, że obiad przygotowany jest dla mnie, wyłącznie dla mnie, choć bierze w nim udział pan Mouche. Panna Préfère musiała chyba wyobrazić sobie, że co do masła mam gust Scyty²⁹¹, bo to, które mi podała, było aż do zbytku zjelczałe. Pieczenia zatrąłem się do reszty. Ale miałem możliwość słuchania pana Mouche i panny Préfère, którzy gawędzili o cnocie. Mówię „możność”, a powinienem rzec „wstyd”, gdyż uczucia, które wyrażali, o wiele przewyższają moją niesubtelną naturę.

To, co mówili, dowiodło mi jasno jak słońce, że poświęcenie jest ich chlebem codziennym, a ofiara jest im równie potrzebna jak woda i powietrze. Widząc, że nie jem, panna Préfère czyniła tysiące usiłowań, aby przezwyciężyć to, co raczyła nazwać moją dyskrecją.

Joasia nie brała udziału w tej uczcie, gdyż, jak mi powiedziano, obecność jej, przeciwna regulaminowi, nie zgadzała się z równością, której koniecznie przestrzegać należało między tylu młodymi uczennicami.

²⁸⁸Chardin, Jean (1699–1779) — francuski malarz, mistrz scen rodzajowych i martwej natury. [przypis edytorski]

²⁸⁹niepodobieństwo — rzecz niemożliwa; niemożliwość. [przypis edytorski]

²⁹⁰król Thule — tytułowy bohater wiersza Goethego z roku 1774, wykorzystanego później przez autora w dramacie *Faust* (1808) jako ballada śpiewana przez Małgorzatę (*Faust, część pierwsza*, scena w komnacie Małgorzaty); Thule: najdalej na północ wysunięta kraina wymieniana w źródłach antycznych, wyspa położona na płn. od Brytanii; później: mityczna wyspa na północnym Atlantyku, na krańcach świata. [przypis edytorski]

²⁹¹Scyta — członek koczowniczych ludów zamieszkujących w starożytności stepy środkowej Eurazji, na płn. i wsch. od Morza Czarnego; co do masła mam gust Scyty: najstarsza w literaturze antycznej wzmianka o maśle pochodzi od Herodota (*Dzieje* IV 2), który opisał wytwarzanie przez Scytów masła z mleka kłaczy. [przypis edytorski]

Wystraszona służąca podała mizerny deser i znikła jak cień.

Wtedy panna Préfère z wielkim uniesieniem opowiedziała panu Mouche wszystko, co mówiła mi w grodzie książek, podczas gdy moja gospodyni leżała w łóżku. Swój podziw dla członka Akademii, swoje obawy, bym nie zachorował, żyjąc tak samotnie, pewność, jaką ma, że każda inteligentna kobieta byłaby dumna i szczęśliwa, dzieląc mój los; niczego nie ukryła, przeciwnie, dodała jeszcze nowe szalone pomysły. Pan Mouche, tłukąc orzeszki, przytakiwał ruchem głowy. Po całej tej paplaninie zapytał z uprzejmym uśmiechem, co na to odpowiedziałem. Panna Préfère z jedną ręką na sercu, z drugą wyciągniętą ku mnie, zawołała:

— On, taki kochający, taki wzniosły, tak dobry i tak wielki! Odpowiedział... Ale ja, prosta kobieta, nie umiałabym powtórzyć słów członka Akademii: wystarczy, że je streszczę. Odpowiedział: „Tak, rozumiem panią i przyjmuję”.

To rzekłszy, wzięła mnie za rękę. Pan Mouche wstał wzruszony i pochwycił za drugą.

— Winszuję panu — rzekł.

Już nieraz w życiu zdarzyło mi się bać, ale nigdy jeszcze nie doświadczałem strachu tak wstrętnego.

Wyswobodziłem obie ręce i wstając dla nadania większej powagi moim słowom, rzekłem:

— Pani, albo źle się wyraziłem u siebie w domu, albo źle panią zrozumiałem tutaj. I w jednym, i w drugim wypadku konieczne jest kategoryczne wyjaśnienie. Pozwoli pani, że je tu złożę. Nie, nie zrozumiałem pani i na nic się nie godziłem; nie wiem zupełnie, jaką partię może mieć pani dla mnie na widoku, jeśli w ogóle ma pani jakąkolwiek. W każdym razie żenić się nie chcę. Byłoby to w moim wieku szaleństwem nie do darowania i do tej chwili nie mogę jeszcze pojąć tego, że osoba rozumna tak jak pani mogła doradzać mi małżeństwo. Sądzę nawet, że się mylę i że pani nic podobnego mi nie mówiła. W takim razie niech pani wybaczy starcowi, odwykłemu od świata, mało oswojonemu z rozmową pań i serdecznie zmartwionemu swą pomyłką.

Pan Mouche znów usiadł spokojnie na swym miejscu i z braku orzechów krajał korek.

Panna Préfère przyglądała mi się przez kilka chwil małymi, okrągłymi, suchymi oczami, jakich jeszcze u niej nie widziałem, po czym wróciła do swych zwykłych, słodkich minek. Miodowo słodkim głosem zawołała:

— Ach, ci uczeni, ci ludzie nauki są jak dzieci! Tak, panie Bonnard, prawdziwe z pana dziecko.

Po czym, zwracając się do notariusza, który siedział cicho z nosem utkwionym w korek, rzekła błagalnym głosem:

— Och, nie potępiaj go pan! Nie potępiaj! Nie myśl pan źle o nim, proszę. Nie myśl nic złego! Czy na klęczkach mam prosić o to?

Pan Mouche oglądał korek ze wszystkich stron, nie mówiąc ani słowa.

Byłem oburzony; wnosząc z tego, jak płonęła mi głowa, twarz moja musiała być bardzo czerwona. Ta okoliczność tłumaczy mi słowa, które usłyszałem wtedy poprzez kołatanie w skroniach:

— Przestrzasza mnie nasz biedny przyjaciel. Panie Mouche, otwórz, proszę, okno. Zdaje mi się, że dobrze by mu zrobił kompres z arniki.

Wybiegłem na ulicę z uczuciem niewypowiedzianego wstrętu i przerażenia.

20 grudnia

Tydzień cały nic nie słyszałem o pensji panny Préfère. Nie mogąc pozostawać dłużej bez wiadomości o Joasi i uważając, że jestem winien sam sobie to, żeby nie ustępować z placu, wybrałem się do Ternes.

Rozmównica wydała mi się zimniejsza, wilgotniejsza, bardziej niegościnna i zdradziecka; służąca bardziej wystraszona i milcząca niż zawsze. Zażądałem widzenia się z panną Joanną, ale po dość długim czasie ukazała się panna Préfère, poważna, blada, z zaciśniętymi ustami, z gniewnymi oczyma.

— Szanowny panie — rzekła, krzyżując ręce pod swoją pelerynką — bardzo żałuję, że nie mogę zezwolić, by pan widział się dziś z panną Alexandre, ale jest to niemożliwe.

— A to dlaczego?

— Przyczyny, które zmuszają mnie do żądania, by pańskie wizyty były mniej częste, są szczególnie delikatnej natury i proszę pana, by mi oszczędził przykrości wypowiedzenia tego.

— Pani — odrzekłem — upoważniony jestem przez opiekuna Joasi do widywania jej codziennie. Jakże może pani mieć powody, by stawać w poprzek zezwolenia pana Mouche?

— Opiekun panny Alexandre (na słowo opiekun położyła nacisk, jako na silny punkt oparcia) równie jak ja pragnie, aby się pańskie natręctwo skończyło.

— Zechce pani w takim razie podać mi jego i swoje przyczyny.

Spojrzała na krążek wycinanego papieru u sufitu i rzekła z surowym spokojem:

— Chce pan tego? Chociaż podobne wyjaśnienie jest dla kobiety przykre, ustępuję wobec pańskiego żądania. Dom ten, panie, jest domem uczciwym. Jestem odpowiedzialną przełożoną; muszę czuwać jak matka nad każdą z moich uczennic. Pańskie natrętne zabiegi o pannę Alexandre nie mogłyby się przedłużać bez szkody dla tej panienki. Obowiązkiem moim jest położyć im koniec.

— Nie rozumiem pani — odrzekłem. I było to istotnie prawdą.

Panna Préfère mówiła dalej:

— Pańskie częste odwiedziny w tym domu tłumaczone są przez osoby najszanowniejsze i najmniej podejrzliwe w taki sposób, że w interesie mego zakładu i w interesie panny Alexandre muszę jak najprędzej je przerwać.

— Pani — zawołałem — słyszałem w swoim życiu wiele głupstw, ale żadne z nich nie dałoby się porównać z tym, co pani teraz powiedziała!

Odrzekła z prostotą:

— Pańskie obelgi mnie nie dosięgają. Silny jest ten, kto spełnia swój obowiązek.

I przycisnęła do serca pelerynkę. Tym razem już nie dla powstrzymania jego bicia, lecz dla popieszczenia swego szlachetnego serca.

— Pani — zawołałem, wskazując na nią palcem — wywołałaś oburzenie starca. Uczyni tak, aby cię ten starzec zapomniał i nie dodawał nowych przewinień do tych, które już popełniłaś. Uprzedzam panią, że nie przestanę czuwać nad panną Alexandre. Jeśli w czymkolwiek zechcesz jej gwałt zadać, biada ci!

Uspokajała się w miarę, jak ja się zapalałem, i z wielce zimną krwią odrzekła:

— Zbyt dobrze rozumiem uczucia, jakie pan żywi dla tej panienki, bym nie miała ustrzec jej od tej opieki, którą mi pan grozi. Powinna być, widząc więcej niż dwuznaczną zażyłość, w jakiej pan pozostaje ze swoją gospodynią, oszczędzić niewinnemu dziecku zetknięcia się z panem. Uczynię to na przyszłość. Jeżeli dotąd byłam zbyt ufna, to nie pan, lecz panna Alexandre mogłaby mi to zarzucić, ale ona jest zbyt naiwna, zbyt czysta, dzięki mojemu wpływowi, aby podejrzewać choćby niebezpieczeństwa, na jakie ją pan wystawiał. Sądzę, że nie zmusi mnie pan do tego, bym ją oświeciła.

„No — rzekłem sobie, wzruszając ramionami — trzeba było, mój biedny Bonnard, żyć tak długo, żeby dowiedzieć się, co to jest zła kobieta. Teraz twoja wiedza jest pod tym względem kompletna”.

Wyszedłem, nie odpowiedziawszy nic, i z przyjemnością zauważyłem po nagłym rumieńcu panny Préfère, że moje milczenie dotknęło ją bardziej niż moje słowa.

Przechodziłem przez podwórze, rozglądając się na wszystkie strony, czy nie ujrzę gdzie Joasi. Czyhała na mnie i spostrzegłszy, podbiegła.

— Jeśli ci spadnie włos z głowy, Joasiu, napisz do mnie. Żegnaj!

— Nie! Nie żegnaj!

Odrzekłem:

— Nie! Nie! Nie żegnaj! Pisz do mnie.

Udałem się prosto do pani de Gabry.

— Pani jest z panem w Rzymie. Czy pan o tym nie wiedział?

— Tak — odpowiedziałem — pani doniosła mi, że wyjeżdża.

Istotnie, powiadomiła mnie o tym i doprawdy musiałem trochę stracić głowę, jeśli zapomniałem. Służący był też tego zdania, bo spojrzał na mnie z miną, która zdawała się mówić: „Pan Bonnard zdziecinniał”, i pochylił się nad poręczą schodów, sądząc, że dopuszczę się jakichś nadzwyczajnych wybryków. Zszedłem jednak spokojnie, więc oddalił się zawiedziony.

Obowiązek

Wróciwszy do domu, dowiedziałem się, że pan Gélis czeka na mnie w salonie. Młody człowiek nawiedza mnie dość często. Nie ma on, zaiste, bardzo wyrobionego sądu, ale umysł jego nie jest banalny. Tym razem wizyta jego jest mi nie na rękę. „Niestety — pomyślałem — powiem swemu młodemu przyjacielowi jakieś głupstwo i on także pomyśli, że dziecinnieję. Nie mogę mu przecie powiedzieć, że pożądanym na męża, że nazwanym człowiekiem złych obyczajów, że Teresa jest podejrzana o niemoralność i że Joasia pozostaje we władzy najnikczemniejszej na świecie kobiety. Nie jestem usposobiony do tego, żeby mówić teraz o opactwach cysterskich z młodym i nieżyczliwym erudytą. Ale idźmy jednak, idźmy!”

Teresa zatrzymuje mnie.

— Boże, jaki pan czerwony! — mówi tonem wyrzutu.

— Toć wiosna — odpowiadam.

Zachnęła się:

— Wiosna w grudniu?

Istotnie mamy teraz grudzień. Ach, cóż za głowa i co za podporę ma we mnie biedna Joasia!

— Tereso, weź moją laskę i, jeśli można, postaw ją w miejscu, gdzie by ją można było odnaleźć.

— Dzień dobry, panie Gélis, dzień dobry. Jak się pan miewa?

Bez daty

Nazajutrz staruszek chciał się podnieść, ale nie mógł. Ciężka była niewidzialna ręka, która powaliła go na łóżko. Staruszek, literalnie przygwożdżony, zrezygnował z poruszania się, za to myśli jego biegały, biegały...

Musiał mieć silną gorączkę, bo panna Préfère, opaci z Saint-Germain-des-Prés i służący pani de Gabry zjawiali mu się w kształtach fantastycznych. Służący szczególnie wydłużał się nad jego głową; strojąc miny, podobny się stawał do rzeźby na rynnach katedralnych. Zdawało mi się, że jest dużo, o wiele za dużo ludzi w moim pokoju.

Pokój ten umeblowany jest po staroświecku; portret mego ojca w galowym mundurze i portret matki w kaszmirowej sukni wiszą na ścianie, oklejonej tapetą w zielone desenie. Wiem o tym, wiem nawet, że to wszystko jest mocno przywydłe. Ale pokój starożytnego człowieka może nie być elegancki, wystarczy czystość, a o to już dba Teresa. Prócz tego jest on dostatecznie urozmaicony, aby podobać się mógł memu umysłowi, który pozostał nieco dziecinny. Na ścianach i meblach jest mnóstwo rzeczy, które zazwyczaj działają rozweselająco i przemawiają do mnie. Ale co te przedmioty dzisiaj sobie do mnie upatrzyły? Stały się krzykliwe, groźne. Krzyczą, grożą mi, wykrzywają się do mnie. Ten posążek, modelowany według jednej z cnót teologicznych kościoła Najświętszej Panny w Brou²⁹², tak naiwny i wdzięczny w stanie zwykłym, teraz stroi grymasy i pokazuje język. A tę piękną miniaturę, na której jeden z najmiłszych uczniów Jehana Fouquet²⁹³, przepasany sznurem synów świętego Franciszka, podaje na klęczkach księgę zacnemu księciu d'Angoulême, któż wyjął z ramy i zastąpił wielką kocią głową, patrzącą na mnie iskrzącymi oczami? Desenie tapet także stały się głowami, głowami zielonymi i poczwarnymi... Nie, tak samo jak przed dwudziestu laty, są to drukowane gałęzie i liście, a nic innego... Ale nie, dobrze powiedziałem, to są głowy, głowy z oczami, nosem, ustami, głowy!... Rozumiem: są to jednocześnie głowy i liście. Chciałbym ich nie widzieć.

Tu, na prawo, ładna miniatura franciszkanina powróciła, ale zdaje mi się, że zatrzymuję ją tylko ciężkim wysiłkiem woli i że jeżeli się zmęcę, brzydka głowa kota ukaże mi się na nowo. Jestem przytomny, bardzo dobrze widzę Teresę w nogach mego łóżka; słyszę, że mówi do mnie, i odpowiedziałbym jej zupełnie przytomnie, gdybym nie był zajęty utrzymywaniem otaczających mnie przedmiotów w ich naturalnym kształcie.

Ale oto nadchodzi lekarz. Nie wzywałem go, ale widok jego sprawia mi przyjemność. To dawny sąsiad; niewiele miał ze mnie pożytku, ale mimo to bardzo go lubię. Mimo

²⁹²kościół Najświętszej Panny w Brou, fr. Notre-Dame de Brou — potoczna nazwa bogato zdobionego, gotyckiego kościoła, ufundowanego w XVI w. przez Małgorzatę Austriaczkę, stanowiącego główną część kompleksu królewskiego klasztoru w Brou, ob. w granicach miasta Bourg-en-Bresse w zach. Francji. [przypis edytorski]

²⁹³Fouquet, Jehan (Jean) (ok. 1420–1481) — francuski malarz i miniaturzysta, mistrz malarstwa tablicowego i iluminacji do rękopisów, uważany za najwybitniejszego malarza francuskiego XV w. [przypis edytorski]

że niewiele do niego mówię, jestem zupełnie przytomny i nawet dziwnie przebiegły, bo śledzę każdy jego gest, spojrzenie, najmniejszą zmarszczkę na jego twarzy. Ale i doktor jest chytry i nie wiem doprawdy, co myśli o moim stanie. Przychodzą mi na myśl głębokie słowa Goethego i mówię:

— Stary człowiek, doktorze, zgodził się być chorym, ale też tym razem więcej nie użyczy naturze.

Ani doktor, ani Teresa nie śmieją się z mego żartu, musieli go nie zrozumieć.

Doktor odchodzi, wieczór się zbliża i w fałdach firanki różnego rodzaju cienie tworzą się i pierzchają jak chmury. Cienie tłumami przechodzą koło mnie; poprzez nie widzę nieruchome oblicze swej wiernej sługi. Nagle krzyk, krzyk ostry, krzyk rozpacz przeżywa mi uszy. Czy to ty, Joasiu, mnie wołasz?

Wieczór nastał zupełny i cienie sadowią się u mego wezgłowia na całą długą noc.

O świecie spokój, niezmierny spokój otula mnie całego. Panie Boże mój, czy to Ty powołujesz mnie na swoje łono?

Luty 1876

Doktor jest uradowany. Okazuje się, że to dla niego wielki honor, żem się podźwignął. Opowiada on, że mnóstwo cierpień zważyło się od razu na moje stare ciało.

Te cierpienia, strach człowieka, mają nazwy będące postrachem filologa. Są to nazwy dwujęzyczne, półgreckie, półłacińskie, z zakończeniami na *-itis*, oznaczającymi stan zapalny i na *-algia*, co wyraża ból. Doktor wymienia mi je z dostatecznym akompaniamentem przymiotników mających określić ich brzydki charakter. Jednym słowem, spora rubryka słownika lekarskiego.

— No, daj rękę, doktorze. Wróciłeś mi życie, przebaczam ci. Powróciłeś mi moim przyjaciółm, dziękuję ci, doktorze. Jestem silny, powiadasz. Bez wątpienia, bez wątpienia, ale żyłem już długo. Jestem jak stary mebel, który da się porównać z fotelem mego ojca. Był to fotel, który zacy ten człowiek otrzymał w spadku i na którym siadywał od rana do wieczora. Po dwadzieścia razy na dzień wskakiwałem, jako malec, na poręcz tego starożytnego mebla. Póki fotel trzymał się dobrze, nikt na niego nie zwracał uwagi. Ale zaczął kuleć na jedną nogę i zaczęto mówić, że to dobry fotel. Potem kulał na trzy nogi, a trzeszczał czwartą i obie poręcze stały się prawie nie do użytku. Wtedy wołano: „Co za mocny fotel!”. Podziwiano, że mając wszystkie nogi uszkodzone i złamane poręcze, miał jeszcze pozór fotela, trzymał się jako tako i niekiedy służył jeszcze. W końcu włosie wyłazło z kadtuba, wyzionął ducha. I gdy Cyprian, nasz służący, odpiłował mu członki, by je wrzucić do pieca, okrzyki zachwyty wzrosły: „Doskonały, cudowny fotel! Służył Piotrowi Sylwestrowi Bonnard, sukiennikowi, Epimenidowi Bonnard, jego synowi, i Janowi Baptyście Bonnard, szefowi III departamentu ministerstwa marynarki i filozofowi-sceptykowi! Cóż za szacowny i mocny fotel!”. W rzeczywistości był to już fotel martwy. Otóż, doktorze, ja jestem tym fotelem. Sądzisz, że jestem silny, bo oparłem się atakom, które niejednego zabiłyby zupełnie, a mnie zabiły tylko do trzech ćwierci. Dziękuję ślicznie. Niemniej jestem czymś bezpowrotnie uszkodzonym.

Doktor przy pomocy wielkich greckich i łacińskich słów chce mnie przekonać, że stan mój jest zupełnie dobry. Język francuski jest za prosty dla tego rodzaju objaśnień. Udamę jednak przekonanego i odprowadzam go do drzwi.

— Tak, to dobrze! — mówi Teresa. — Oto jak należy za drzwi wyprowadzać lekarzy. Jeśli pan jeszcze dwa, trzy razy tak postąpi, on nie wróci tu więcej i tak będzie najlepiej.

— A zatem, Tereso, skoro jestem znowu takim dzielnym zuchem, nie odmawiaj mi już moich listów. Musi ich tam być spora paczka i byłoby okrucieństwem nie dać mi ich jeszcze czytać.

Teresa, po krótkim wzdraganiu się, przyniosła mi je. Ale po co? Przejrzałem wszystkie koperty; żadna nie jest zapisana tą małą rączką, którą chciałbym widzieć tu, na kartkach Vecelliego. Odrzuciłem całą paczkę, która nic mi już nie mówi.

Kwiecień–czerwiec

Gorąca była przeprawa.

Lekarz

Choroba, Lekarz, Starość

— Poczekaj pan, niechże włożę czyste odzienie — mówi Teresa. — Tym razem jeszcze wyjdę z panem, wezmę pana składane krzeselko i tak jak w ostatnich dniach usiądziemy sobie gdzieś w słońcu.

Doprawdy, Teresa uważa mnie za kalekę. Byłem chory, bez wątpienia, ale wszystko ma swój koniec. Jejmość choroba poszła sobie precz od dawna i już wkrótce miną trzy miesiące od czasu, jak jej następczyni o bladej i wdzięcznej twarzy, pani Rekonwalescencja, pożegnała mnie uprzejmie. Gdybym chciał słuchać mojej gospodyni, byłbym po prostu panem Arganem²⁹⁴ i do końca dni moich nosiłbym szlafmycę²⁹⁵ z wstążkami... Nic z tego! Chcę wyjść sam. Teresa się nie zgadza. Trzyma składane krzeselko i chce iść ze mną.

— Tereso, jutro pod murem naszej Riwiery wystawimy się na słońce na tak długo, jak ci się podoba. Ale dzisiaj mam pilne sprawy do załatwienia.

Sprawy! Teresa myśli, że chodzi o pieniądze i tłumaczy mi, że nie ma nic pilnego.

— Tym lepiej, ale na świecie są prócz interesów pieniężnych jeszcze inne sprawy.

Proszę, gniewam się, wymykam się z domu. Pogoda dobra. Przy pomocy dorożki i przy boskiej opiece poradzę sobie w moim zamierzeniu.

Oto mur i niebieskimi literami wypisane słowa: „Zakład wychowawczy żeński panny Wirginii Préfère”. Oto krata, która otwierałaby się na frontowe podwórze, gdyby w ogóle otwierała się kiedykolwiek. Zamek w niej jest zardzewiały, przytwierdzone do niej arkusze cynkowej blachy chronią przed niedyskretnymi spojrzeniami małe duszyczki, które panna Préfère uczy zapewne skromności, szczerości, sprawiedliwości i bezinteresowności. Okratowane okno o zamazanych szybach, niby jedyne, zamglone oko otwarte na świat zewnętrzny, zdradza, że tu się mieści służbowy oddział budynku.

Co zaś się tyczy malej furtki, przez którą tylekroć wchodziłem, a która teraz jest dla mnie wzbroniona, odnajduję ją i jej zakratowane okienko. Wiodący do niej kamienny stopień jest wydeptany i nawet ja, moimi słabymi, opatrzonymi w szkła oczyma widzę na kamieniu małe, białe kreseczki, które pozostawiły na nim podkute obcasiki uczennic. Czyż ja przestąpić go nie mogę? Zdaje mi się, że Joasia cierpi w tym posępnym domu i że tajemnie mnie przywołuje. Nie mogę się oddalić. Niepokój zawładnął mną; dzwonię. Wystraszona służąca otwiera mi; jest bardziej wystraszona niż zwykle. Rozkaz wydano: nie mogę widzieć panny Joanny. Chcę przynajmniej dowiedzieć się, jak się miewa. Służąca, oglądając się na prawo i na lewo, powiada, że ma się dobrze, i zamyka mi drzwi przed nosem. Znów jestem na ulicy.

A odtąd ileż razy błądziłem tak pod tym murem i przechodziłem obok malej furtki, zawstydzony, zrozpaczony, czując się sam słabszy od tego dziecka, niemającego oprócz mnie żadnej na świecie podpory!

10 czerwca

Przemogłem swą odrazę i poszedłem do pana Mouche. Zauważyłem na wstępie, że kancelaria jest jeszcze bardziej zapyłona i zapleśniała niż w zeszłym roku. Ukazuje się rejent ze swymi powolnymi gestami i żrenicami szybko biegającymi za szkłem okularów. Przedstawiam mu swoje skargi. On odpowiada mi... Ale po cóż zachowywać, choćby nawet w zeszycie, który ma być spalony, wspomnienie nędznego durnia? Przyznaje on słuszność pannie Préfère, której umysł i charakter ocenił dawno. Nie wypowiadając się co do istoty nieporozumienia, musi jednak powiedzieć, że pozory nie są dla mnie przychylne. Mało mnie to obchodzi. Dodaje (i to obchodzi mnie więcej), że mała sumka, złożona u niego na wychowanie jego pupilki, jest już wyczerpana i dlatego podziwia bezinteresowność panny Préfère, która chce dalej trzymać pannę Joannę.

Wspaniałe światło, światło dnia pogodnego, wlewa swe przezczyste fale do tego brudnego miejsca i oświetla tego człowieka. Na ulicy światło rozsiewa swój przepych na wszystkie nędze robotniczej dzielnicy.

Jakie słodkie, łagodne jest to światło, którym od tak dawna napęlniają się moje oczy, a którym już niedługo będę się cieszyć. Idę pogrążony w myślach, z rękami założonymi na plecach, wzdłuż fortyfikacji i znajduję się, nie wiem, w jaki sposób, na odległych przedmieściach z mizernymi ogródkami. Na skraju zapyłonej drogi spostrzegam roślinę,

Światło, Brud

²⁹⁴Argan — bohater komedii Moliera *Chory z urojenia*. [przypis edytorski]

²⁹⁵szlafmyca (z niem.) — nakrycie głowy zakładane na noc, do snu. [przypis edytorski]

której kwiat, zarazem jaskrawy i ciemny, zdaje się być stworzonym do wyrażania smutków najczystszych i najszlachetniejszych. To orlik. Nasi ojcowie nazywali go pantofelkiem Najświętszej Panny. Tylko Najświętsza Panna, gdyby stała się maleńka, aby zjawić się dzieciom, mogłaby wsunąć swą malutką nóżkę w ciasny kielich tego kwiatka. Oto gruby bąk pakuje się weń brutalnie; pyszczyk jego nie może dosięgnąć nektaru i łakomy owad trzusi się daremnie. Wreszcie daje za wygraną i wychodzi z kielicha cały obsypany kwiatowym pyłkiem. Odlatuje ciężkim swym lotem; ale kwiaty są rzadkością w tej dzielnicy, czarnej od sadzy fabryk; powraca więc do kwiatu i tym razem przebija kielich i ssie nektar przez otwór, który zrobił; nie przypuszczałbym, że bąk jest tak zmyślny. To cudowne! Owady i kwiaty zadziwiają i zachwycają mnie coraz bardziej, w miarę tego, im lepiej je obserwuję. Jestem jak zacny Rollin²⁹⁶, którego zachwyciło kwiecie brzoskwinowych szpalerów. Chciałbym mieć piękny ogród i mieszkać na skraju lasu.

Sierpień–wrzesień

Pewnej niedzieli przyszło mi na myśl czatować na chwilę, kiedy uczennice panny Préfère pójda szeregiem do kościoła na mszę. Widziałem, jak przeszły parami, najmłodsze na przedzie. Między nimi były trzy jednakowo ubrane, małe, pulchne, nadęte; poznałem panny Mouton. Ich starsza siostra jest ową artystką, która narysowała straszną głowę Tacjusza, króla Sabinów. Na końcu szeregu dama klasowa z książką do nabożeństwa irytowała się i gniewnie marszczyła brwi. Przeszły średnie i najstarsze, szepcząc coś między sobą. Ale Joasi nie było.

Dowadywałem się w Ministerstwie Oświaty, czy na dzień jakiejś teki nie ma przypadkowo uwag o pensji przy ulicy Demours. Uzyskałem to, że posłano tam inspektorki. Wróciły, przynosząc o szkole jak najlepsze świadectwo. Pensja Préfère jest, ich zdaniem, pensją wzorową. Jestem pewien, że gdybym wywołał śledztwo, to panna Préfère otrzymałaby palmy akademickie.

3 października

W czwartek, jako dzień wolny od zajęć szkolnych, spotkałem w okolicach ulicy Demours wszystkie trzy panny Mouton. Ukłoniwszy się matce, zapytałem najstarszą, która może mieć około dwunastu lat, jak się miewa jej koleżanka, panna Joanna Alexandre.

Mała Mouton odrzekła od razu:

— Joasia Alexandre nie jest moją koleżanką. Ona jest na pensji z łaski, więc każą jej zamiatać klasy. Panna Préfère to mówiła.

Trzy panienki oddaliły się, a matka podążyła za nimi, rzucając mi przez ramię nieufne spojrzenie.

Niestety! Jestem zmuszony do poczynienia kroków podejrzanych. Pani de Gabry dopiero za trzy miesiące powróci do Paryża. Z dala od niej nie mam ani taktu, ani rozumu; jestem ciężką, niedogodną i szkodliwą maszyną.

A nie mogę przecież ścierpieć, żeby Joasia była na pensji służącą, żeby była krzywdzona przez pana Mouche.

28 grudnia

Było ciemno i zimno. Zapadła noc. Zadzwoiłem do furtki ze spokojem człowieka, który nie lęka się już niczego. Gdy nieśmiała służąca otworzyła drzwi, wsunąłem jej złotą monetę do ręki i obiecałem dać drugą, jeśli zdoła ułatwić mi widzenie się z panną Alexandre.

— Za godzinę u zakratowanego okna — odrzekła.

I tak gwałtownie zamknęła mi drzwi przed nosem, że kapelusz zatrzęsł mi się na głowie.

Czekałem długą godzinę wśród śnieżnej zawieruchy, po czym zbliżyłem się do okna. Nic! Wiatr szalał i śnieg sypał gęsto. Potrącali mnie robotnicy, przechodzący obok z narzędziami na ramionach, z głowami opuszczonymi pod gęstymi płatami śniegu. Nic!

Zima

²⁹⁶Rollin, Charles (1661–1741) — francuski historyk i pedagog, rektor uniwersytetu paryskiego. [przypis edytorski]

Bałem się, by mnie nie spostrzeżono. Wiedziałem, że postąpiłem źle, przekupując służącą, ale wcale tego nie żałowałem. Ten tylko pogardy godzien, kto nie umie w potrzebie wyjść poza utarte reguły. Kwadrans minął. Nic! Wreszcie odemknęło się okno.

— To ty, Joasiu? Jednym słowem powiedz, co porabiasz, jak się masz?

— Czuję się dobrze, bardzo dobrze!

— A co więcej?

— Umieszczono mnie w kuchni i zmiotam klasy.

— W kuchni! Klasy zmiotasz, ty! Boże wielki!

— Tak, bo mój opiekun już nie opłaca za mnie szkoły.

— Twój opiekun jest nikczemnikiem!

— Więc pan wie?...

— Co takiego?

— Och! Niech mi pan nie każe o tym mówić. Ale wolalabym umrzeć niż być z nim sama.

— A dlaczego do mnie nie pisałaś?

— Pilnowano mnie.

W tej chwili postanowienie moje było powzięte i nic nie mogło mnie już od niego odwieść. Wprawdzie przyszło mi na myśl, że może nie mam do tego prawa, ale kpiłem sobie z tego! Będąc zdecydowanym, byłem przezorny. Działalem z zadziwiającym spokojem.

— Joasiu — zapytałem — czy pokój, w którym jesteś, łączy się z podwórkiem?

— Tak.

— Czy możesz sama pociągnąć za sznurek i otworzyć furtkę na ulicę?

— Tak, jeśli nie ma nikogo w łóży odzwiernej.

— Idź, zobacz i staraj się, aby cię nie widziano.

Czekałem, strzegąc drzwi i okna.

Po pięciu, sześciu sekundach Joasia ukazała się za kratą.

Nareszcie.

— Służąca jest w łóży — rzekła.

— Dobrze — odparłem. — Czy masz pióro i atrament?

— Nie.

— Ołówek?

— Tak.

— Daj mi go.

Wyciągnąłem z kieszeni starą gazetę i na wietrze, dmącym z taką siłą, że prawie gasły latarnie, pod oślepiającym mnie śniegiem, okręciłem gazetę opaską, jak mogłem najlepiej, i zaadresowałem ją do panny Préfère.

Pisząc, pytałem Joasię:

— Czy listonosz, wsuwając listy i papiery do skrzynki, dzwoni do drzwi? Czy służąca otwiera skrzynkę i czy znosi zaraz do panny Préfère wszystko, co w niej znalazła? Czy to odbywa się przy każdym roznoszeniu?

Joasia odpowiedziała, że istotnie odbywa się to chyba w ten sposób.

— Zobaczmy! Joasiu, pilnuj teraz, jak tylko służąca wyjdzie z łóży, pociągnij za sznurek i wyjdź na ulicę.

Rzekłszy to, wsunąłem gazetę do skrzynki, zadzwoniłem mocno i ukryłem się we framudze sąsiedniej bramy.

Stałem tam od kilku minut, gdy furtka drgnęła, odemknęła się i wysunęła się z niej młoda główka. Chwyciłem Joasię i przycisnąłem do siebie.

— Chodź, Joasiu, chodź!

Patrzyła na mnie niespokojnie. Zapewne obawiała się, że zwariowałem. Przeciwnie, byłem pełen rozsądku.

— Chodź, chodź moje dziecko!

— Dokąd?

— Do pani de Gabry.

Ucieczka

Wtedy wzięła mnie pod rękę. Biegliśmy jakiś czas jak złodzieje. Bieg nie bardzo przystoi mojej tuszy. Zatrzymując się, bez tchu prawie, oparłem się o coś, co okazało się piecykiem przekupnia sprzedającego gorące kasztany na rogu ulicy, koło wyszynku²⁹⁷ win, gdzie pili dorożkarze. Jeden z nich zapytał, czy nie potrzebujemy powozu. Zaiste, był nam potrzebny! Stangret postawił kieliszek na cynkowej ladzie, wszedł na kozioł i podjechał. Byliśmy ocaleni!

— Uf! — zawołałem, ocierając czoło, bo mimo zimna pot spływał z niego grubymi kroplami.

Bardzo było dziwne, że Joasia bardziej niż ja zdawała się mieć świadomość czynu, który popełniliśmy. Była bardzo poważna i niespokojna.

— W kuchni! — zawołałem z oburzeniem.

Potrząsnęła główką, jakby chciała powiedzieć: „Tu czy gdzie indziej, co mnie to obchodzi!”. I przy świetle latarni zauważyłem z bólem, że twarzyczka jej zeszczupiała, rysy się wyciągnęły. Nie było już w niej tej żywości, tych nagłych porywów, tej szybkiej zmiany wyrazu twarzy, które tak mi się w niej podobały. Spojrzenia jej były powolne, gesty nie naturalne, postawa posępna. Wziąłem ją za rękę: ręka była stwardniała, zbolała i zimna. Biedne dziecko dużo przecierpiał. Wypytywałem ją o wszystko; opowiedziała mi spokojnie, że panna Préfère kazała ją pewnego razu przywołać i nazwała ją potworem, żmiją, ale ona do dziś nie wie, za co.

Potem dodała: „Nie zobaczysz już pana Bonnard, który ci dawał złe rady i bardzo źle postąpił względem mnie”. Odrzekłam: „Temu, proszę pani, nigdy nie uwierzę”. Pani uderzyła mnie w twarz i odesłała do klasy. Wiadomość, że pana więcej nie zobaczę, była dla mnie tak straszna, jak gdyby zapadła nade mną nieprzejrzana noc. Pan zna te wieczory, kiedy się jest smutnym, gdy nas ciemność ogarnia, niech pan sobie wyobrazi taką chwilę, przedłużoną na tygodnie, miesiące. Pewnego dnia dowiedziałam się, że pan jest z panią w rozmównicy, czatowałam na pana; powiedzieliśmy sobie: „Do widzenia”. Byłam trochę pocieszona. W jakiś czas potem, w czwartek, przyszedł po mnie mój opiekun. Nie chciałam z nim wyjść. Odpowiedział mi łagodnie, że jestem małą kapryśnicą. I dał mi spokój. Ale nazajutrz panna Préfère podeszła do mnie z miną tak złą, że się przeleżałam. Trzymała w ręku list. „Moja panno — rzekła — opiekun twój donosi mi, że wyczerpał wszystkie należące ci się fundusze. Nie bój się, nie chcę cię opuścić, ale przyznaj, że jest słuszne, abyś zarabiała na swe życie”.

Wtedy zaczęła mnie używać do sprzątania domu, czasem zamykała mnie całymi dniami na strychu. Oto, proszę pana, co zaszło podczas pańskiej nieobecności. Gdybym nawet mogła do pana pisać, nie wiem, czy bym to uczyniła, bo nie wierzyłam, by pan mógł mnie wyrwać z tej pensji, a że nie zmuszano mnie, żebym chodziła z panem Mouche, nie było nic pilnego. Mogłam czekać na strychu i w kuchni.

— Joasiu — zawołałem — żebyśmy nawet mieli uciekać do Oceanii, obrzydliwa panna Préfère już nie dostanie cię w swoje ręce. Uroczyście przysięgam. I dlaczego nie mielibyśmy jechać do Oceanii? Klimat zdrowy, a któregoś dnia wyczytałem w gazecie, że są tam i fortepiany. Tymczasem jedziemy do pani de Gabry, która na szczęście od trzech czy czterech dni jest w Paryżu; jesteśmy bowiem parą niewiniątek, które bardzo potrzebują pomocy.

Podczas gdy mówiłem, twarz Joasi bladła, rysy zacierały się, oczy zachodziły mgłą, bolesny skurcz ściągał jej wargi. Opuściła głowę na moje ramię i straciła przytomność.

Wziąłem ją na ręce i jak uśpione dziecko wniosłem na schody domu pani de Gabry. Sam, osłabiony ze zmęczenia i wzruszenia, osunąłem się wraz z nią na ławeczkę w przed-sionku. Tu wkrótce przyszła do siebie:

— To pan — rzekła, otwierając oczy. — Jestem taka rada²⁹⁸.

W takim stanie kazaliśmy sobie otworzyć drzwi mieszkania naszej zacnej przyjaciółki.

Biła osma. Pani de Gabry życzliwie przyjęła starca i dziecię. Była oczywiście zdziwiona, ale nie pytała nas o nic.

— Pani — rzekłem — przychodzimy oboje oddać się pod twoją opiekę. Ale przede wszystkim prosimy, abyś nas ugościła kolacją, a przynajmniej chociaż Joasię, bo tylko co

²⁹⁷ wyszynk — tu: podrzędny lokal, w którym można się napić alkoholu. [przypis edytorski]

²⁹⁸ rada (daw.) — zadowolona; rada jestem: cieszę się. [przypis edytorski]

zemdlą w powozie z osłabienia. Co do mnie, nie mógłbym o tak późnej porze nic wziąć do ust, bo miałbym złą noc. Spodziewam się, że pan de Gabry jest zdrow?

— Mąż jest tu — odrzekła.

I zaraz kazała zawiadomić go o naszym przybyciu. Miło mi było ujrzeć jego twarz otwartą i szczerą i uściskać jego mocną dłoń.

Przeszliśmy wszyscy czworo do jadalnego pokoju i podczas gdy podawano Joasi zimne mięso, którego nie tknęła, opowiedziałem o naszej sprawie. Paweł de Gabry przeprosił nas i zapalił fajkę, po czym słuchał mnie w milczeniu. Gdy skończyłem, z zakłopotaniem drapał swą gęstą, krótko strzyżoną brodę.

— Do licha — zawołał — ładnie się pan urządził, panie Bonnard!

Potem, zauważywszy, że Joasia z niepokojem patrzy swymi dużymi oczyma to na mnie, to na niego, rzekł do mnie:

— Proszę do mego pokoju.

Poszedłem za nim do gabinetu, gdzie przy świetle lamp, na ciemnym tle obicia, połyskiwały fuzje i noże myśliwskie. Tu, pociągając mnie na safianową²⁹⁹ kanapę, zawołał:

— Coś pan zrobił! Coś pan zrobił, wielki Boże! Uprowadzenie nieletniej, gwałt, porwanie! Ładną sprawę ściągnął pan sobie na głowę, panie Bonnard. Wie pan, że po prostu grozi panu pięć do dziesięciu lat więzienia?

— Na miłosierdzie boskie! — zawołałem. — Dziesięć lat więzienia za ocalenie niewinnego dziecka?

— Takie prawo! — odrzekł pan de Gabry. — Znam dość dobrze kodeks, kochany panie Bonnard, nie dlatego, że studiowałem prawo, ale że jako mer³⁰⁰ w Lusance musiałem sam informować się dokładnie, żeby móc dawać porady mieszkańcom mojej gminy. Mouche jest łajdakiem, Préferka łotrzą, a pan... nie znajduję dość silnego wyrazu.

Otworzył bibliotekę, zapelnioną obrożami, szpicrutami, strzemionami, ostrogami, pudełkami cygar. Było tam i kilka pożytecznych książek. Wyjął kodeks i zaczął go przerzucać.

— „Zbrodnie i przewinienia... sekwestr³⁰¹ osób”... to nie pański *casus*³⁰²... „Uprowadzenie nieletnich”... Otóż go mamy... „Artykuł 354. Ktokolwiek podstępem lub gwałtem uprowadził lub kazał uprowadzić nieletnich lub ich uwiódł, porwał lub przeniósł, albo kazał uwieść, porwać lub przenieść z miejsca, gdzie umieszczeni byli przez tych, których władzy lub kierownictwu poddani lub powierzeni byli, podlega karze więzienia. Patrz prawo karne, 21 i 28... 21: Kara więzienia będzie trwała najmniej lat 5... 28: Skazanie na karę więzienia pociąga za sobą utratę praw obywatelskich”. To jasne, nieprawdaż, panie Bonnard?

— Najzupełniej jasne.

— Idźmy dalej: „Artykuł 356. Gdyby uwodziciel nie miał jeszcze lat dwudziestu jeden, karany będzie tylko...”. To nas nie obchodzi. „Artykuł 357. W razie jeśli uwodziciel poślubi dziewczynę, którą uprowadził, natenczas poszukiwać go można sądownie na skutek skargi osób, którym, według kodeksu cywilnego, przysługuje prawo żądania unieważnienia małżeństwa, a skazany może być tylko wtedy, gdy orzeczono unieważnienie małżeństwa”. Nie wiem, czy zamiarem pańskim jest poślubić pannę Alexandre. Widzi pan, że kodeks jest łaskawy i zostawia panu z tej strony furtkę otwartą. Ale niesłusznie postępuję, żartując, bo pańskie położenie jest bardzo ciężkie. Jak człowiek taki jak pan mógł wyobrazić sobie, że w Paryżu w XIX wieku można bezkarnie porwać młodą panienkę? Nie żyjemy w wiekach średnich i porwanie jest już niedozwolone.

— Niech pan nie sądzi, że było ono dozwolone według dawnych praw. Znajdziesz pan u Baluze’a³⁰³ dekret wydany w tej materii przez króla Childeberta³⁰⁴ w Kolonii w roku

²⁹⁹safianowy — wykonany z safianu, tj. z barwionej koziej skóry. [przypis edytorski]

³⁰⁰mer — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

³⁰¹sekwestr (praw.) — sądowe zajęcie majątku w celu zabezpieczenia roszczeń. [przypis edytorski]

³⁰²casus (łac.) — przypadek; sprawa. [przypis edytorski]

³⁰³Baluze, Étienne (1630–1718) — francuski uczonec, historyk i wydawca, zajmujący się historią Kościoła, patrologiką i prawem średniowiecznym. [przypis edytorski]

³⁰⁴Childebert II (570–596) — władca Franków z dynastii Merowingów; w 595 zebrał w jednym dokumencie swoje wcześniejsze reformy prawne, ogłoszone w trzech kolejnych latach w Andernach, Maastricht i Kolonii, i wydał edykt (*Decretio Childeberti*), który m.in. ustanawiał równość między potomkami frankijskich zdobywców

593 czy 594. Któż zresztą nie wie, że sławne rozporządzenie wydane w Blois³⁰⁵, w maju 1579 roku, mówi formalnie, że kto uwiedzie lub namówi do złego chłopca lub dziewczynę nieletnią do lat dwudziestu pięciu, pod pozorem małżeństwa lub też innym, bez zgody i woli wyraźnej ojca, matki lub opiekunów, śmiercią ma być karany? I tak, brzmi dalej rozporządzenie, i tak „ukarani będą oprócz tego wszyscy, którzy brali udział w porwaniu i którzy w jakikolwiek sposób udzielali rady lub pomocy”. Są to mniej więcej autentyczne słowa rozporządzenia. Co zaś do owego artykułu Kodeksu Napoleona³⁰⁶, który mi pan właśnie przeczytał i który uwalnia od sprawy sądowej uwodziciela ożenionego z panną, którą uprowadzał, przypomina mi on, że według zwyczaju w Bretanii³⁰⁷ porwanie zakończone małżeństwem nie było karane. Ale ten zwyczaj, który spowodował wiele nadużyć, został zniesiony w 1720 roku. Podaję panu tę datę z dokładnością mniej więcej do lat dziesięciu. Pamięć moja jest niezbyt dobra i minął już czas, gdy mogłem wyrecytować na pamięć, jednym tchem, tysiąc pięćset wierszy *Girarta de Roussillon*³⁰⁸. A co do kapitułarzy³⁰⁹ Karola Wielkiego, które regulują odszkodowanie za porwanie, nie mówię o nich dlatego, że zapewne pan dobrze je pamięta. Widzi pan zatem, kochany panie de Gabry, że porwanie uważane było za zbrodnię za rządów wszystkich trzech dynastii starej Francji. Bardzo niesłuszny jest więc sąd, że wieki średnie były wiekiem chaosu. Przeciwnie, przekona się...

Pan de Gabry przerwał mi:

— Zna pan — zawołał — rozporządzenie z Blois, Baluze’a, Childeberta i kapitułarzy Karola Wielkiego, a nie zna pan Kodeksu Napoleona!

Odpowiedziałem, że istotnie nigdy go nie czytałem; pan de Gabry był tym zdziwiony.

— Rozumie pan teraz — dodał — całą doniosłość czynu, którego się pan dopuścił?

Prawdę mówiąc, nie rozumiałem jej jeszcze. Ale po trochu, wskutek bardzo rozumnych przekonywań pana Pawła, zaczynałem pojmować, że sądzić mnie będą nie według moich niewinnych zamiarów, lecz według czynu, który był karygodny. Wtedy począłem rozpacząć i lamentować.

— Co robić? — zawołałem. — Co robić? Więc stracony jestem bez ratunku, a nadto wciągnąłem do zguby to biedne dziecko, które chciałem ocalić?

Pan de Gabry spokojnie nabił fajkę i zapalał ją tak powoli, że jego dobra, szeroka twarz przez trzy, cztery minuty była czerwona jak twarz kowala przy ogniu kuźni. Po czym rzekł:

— Zapytuje mnie pan, co robić; niech pan nic nie robi, kochany panie Bonnard. Na miłość boską i w pana własnym interesie, nie rób pan zupełnie nic! Pańskie sprawy są i tak dość złe, nie mieszaj się do nich, żeby nie narobić nowej biedy. Ale przyrzeknij mi pan, że zgodzi się pan na wszystko, co uczynię. Zaraz jutro udam się do pana Mouche, a jeśli on jest tym, o co go posądzamy, to jest skończonym łotrem; ale żeby nawet diabeł się w to wmieszał, znajdę sposób uczynienia go nieszkodliwym. Bo wszystko zależy od niego. Ponieważ dziś jest już za późno, aby odprowadzić pannę Joannę na pensję, moja żona zatrzyma ją na noc u nas. Przez to stajemy się formalnie współnikami uprowadzenia, ale odejmujemy w ten sposób dwuznaczny charakter sytuacji tej młodej panienki. Pan zaś, kochany panie Bonnard, wróci czym prędzej na quai Malaquais; gdyby tam przyszli szukać panny Joasi, łatwo będzie panu dowieść, że nie ma jej u pana.

Gdy tak rozmawialiśmy, pani de Gabry wydawała rozporządzenia co do noclegu swego gościa. Widziałem, jak pokojówka niesie pościel, pachnącą lawendą.

ców a ludnością pochodzenia galijsko-rzymskiego oraz zmieniał zwyczaje dotychczasowego prawa salickiego, niekorzystne dla kobiet. [przypis edytorski]

³⁰⁵rozporządzenie wydane w Blois w maju 1579 roku — przez króla Francji Henryka III, z dynastii Walezjuszów, dotyczące prawa prywatnego, w szczególności zawierania małżeństw. [przypis edytorski]

³⁰⁶Kodeks Napoleona — francuski kodeks prawa cywilnego wprowadzony w 1804 przez Napoleona Bonaparte’go, oparty na wartościach rewolucji francuskiej; stanowił wzór dla kodyfikacji cywilnej w XIX w.; wprowadzał m.in. świecki charakter małżeństwa i śluby cywilne, sprawy małżeńskie poddawał wyłącznie powszechnym sądom cywilnym, dopuszczał rozwody. [przypis edytorski]

³⁰⁷Bretania — kraina historyczna i region w płn.-zach. Francji. [przypis edytorski]

³⁰⁸*Girart de Roussillon*, właśc. *Le Chanson de Girart de Roussillon* (Pieśń o Girarcie de Roussillon) — zabytek francuskiej poezji rycerskiej z XII w.. [przypis edytorski]

³⁰⁹kapitułarz (zwykle w lm) — rozporządzenie królewskie o treści prawnej, wydane w państwie Franków za panowania Merowingów i Karolingów, zwłaszcza Karola Wielkiego; kapitułarze podzielone były na części, rozdziały opatrzone nagłówkami, łac. *capitula*. [przypis edytorski]

— Oto — rzekłem — pocziwy, miły zapach.

— Cóż pan chce? — odrzekła pani de Gabry. — Jesteśmy przecie wieśniakami.

— Ach — odrzekłem — obym też kiedy mógł być takim wieśniakiem! Obym mógł jak pani w Lusance wdychać sielskie wonie pod dachem, tonącym w zieleni, a jeśli życzenie to jest zbyt śmiałe dla starca stojącego nad grobem, pragnę przynajmniej, aby mój całun, tak jak te prześcieradła, pachniał lawendą.

Umówiliśmy się, że nazajutrz przyjdę na śniadanie, ale najwyraźniej zabroniono mi zjawiać się przed dwunastą. Joasia, całując mnie, błagała, abym nie oddał jej znów na pensję. Rozeszliśmy się zmieszani i wzruszeni.

Zastałem Teresę w sieni; czekała na mnie z niepokojem, przechodzącym we wściekłość. W swoim gniewie zagroziła mi, że będzie mnie w przyszłości zamykała na klucz.

Jakąż noc przebyłem! Ani na chwilę nie zmrzyłem oka. To śmiałem się jak urwis z mojej powodzeniem uwieńczonej przygody, to, z niewymownym strachem, widziałem się na ławie oskarżonych, gdzie odpowiadam przed sędziami za zbrodnię, którą w prostocie ducha popełniłem. Byłem przerażony, a jednak nie miałem wyrzutów sumienia i nie żałowałem mego czynu. Słońce, śląc promienie do mego pokoju, wesoło muskało wezgłowie łóżka; a ja odmawiałem pokorną modlitwę:

„Boże mój, Ty, coś stworzył niebo i rosę, w sprawiedliwości swej sądz mnie nie według nieprawości moich, ale według zamiarów, które były czyste i prawe; a powiem: Chwała Tobie na wysokości, a pokój na ziemi ludziom dobrej woli³¹⁰. Oddaję w Twoje ręce dziecię, które wykradłem! Zrób, czego ja zrobić nie umiałem; strzeż ją od wszystkich jej wrogów i niech błogosławione będzie święte imię Twoje!”

Strach, Śmiech, Sumienie

Modlitwa

29 grudnia

Gdy wszedłem do pani de Gabry, zastałem Joasię przeobrażoną.

Czy tak jak ja wzywała o pierwszym brzasku jutrzejki Tego, co stworzył niebo i rosę? Uśmiechała się w słodkim poczuciu bezpieczeństwa.

Pani de Gabry odwołała ją celem dokończenia jej uczesania. Uprzejma ta pani własnymi rękami chciała ułożyć włosy dziewczyny, którą jej powierzono. Przybywszy nieco wcześniej, niż było umówione, przerwałem to wdzięczne zajęcie. Za karę kazano mi samemu czekać w salonie. Wkrótce nadszedł pan de Gabry. Wracił widocznie z miasta, czoło jego nosiło jeszcze ślad kapelusza. Twarz wyrażała radosne ożywienie. Nie uważałem za stosowne zadawać mu jakichkolwiek pytań i wszyscy czworo poszliśmy na śniadanie. Gdy służba odeszła, pan Paweł, który opowiadanie swoje rezerwował do kawy, rzekł:

— No więc! Jeździłem do Levallois.

— Widziałeś się z panem Mouche? — zapytała żywo pani de Gabry.

— Nie! — odrzekł, patrząc na nasze twarze, na których wyraził się zawód.

Cieszył się przez dostatecznie długą chwilę naszym niepokojem, a potem dodał:

— Pana Mouche nie ma już w Levallois, pan Mouche opuścił Francję. Pojutrze będzie tydzień, jak drapnął, zabierając pieniądze swych klientów, podobno dość pokaźną sumkę. Zastałem kancelarię zamkniętą. Opowiedziała mi to sąsiadka z całą masą przekleństw i złorzeczeń. Notariusz nie wyjechał sam pociągami o 7.55 — uprowadził córkę fryzjera z Levallois. Fakt ten potwierdzono mi w policji. Doprawdy, pan Mouche nie mógł drapnąć w odpowiedniejszym czasie. Gdyby jeszcze na tydzień odsunął swoją awanturę, to jako przedstawiciel społeczeństwa, włókłby pana przed sędziów jako zbrodniarza, panie Bonnard. Teraz nic nam już nie zagraża. Za zdrowie imć³¹¹ pana Mouche! — zawołał, nalewając nam doskonałego burgunda³¹².

Chciałbym żyć długo, aby długo wspominać ten ranek. Siedzieliśmy wszyscy czworo w białej, dużej jadalni wkoło dębowego stołu. Pan Paweł miał humor nieco rubaszny i zapijał wino długimi haustami. Zaczyna człowiek! Pani de Gabry i panna Alexandre uśmiechały się do mnie, a uśmiechy te wynagradzały mi wszystkie moje troski i zmartwienia.

³¹⁰Chwała Tobie na wysokości, a pokój na ziemi ludziom dobrej woli — Łk 2, 14 z nieznaczną zmianą („Tobie” zamiast „Bogu”). [przypis edytorski]

³¹¹imć (daw.) — skrócona forma zwrotu grzecznościowego „jej/jego miłość”, zwykle używana przed nazwiskiem, tytułem lub innym określeniem osoby. [przypis edytorski]

³¹²burgund — francuskie wino z Burgundii. [przypis edytorski]

Powróciwszy do domu, spotkałem się z najsroźszymi wymówkami i uwagami Teresy, która nie pojmowała zupełnie mego nowego sposobu życia. Według jej zdania musiałem chyba postradać zmysły.

— Tak, Tereso, tak. Jestem stary wariat, a ty stara wariatka. Niech nam Bóg błogosławi, Tereso, i da nam nowe siły, bo mamy nowe obowiązki. Ale daj mi się rozciągnąć na tej kanapie, bo już nie mogę utrzymać się na nogach!

15 stycznia 1877

— Dzień dobry panu! — rzekła Joasia, otwierając mi drzwi naszego mieszkania, podczas gdy wlokąca się za nią Teresa zrzedziała w cieniu korytarza.

— Moja panno, proszę mnie nazywać uroczystie całym mym tytułem i powiedzieć: „Dzień dobry, mój opiekunie”.

— A więc to załatwione? Co za szczęście! — zawołała Joasia, klaszcząc w ręce.

— Stało się to, moja panno, w sali sądowej, przed sędzią pokoju i od dnia dzisiejszego będziesz podlegała mojej władzy... Śmiesz się, moja pupilko? Wodzę po twoich oczach, że jakaś szalona myśl przechodzi ci przez głowę. Znowu jakiś kaprys!

— Och, nie, panie... opiekunie. Patrzałam na pańskie siwe włosy. Okręcają się koło brzegu pańskiego kapelusza jak bluszcz wokół balkonu. Są bardzo piękne i lubię je bardzo.

— Siadaj, moja pupilko, i jeśli to możliwe, nie mów już nierozsądnych rzeczy; chcę z tobą pomówić poważnie. Posłuchaj mnie: myślę, że niekoniecznie zależy ci na tym, żeby powrócić do panny Préfère?... Nie. Cóż byś powiedziała na to, gdybym zatrzymał cię tutaj dla dokończenia twojej edukacji, aż... czy ja wiem? Na zawsze, jak to się mówi...

— Och, panie! — zawołała czerwona z radości.

Ciągnąłem dalej:

— Jest tam od tyłu mały pokoik, który moja gospodyni przygotowała dla ciebie. Zastąpisz tam książki, tak jak dzień następuje po nocy. Idź z Teresą i zobacz, czy pokoik ten jest odpowiedni na mieszkanie. Umówiłem się już z panią de Gabry, że dziś w nim będziesz nocować.

Już tam biegła; zawołałem ją.

— Joasiu, posłuchaj mnie jeszcze. Dotąd umiałaś sobie pozyskać życzliwość mojej starej gospodyni, która, jak wszyscy starzy ludzie, jest dość opryskliwa. Oszczędzaj ją. Ja sam uważałem za stosowne oszczędzać ją i znosić jej gniewy i uwagi. Powiem ci więcej: szanuj ją. A mówiąc tak, nie zapominam, że jest ona twoją i moją służącą, i ona o tym będzie pamiętać. Ale musisz szanować w niej jej wiek i zacne serce. Jest to skromne stworzenie, które długo trwało w dobrym i w nim zakamieniało. Znoś szorstkość tej prawej duszy. Umiej rozkazywać, ona potrafi słuchać. Teraz idź, moje dziecko, i urządz swój pokój jak najwygodniej dla pracy i wypoczynku.

Wyprawiwszy Joasie z tym wiatykiem³¹³ na jej nową drogę dobrej gospośi, zabrałem się do czytania przeglądu miesięcznego, który, acz prowadzony przez ludzi młodych, jest doskonały. Ton jego szorstki, lecz duch gorliwy. Artykuł, który przeczytałem, ścisłością i stanowczością przechodzi wszystko, co robiono w czasach mej młodości. Autor tego artykułu, pan Paweł Meyer, zaznacza każdy błąd drapnięciem ostrego pazura. My nie posiadaliśmy daru tej nielitościwej sprawiedliwości. Poblażanie nasze było rozległe i w jednej pochwalie łączyło uczonego i ignorantą. A jednak należy umieć ganić; jest to surowy obowiązek. Przypominam sobie małego Raymonda (tak go nazywano). Nic nie umiał, był to umysł ciasny, ograniczony, ale bardzo kochał swą matkę. Uważaliśmy bacznie, aby nie zdradzić nieuctwa i głupoty tak dobrego syna, i mały Raymond, dzięki życzliwemu osłanianiu jego umysłowej nicości, dostał się do Akademii. Nie miał już matki, a spadł na niego grad zaszczytów. Był wszechwładny z wielką szkodą dla swych kolegów i nauki. Ale oto nadchodzi mój młody przyjaciel z Ogrodu Luksemburskiego.

— Dzień dobry, Gélis! Masz dziś minę uradowaną. Cóż się to stało, moje dziecko?

Stało się, że bardzo przyzwoicie bronił swej rozprawy i otrzymał dobry stopień. Oznajmił mi to, dodając, że moje prace, o których nawiasem była mowa podczas dyskusji, były przez wszystkich profesorów chwalone bez zastrzeżeń.

³¹³wiatyk (daw., z łac. *viaticum*) — zaopatrzenie na podróż; dziś: w Kościele katolickim komunია udzielana umierającym. [przypis edytorski]

Starość, Sługa

— To doskonale — odrzekłem. — Szczęśliwy jestem, Gélis, widząc, że moja stara reputacja łączy się z twą młodą sławą. Wiesz, że żywo interesowałem się twoją rozprawą, ale wypadki domowe sprawiły, iż zapomniałem, że dziś odbywa się obrona tezy.

Panna Joasia weszła w samą porę, by mu wyjaśnić, co było powodem mego zapomnienia. Trzpiotka wpadła jak lekki wietrzyk do grodu książek, wołając, że pokoik jej to istny cud. Ujrawszy pana Gélis, stanęła w pąsach. Ale nikt nie może uniknąć swego przeznaczenia.

Zauważyłem, że tym razem byli oboje nieśmiali i nie rozmawiali ze sobą.

Wszystko to pięknie, panie Sylwestrze Bonnard, ale obserwując twoją pupilkę, zapominasz, że jesteś opiekunem. Jesteś nim od dzisiejszego ranka i ta nowa funkcja nakłada już na ciebie delikatne obowiązki. Musisz, panie Bonnard, zrećcznie usunąć tego młodzieńca, musisz... Alboż ja wiem, co muszę?...

Pan Gélis robi notatki z mego unikatku *La Ginevera delle clare donne*³¹⁴. Na chybił trafił wyciągam książkę z najbliższej półki, otwieram ją i z szacunkiem wkraczam w sam środek dramatu Sofoklesa³¹⁵. Starzejąc się, nabieram zamilowania do starożytnych utworów i odtąd poetów Grecji i Italii trzymam pod ręką w grodzie książek. Czytam ów słodki i świetlany chór starców tebańskich: „*Eros anikate...* Niezwalczona miłości, o ty, co spadasz na domy bogate, ty, co kładziesz się na delikatnej twarzy dziewczycy, co przechodzisz morza i nawiedzasz obory, nie uciekniesz przed tobą żaden z nieśmiertelnych ani żaden z ludzi żyjących dni kilka; a kto cię posiada, jest w upojeniu”³¹⁶. Gdy odczytałem ten przecudny śpiew, uprzytomniła mi się postać Antygony³¹⁷ w swej nietkniętej czystości. Cóż za obrazy, bogi i boginie niebios najczystszych! Oto starzec niewidomy, król-żebrak, co długo błąkał się, prowadzony przez Antygone, został ze czcią pochowany, a córka jego, piękna jak najpiękniejszy obraz w duszy ludzkiej poczęty, opiera się tyranowi i pobożnie grzebie swego brata. Kocha syna tyrana i syn ten ją kocha. I podczas gdy idzie na śmierć, do której ją bogobojność przywiodła, starcy śpiewają: „Niezwalczona miłości, o ty, co spadasz na domy bogate, ty, co kładziesz się na delikatnej twarzy dziewczycy...”.

Nie jestem egoistą. Jestem rozumny; muszę wychować to dziecko, jest za młoda, abym ją miał wydać za mąż. Nie! Nie jestem egoistą, ale muszę kilka lat zatrzymać ją przy sobie, tylko przy sobie. Czyż nie może czekać mojej śmierci? Bądź spokojna, Antygono, stary Edyp znajdzie na czas święte miejsce swego odpoczynku.

Teraz Antygona pomaga Teresie obierać kalarepkę. Powiada, że jej się to należy, bo to wchodzi w zakres rzeźby.

Maj

Któż poznałby dziś gród książek? Wszędzie są teraz kwiaty, na wszystkich meblach. Joasia ma rację: te róże są bardzo piękne w tym wazonie z niebieskiego fajansu. Joasia co dzień chodzi z Teresą na targ i przynosi stamtąd kwiaty. Kwiaty są istotnie cudnymi stworzeniami. Trzeba mi będzie wykonać kiedyś mój zamiar i zbadać je w ich własnym otoczeniu, na wsi, z całą dokładnością i metodą, do jakiej jestem zdolny.

I cóż robić w Paryżu? Po co do reszty niszczyć sobie oczy nad starymi pergaminami, które już mi nic ważnego nie mówią? Odczytywałem je kiedyś, te stare teksty, ze wspaniałą gorliwością. Cóż wówczas spodziewałem się w nich znaleźć? Datę pobożnej fundacji³¹⁸, nazwisko jakiegoś mnicha-rysownika lub kopisty, cenę chleba, wołu, pola, zarządzenie administracyjne lub sądowe i coś jeszcze, coś tajemniczego, nieokreślonego,

³¹⁴*La Ginevera delle clare donne* — książka włoskiego humanisty, poety i pisarza Giovanniego Sabadino degli Arienti (1445–1510), z roku 1490, zawierająca biografie słynnych kobiet, dedykowana Ginevrze Sforza, żonie władcy Bolonii. [przypis edytorski]

³¹⁵*Sofokles* (ok. 496–406 p.n.e.) — jeden z największych tragediopisarzy starożytnej Grecji. [przypis edytorski]

³¹⁶*Niezwalczona miłości, o ty, co spadasz na domy bogate, ty, co kładziesz się na delikatnej twarzy dziewczycy...* — Sofokles, *Antygona* (pieśń Chóru). [przypis edytorski]

³¹⁷*Antygona* (mit. gr.) — córka króla Edypa, władcy Teb, główna bohaterka tragedii Sofoklesa. Towarzyszyła ojcu na dobrowolnym wygnaniu, kiedy się oślepił po odkryciu, że nie znając swojego prawdziwego pochodzenia, nieświadomie popełnił ojcostwo i kazirodztwo. Po śmierci Edypa wróciła do Teb. Kierując się prawem boskim, a wbrew zakazowi nowego króla, Kreona, pochowała uznanego za zdrajcę brata, Polinika. Za karę zamknięta żywem w grobowcu, odebrała sobie życie. Na widok martwej Antygony jej narzeczony Hajmon, syn Kreona, również popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

³¹⁸*fundacja* — tu: ufundowanie, założenie (klasztora). [przypis edytorski]

wzniosłego, co rozpalalo mój entuzjazm. Ale szukałem przez lat sześćdziesiąt, nie znajdując tego czegoś. Inni, więcej wariaci ode mnie, mistrzowie, znakomitości: Faurielowie³¹⁹, Thierry'owie³²⁰, którzy tyle rzeczy odnaleźli, umarli przy swej pracy i także nie odnaleźli tego, co nie mając ciała, nie ma również nazwy, a bez czego jednak żadne dzieło ducha nie mogłoby powstać na tym świecie. Teraz, kiedy szukam w nich tego tylko, co rozsądnie znaleźć mogę, nie znajduję już nic zgoła i prawdopodobnie nie skończę nigdy historii opatów z Saint-Germain-des-Prés.

— Zgadnij, opiekunie, co przyniosłam w tej chusteczce?

— Zapewne kwiaty, Joasiu.

— O, nie! To nie kwiaty. Patrz!

Patrzę i widzę mały, szary lebek, wystający z chusteczki. To głowa burego kotka. Chusteczka rozchyła się, zwierzątko zeskakuje na dywan, otrząsa się, nastawia jedno ucho, drugie i ostrożnie przygląda się miejscu i osobom.

Z koszykiem na rękę wchodzi zadyszana Teresa. Nie ma ona zwyczaju ukrywać niezadowolenia i żywo wyrzuca panience, że przynosi do domu kota, którego nie zna. Joasia, aby usprawiedliwić się, opowiada całą przygodę. Przechodząc z Teresą koło apteki, widzi, jak uczeń aptekarski silnym kopnięciem wyrzuca kota na środek ulicy. Kot zdziwiony, a może wyrwany z drzemki zadaje sobie pytanie, czy zostanie na ulicy, gdzie popychają i straszą go przechodnie, czy też ma powrócić do apteki, ryzykując, że znów wyleci z niej w podobny sposób. Joasia współczuje jego krytycznemu położeniu i pojmuję jego wahanie. Kot ma głupią minę i Joasia sądzi, że pochodzi to z braku decyzji. Bierze go na ręce. Kotu niewygodnie i w aptece, i na ulicy, toteż zgadza się, aby go wzięła na ręce. Uspokajając go pieszczotą, mówi do młodego aptekarza:

— Jeśli się panu kotek nie podoba, nie można go bić; trzeba mi go dać.

— Niech go panienka sobie zabierze — odpowiada pigularz.

— Ot i wszystko! — dodaje Joasia w formie zakończenia.

I pieszczotliwym głosem obiecuje kociakowi różne łakocie.

— Jest bardzo chudy — rzekłem, przypatrując się nędznemu stworzeniu — a ponadto bardzo brzydki.

Joasia nie uważa, że jest brzydki, ale przyznaje, że ma minę głupszą niż kiedykolwiek; tym razem nie wahanie, lecz zdziwienie nadaje, według niej, tę przykrą cechę jego fizjonomii. Gdy będziemy w jego położeniu, myśli Joasia, przyznamy, że niepodobna, aby coś rozumiał ze swej przygody. Śmiejemy się w nos temu biednemu stworzeniu, które zachowuje swą komiczną powagę. Joasia chce je wziąć na ręce, ale kot kryje się pod stół i nie wychodzi nawet na widok miseczki z mlekiem.

Oddaliśmy się; miseczka jest pusta.

— Joasiu — rzekłem — twój protegowany ma smutną minę, jest z natury skryty i podstępny, życzyłbym sobie, aby w grodzie książek nie dopuścił się czynów, które zmusiłyby nas do odesłania go z powrotem do apteki. Tymczasem trzeba mu dać imię. Proponuję ci, byś go nazwała Don Burkiem z Rynny; ale to może nieco za długie. Pigulka, Mikstura, Rycyna byłoby krótsze i miałyby tę korzyść, że przypominałoby mu jego pochodzenie. Cóż ty na to?

— Pigulka byłoby dobrze — odrzekła Joasia — ale czy to szlachetnie dać mu imię, które przypominałoby mu ciągle niedolę, z której go wyrwaliśmy? Znaczyłoby to kazać mu opłacać naszą gościnność. Bądźmy uprzejmiejsi i dajmy mu ładne imię w nadziei, że na nie zasłuży. Widzi pan, jak patrzy na nas. Rozumie, że się nim zajmują. Stał się mniej głupi, odkąd nie jest nieszczęśliwy. Nieszczęście ogłupia, wiem to dobrze.

— No więc, jeśli chcesz, Joasiu, nazwijmy go Hannibalem³²¹. Nie pojmujesz jeszcze, skąd się to imię wzięło. Ale kot angorski, który poprzedził go w grodzie książek

Kot

Kot

Głupota, Cierpienie

³¹⁹ *Fauriel, Claude* (1772–1844) — francuski erudyta, historyk, filolog i krytyk. [przypis edytorski]

³²⁰ *Thierry'owie* — bracia Augustin (1795–1856) i Amédée Thierry (1797–1873), historycy francuscy. [przypis edytorski]

³²¹ *Hannibal Barkas* (246–183 p.n.e.) — wódz kartagiński, jeden z najwybitniejszych dowódców starożytności; syn Hamilkara Barkasa, który wychowywał go w nienawiści do Rzymian; rozpoczął II wojnę punicką, wsławił się przeprowadzeniem 60-tysięcznej armii, łącznie ze słoniami bojowymi, z Hiszpanii przez Pireneje i Alpy do Italii, czym zaskoczył Rzymian; w bitwie pod Kannami, używając nowatorskiej taktyki, unicestwił dwukrotnie większą armię rzymską. [przypis edytorski]

i któremu miałem zwyczaj zwierzać się — bo była to mądra i dyskretna istota — zwał się Hamilkarem. Naturalne jest, aby z tamtego imienia powstało drugie i by Hannibal nastąpił po Hamillkarze.

Zgodziliśmy się oboje.

— Hannibal! — zawołała Joasia. — Chodź tu!

Hannibal, przestraszony dziwną dźwięcznością własnego imienia, wsunął się pod jedną z bibliotek, w kącik tak ciasny, że szczur by się w nim nie zmieścił.

Oto wielkie imię noszone z godnością!

W dniu tym byłem dobrze usposobiony do pracy i właśnie umoczyłem pióro w atramentcie, gdy rozległ się dzwonek. Jeśli ktoś, niemający nic lepszego do roboty, przeczyta kiedy te kartki, zapisane przez starca bez wyobraźni, uśmieje się dobrze z tych dzwonek, które rozlegają się co chwila w toku mego opowiadania, a nie wprowadzają nowej osoby i nie są przygotowaniem niespodzianej sceny. W teatrze dzieje się na odwrót. Pan Scribe³²² otwiera swoje drzwi tylko, gdy trzeba, i ku największej ucieśze pań i panien. To jest sztuka. Ja raczej powiesiłbym się, niż bym napisał komedijkę; nie przez pogardę dla życia, ale dlatego, że nie umiałbym wymyślić nic zabawnego. Wymyślić! Na to trzeba by było otrzymać tajne namaszczenie. Dar ten byłby dla mnie nieszczęściem. Gdybym tak w mej historii opactwa Saint-Germain-des-Prés wymyślił jakiegoś księżynę! Co powiedzieliby młodzi erudyci? Co za skandal na wydziale! Co zaś do Akademii, nie powiedziałyby nic i pomyślałyby jeszcze mniej. Moi koledzy jeszcze trochę piszą, ale już nie czytają zupełnie. Są zdania Parny'ego³²³, który mawiał:

Spokojna obojętność
Jest najmądrzejszą z cnót³²⁴.

Istnieć możliwie najmniej, by istnieć możliwie najlepiej, oto do czego, zmierzają usiłowania tych bezwiednych buddystów. Jeśli jest rozumniejsza mądrość, pójdę obwieścić ją w Rzymie. A wszystko to z powodu, że zadzwonił pan Gélis.

Młodzieniec ten zmienił zupełnie swój sposób bycia. Jest teraz równie poważny, jak dawniej był lekkomyślny; równie milczący, jak był gadatliwy. Joasia idzie za jego przykładem. Jesteśmy w fazie powstrzymywanej namietności. Bo, choć stary jestem, nie mylę się co do tego: te dzieci kochają się silnie i trwale. Joasia unika go teraz; kryje się w swoim pokoju, gdy on wchodzi do biblioteki. Ale odnajduje go, gdy jest sama! Sama rozmawia z nim co wieczór melodią, wygrywaną na fortepianie z akcentem śpiewnym i drżącym, który jest nowym wyrazem jej nowej duszy.

A więc dlaczegoż tego nie wypowiedzieć? Dlaczego mam nie przyznać się do mojej słabości? Egoizm, gdybym ukrywał go przed samym sobą, czyż byłby mniej naganny? Powiem więc śmiało. Tak, czegoś innego się spodziewałem; liczyłem, że zachowam ją tylko dla siebie, jak moje dziecko, jak wnuczkę, nie na zawsze, nie na długo nawet, ale jeszcze na kilka lat. Jestem stary. Czyż nie mogłaby poczekać? I kto wie? Przy pomocy podagry³²⁵ i artretyzmu³²⁶ może nie zanadto nadużyłbym jej cierpliwości. To było moim życzeniem, moją nadzieją. Czyniłem mój rachunek bez niej i bez tego młodego trzpiota. Ale jeśli rachunek był zły, niemniej okrutny jest zawód. Zdaje mi się jednak, kochany Sylwestrze Bonnard, że zbyt lekkomyślnie się potępiasz. Jeżeli chciałeś na kilka lat zatrzymać przy sobie to dziewczę, to zarówno w twoim, jak i w jej interesie. Ona ma jeszcze dużo do nauczenia się, a ty jesteś nauczycielem nie do pogardzenia. Kiedy ten kauzyperda Mouche, który potem, tak w porę dla ciebie, dopuścił się łotróstwa, zaszczylił cię swą wizytą, wyłożyłeś mu swój system edukacyjny z zapalem duszy, silnie w tym rozmiłowanej. Cała gorliwość twoja zmierzała do zastosowania tego systemu. Joasia jest niewdzięcznicą, a Gélis uwodzicielem.

³²²Scribe, Eugène (1791–1861) — francuski dramaturg i librecista operowy, autor licznych komedii i wodewiłów, bardzo popularny w XIX w. [przypis edytorski]

³²³Parny, Évariste de (1753–1814) — francuski poeta epoki oświecenia. [przypis edytorski]

³²⁴Spokojna obojętność jest najmądrzejszą z cnót — Évariste de Parny, *Ma retraite*, ze zbioru *Poésies érotiques*. [przypis edytorski]

³²⁵podagra — choroba zapalna stawów, której objawem jest nawracający obrzęk stawu dużego palca stopy i towarzyszące mu silne bóle. [przypis edytorski]

³²⁶artretyzm — przewlekła choroba powodująca dotkliwe bóle i zniekształcenia stawów. [przypis edytorski]

Ależ w końcu, jeśli nie wyrzucę go za drzwi, co byłoby niestosowne i wysoce nie-smaczne, muszę go przecie przyjąć; już dość długo czeka w saloniku przed serwskimi wazonami, darowanymi mi łaskawie przez króla Ludwika Filipa³²⁷. *Żniwiarze* i *Rybacy* Leopolda Robert³²⁸ namalowani są na tych porcelanowych wazonach, które Joasia i Gélis zgodnie uważają za rzecz szkaradną.

— Mój kochany, wybac, że nie przyjąłem cię natychmiast. Kończyłem pracę.

Mówię prawdę: rozmyślanie jest pracą, ale Gélis inaczej to rozumie, myśli, że chodzi o archeologię i życzy mi, bym niedługo ukończył historię opatów z Saint-Germain-des-Prés. I dopiero złożony mi ten dowód zainteresowania się moją osobą, zapytuje, jak się ma panna Alexandre. Na co odpowiadam: „bardzo dobrze” suchym tonem, w którym objawia się moja moralna władza opiekuńcza.

I po chwili milczenia rozmawiamy o szkole paleograficznej, o nowych wydawnictwach, o postępie nauk historycznych. Wkraczamy w ogólniki. Ogólniki są wielką pomocą. Staram się wpoić Gélisowi nieco szacunku dla pokolenia historyków, do którego sam należę. Mówię:

— Historia, która była sztuką i pozwalała na wszelkie fantazje, w naszych czasach stała się wiedzą, którą uprawiać należy z najściślejszą metodą.

Gélis przeprosza mnie, że pozwala sobie być innego zdania. Oświadcza mi, iż nie wiemy, czy historia była lub kiedykolwiek stała się wiedzą.

— A przede wszystkim — mówi — co jest historią? Spisane przedstawienie minionych zdarzeń. A co jest zdarzeniem? Czy to jakikolwiek fakt? O nie, powie pan na to, to fakt ważny. Otóż jak może historyk osądzić, czy fakt jest ważny, czy nie? Sądzi o tym arbitralnie, według swego upodobania i kaprysu, według swej idei, jak artysta wreszcie! Bo fakty same przez się nie dzielą się na fakty historyczne i fakty niehistoryczne. Zresztą fakt jest czymś niezmiernie złożonym. Czy historyk przedstawi fakty w całej ich złożoności? Nie, jest to niepodobieństwem. Przedstawi je ogółem z większości szczegółów i właściwości, z których się składają, a zatem obcięte, okaleczone, różne od tego, czym były. Co do związku faktów między sobą, lepiej o tym nie mówmy. Jeśli fakt zwany historycznym wywołany jest, co możliwe, przez jeden lub kilka faktów niehistorycznych, i jako takie, nieznanych, w jaki sposób, proszę pana, zaznaczy historyk wzajemny stosunek tych faktów do siebie? I we wszystkim, co tu mówię, szanowny panie Bonnard, zakładam, że historyk ma przed oczami świadectwa pewne, podczas gdy w rzeczywistości darzy on swym zaufaniem takiego a takiego świadka jedynie za popędem uczucia. Historia nie jest wiedzą, jest sztuką i powstaje tylko dzięki wyobraźni.

Pan Gélis przypomina mi w tej chwili pewnego półgłówka, którego słyszałem pewnego dnia, jak rozprawiał ni w pięć, ni w dziewięć w Ogrodzie Luksemburskim, u stóp Małgorzaty de Valois. I oto przy jakimś zwrocie rozmowy spotykamy się oko w oko z Walter Scottem³²⁹, o którym mój młody przyjaciel mówi, że to banalne i cikliwe rupiecie, „figura dobra na zegar”. Są to jego własne wyrażenia.

— Ale — mówię, zapalając się do obrony wzniesłego ojca Łucji i pięknej dziewczyny z Perth³³⁰ — cała przeszłość żyje w jego prześlicznych powieściach. To historia! To epopeja!

— To tandeta — odpowiada mi Gélis.

I czy da kto wiarę, że to nierozumne dziecko zapewnia mnie, że nawet przy wszelkiej uczoności nie można dokładnie sobie wyobrazić, jak żyli ludzie przed pięcioma lub dziesięcioma wiekami, skoro tylko z wielkim trudem można wyobrazić sobie, jakimi byli

Praca, Rozum

Historia

³²⁷ *Ludwik Filip* (1773–1850) — ostatni król Francji z dynastii Burbonów, panował w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

³²⁸ *Robert, Louis Léopold* (1794–1835) — szwajcarski malarz romantyczny, tworzący w klasycystycznym stylu szkoły Davida; autor m.in. cyklu trzech wielkich kompozycji, wystawianych w Salonie Paryskim, ukazujących Włochy w różnych porach roku: *Powrót z pielgrzymki do sanktuarium Madonny dell'Arco* (1827), *Przybycie żniwiarzy na Pola Pontyjskie* (1831) oraz *Wypłynięcie adriatyckich rybaków* (1835); obraz *Przybycie żniwiarzy...* został zakupiony przez francuskiego króla Ludwika Filipa, który uhonorował malarza krzyżem Orderu Legii Honorowej, [przypis redakcyjny]

³²⁹ *Scott, Walter* (1771–1832) — szkocki autor powieści historycznych (m.in. *Ivanhoe*, *Rob Roy*), bardzo popularny w swojej epoce. [przypis edytorski]

³³⁰ *ojca Łucji i pięknej dziewczyny z Perth* — aluzja do utworów Waltera Scotta *Naręczona z Lammermoor* (1819), którego bohaterką jest Lucy (Łucja) Ashton, oraz *Piękna dziewczę z Perth* (1828). [przypis edytorski]

mniej więcej przed dziesięciu lub piętnastu laty. Dla niego poemat historyczny, romans historyczny, obraz historyczny są z istoty swej zupełnie fałszywe.

— We wszystkich sztukach — dodaje — artysta odtwarza tylko własną duszę; dzieło jego, jakkolwiek byłaby jego szata zewnętrzna, jest mu duchem współczesne. W *Boskiej komedii* podziwiamy wielką duszę Danta³³¹, a rzeźby Michała Anioła³³² cóż nam nadzwyczajnego przedstawiają? Czyż właśnie nie samego Michała Anioła? Artysta musi dać swym twórcom własne życie, inaczej wykuwa marionetki i ubiera lalki.

Jakież to paradoksy i jakie lekceważenie! Ale i zuchwałstwa podobają mi się u młodych ludzi! Gélis wstaje i znów siada; wiem dobrze, o czym myśli i na co czeka. Teraz opowiada mi, że zarabia tysiąc pięćset franków, do których trzeba dodać małą rentę dwóch tysięcy franków, które otrzymuje ze spadku. Rozumiem te jego zwierzenia. Wiem dobrze, że przedstawia mi swoje dochody, abym wiedział, że jest człowiekiem statecznym, spokojnym, praktycznym, zabezpieczonym, jednym słowem: dobrym na męża. *Quod erat demonstrandum*³³³, jak mówią matematycy.

Wstawał i siadał dwadzieścia razy. Wstaje po raz dwudziesty pierwszy, a ponieważ nie widział Joasi, wychodzi zasmucony.

Ledwie wyszedł, wchodzi Joasia do grodu książek pod pozorem dopilnowania Hannibala. Jest zmartwiona i głosem omdlewającym woła swego protegowanego, żeby mu dać mleka. Patrz na tę zasmuconą twarz, stary Bonnard! Tyranie, przyjrzyj się twojemu dziełu. Rozłączyłeś ich, ale ich twarze wyrażają jednakowe uczucia, łączące ich wbrew twoim chęciom. Bądź szczęśliwy, Kassandrze³³⁴! Ciesz się, Bartolo³³⁵! Co to jednak znaczy być opiekunem! Widzicie, jak klęczy na dywanie, tuli w dłoniach głowę Hannibala?

Tak! Pieść to zwierzę! Jęcz nad nim! Wiadomo, mała obłudnico, dokąd płyną twe westchnienia i co powoduje twe żale.

Długo spoglądam na ten obrazek, po czym, rzuciwszy okiem na swój księgozbiór, mówię:

— Joasiu, wszystkie te książki nudzą mnie, sprzedamy je.

20 września

Stało się: są zaręczeni. Gélis, równie jak Joasia, sierota, prosił o jej rękę przez jednego ze swych profesorów, mego kolegę, wysoce szanowanego dla swej wiedzy i charakteru. Ale co za posel miłości, sprawiedliwe nieba! Niedźwiedź, nie niedźwiedź z Pirenejów, ale niedźwiedź gabinetowy, a ta druga odmiana jest dziksza niż pierwsza.

— Słusznie czy niesłusznie (niesłusznie, według mnie) Gélisowi nie zależy na posagu; bierze twoją pupilkę w jednej koszuli, tak jak stoi. Powiedz: tak, i sprawa skończona. Spiesz się, kolego, chciałbym pokazać ci kilka medali lotaryńskich³³⁶, których najpewniej nie znasz.

Oto dosłownie wszystko, co mi powiedział. Odrzekłem, że zapytam Joasi, i z niemałą przyjemnością oświadczyłem mu, że pupilka moja ma posag.

Posag, oto jest! To moja biblioteka. Henryk i Joasia są na tysiąc mil dalecy od tego przypuszczenia; faktem jest, że ogólnie ludzie uważają mnie za bogatszego, niż jestem. Mam minę starego sknery. Oto z pewnością kłamiwa mina, której zawdzięczam dużo poważania. Nie ma osoby, którą by świat szanował tak jak skąpego bogacza.

Bogactwo, Skąpiec

³³¹Danta (daw.) — dziś popr. forma B.: Danteo; *Dante Alighieri* (1265–1321): filozof i polityk, jeden z najwybitniejszych poetów włoskich, autor poematu *Boska Komedia*, uważanego za szczytowe osiągnięcie średnio-wiecznej literatury włoskiej, przedstawiającego wizję wędrówki poety przez trzy światy pozagrobowe, Piekło, Czyściec i Raj. [przypis edytorski]

³³²Michał Anioł, właśc. *Michelangelo Buonarroti* (1475–1564) — wybitny malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt włoskiego renesansu. [przypis edytorski]

³³³*Quod erat demonstrandum* (łac.) — co było do udowodnienia; wyrażenie używane na zakończenie dowodu matematycznego. [przypis edytorski]

³³⁴Kasander — konwencjonalna postać włoskiej komedii *dell'arte*: naiwny, oszukiwany starzec, ojciec, opiekun bądź mąż młodej Izabeli, która kocha Leandra. [przypis edytorski]

³³⁵Bartolo — postać ze sztuki *Cyrulik sewilski* (1775) Pierre'a Beaumarchais, na podstawie której powstała opera Gioacchina Rossiniego z 1816, o tym samym tytule: zazdrosny, podejrzliwy opiekun młodej i pięknej Rozyny, której pomaga w romansie Figaro, tytułowy cyrulik. [przypis edytorski]

³³⁶lotaryński — związany z Lotarynią; krainą hist. w płn.-wsch. Francji, graniczącą z Belgią, Luksemburgiem i Niemcami. [przypis edytorski]

Pomówiłem z Joasią, ale czyż trzeba mi było wysłuchać jej odpowiedzi, aby ją poznać? Stało się! Są zaręczeni.

Nie jest zgodne ani z moją osobą, ani z moim charakterem śledzić tych dwoje młodych, żeby następnie notować ich słowa i gesty. *Noli me tangere*³³⁷. Takie są słowa pięknych ukochań. Znam mój obowiązek; jest nim — uszanować tajemnicę tej młodej duszy, nad którą mam pieczę. Niech się kochają te dzieci. Nic z ich długich, słodkich wynurzeń, z ich szczerych, czystych nieprzezorności nie zachowa w tym zeszycie stary opiekun, którego władza była łagodna i trwała tak krótko!

Zresztą nie próżnuję; jeśli oni mają swoje sprawy, ja mam swoje. Sam sporządzam katalog swojej biblioteki, by sprzedać ją na licytacji. Jest to zajęcie, które smuci mnie i bawi. Przedłużam je może więcej, niż należy, i przeglądam te egzemplarze tak bliskie mej myśli, ręką i oczom dłużej, niż to jest potrzebne. Jest to pożegnanie, a po wszystkich czasach ludzie zwykli przeciągać pożegnania.

Oto gruby tom, którym posługiwałem się przez lat trzydzieści, czyż mogę się z nim rozstać bez oddania czci należnej dobremu słudze? Oto ten, który krzepił mnie swymi zdrowymi teoriami; czy nie powinienem pokłonić mu się po raz ostatni jako mistrzowi? Ale za każdym razem, gdy trafię na książkę, która mnie wprowadziła w błąd, zasmuciła niedokładną datą, niedomówieniem, kłamstwem i innymi plagami archeologa, mówię z gorzką radością: — Idź! Idź! Idź, kłamco, zdrajco, fałszywy świadek! Uciekaj ode mnie, *vade retro*³³⁸, obyś niezasłużenie przeplacona, dzięki twej uzurpowanej sławie i pięknej, safianowej szacie, dostała się do księgozbioru jakiegoś bankiera bibliomana, którego nie zawiedziesz, jak mnie zawiodłaś, bo on nigdy czytać cię nie będzie.

Odkładałem osobno, aby zatrzymać na zawsze te książki, które dano mi na pamiątkę. Gdy do szeregu tego wstawiałem *Złotą legendę*, miałem ochotę pocałować ją na wspomnienie pani Trepow, która pozostała mi wdzięczna mimo wywyższenia i bogactwa i która chcąc okazać się mą dłużniczką, stała się moim dobroczyńcą. Więc część ksiąg sobie zostawiłem. Teraz dowiedziałem się, co to jest zbrodnia. Pokusy nachodziły mnie w nocy. O świcie były niemożliwe do pokonania. Wtedy, podczas gdy wszystko spało jeszcze w domu, cichutko wstawałem i ukradkiem wymykałem się z sypialni.

Potęgi cieniów, mary nocne, jeśli, zbyt długo pozostając u mnie, nie uciekłyście po pianiu kogutów, widząc mnie wchodzącego na palcach do grodu książek, na pewno nie zawołałyście, jak pani Trepow w Neapolu: „Ten starzec ma pocziwe plecy”. Wchodziłem; Hannibal z podniesionym pionowo ogonkiem, mrucząc, ocierał się o moje nogi. Chwytałem z półki tom, jakiś szacowny zabytek średniowiecza lub poemat szlachetnego poety Odrodzenia, klejnot, skarb, o którym marzyłem przez całą noc, unosilem go i chowałem wśród książek rezerwowanych, na samo dno szafy, która pękała, tak była przepełniona. Tak ciężko wyrzec: okradałem posag Joasi. A gdy zbrodnia była dokonana, zabierałem się znów dzielnie do katalogowania, aż do chwili, gdy Joasia przychodziła radzić się mnie co do jakiegoś szczegółu toalety lub wyprawy. Nigdy nie rozumiałem dobrze, o co chodzi, nie znam bowiem współczesnych wyrazów, używanych w krawiecczyźnie i bieliźniarstwie. Ach! Gdyby jakim cudem narzeczona z XIV stulecia przyszła mówić ze mną o szmatkach, to co innego! Zrozumiałbym jej mowę. Ale Joasia jest nie z moich czasów, toteż odsyłam ją do pani de Gabry, która obecnie zastępuje jej matkę.

Noc nadchodzi, noc nadeszła. Oparci o okno patrzymy na rozległą, ciemną przestrzeń usianą punkcikami świateł. Joasia nachylona nad poręczą opuszcza głowę na rękę i wydaje się być zasmucona. Spoglądam na nią i myślę sobie: „Wszystkie zmiany, nawet najbardziej upragnione, odznaczają się melancholią, bo to, co porzucamy, jest częścią nas samych; trzeba dla jednego życia umrzeć, aby do innego wstąpić”.

Jakby odgadując myśl moją, Joasia mówi:

— Jestem bardzo szczęśliwa, mój opiekunie, a jednak chce mi się płakać.

OSTATNIA KARTKA

21 sierpnia 1882

³³⁷*Noli me tangere* (łac.) — nie dotykaj mnie (cytat z Wulgaty, łacińskiego tłumaczenia Biblii, J 20,17, słowa zmartwychwstałego Jezusa do Marii Magdaleny). [przypis redakcyjny]

³³⁸*vade retro* (łac.) — idź precz; początek frazy: *Vade retro, satanae!* (idź precz, szatanie!). [przypis edytorski]

Stronica osiemdziesiąta siódma... Jeszcze ze dwadzieścia wierszy i dzieło moje o owadach i roślinach będzie ukończone. Stronica osiemdziesiąta siódma i ostatnia... „Jak widzieliśmy, odwiedziny owadów mają wielkie znaczenie dla roślin, owady bowiem przenoszą do słupka kwiatowy pył pręcików. Kwiat wydaje się jakby przybrany odświętnie i przygotowany do tych ślubnych odwiedzin. Jak mi się zdaje, wykazałem, iż nektarowy gruczoł kwiatka sączy słodki sok, który przyciąga owady i zmusza je nieświadomie do zapłodnienia bezpośredniego lub krzyżowanego. Ten ostatni rodzaj zdarza się częściej. Wykazałem też, że kwiaty mają barwę i pachną, aby w ten sposób przyciągać owady; wewnętrzna zaś ich budowa jest tego rodzaju, że gościom swym pozostawiają takie przejście, by wnikać w koronę, musiały złożyć na słupku pyłek, którym zostały obsypane. Sprengel, mój wielce czczony mistrz, mawiał o puszkę pokrywającą koronę geranii leśnej: »Mądry twórca przyrody nie chciał stworzyć żadnego niepotrzebnego włoska«. Ja zaś mówię: Jeśli lilia polna, o której mówi Ewangelia, bogaciej jest przybrana niż król Salomon, to dlatego, że jej płaszcz z purpury jest płaszczem weselnym i ten strój bogaty jest koniecznością trwałości jej istnienia»³³⁹.

Brolles! Dom mój jest ostatni przy wiejskiej ulicy, najbliższy lasu. Jest to dom o ścietym trójkątnie dachu, dachu szyfrowym³⁴⁰, mieniącym się na słońcu jak szyja gołębia. Chorągiewka wznosząca się na tym dachu przysparza mi więcej szacunku i poważania w tej okolicy niż wszystkie moje prace historyczne i filologiczne. Nie ma berbecia, który by nie znał chorągiewki pana Bonnard. Zardzewiała i przeraźliwie skrzypi na wietrze. Czasem zupełnie odmawia służby, tak jak Teresa, która zrzędząc, każe młodej wieśniaczce pomagać sobie w robocie. Dom jest niewielki, ale żyje się w nim wygodnie. Mój pokój ma dwa okna i nawiedzają go pierwsze promienie rannego słońca. Nad nim jest pokój dzieci. Joasia i Henryk goszczą w nim dwa razy do roku.

Mały Sylwek miał tam swą kołyskę. Było to ładne dziecko, ale bardzo blade. Gdy się bawił na trawie, matka wodziła za nim niespokojnym okiem i co moment odkładała igłę, by go brać na kolana. Biedny malec nie chciał zasypiać. Mówił, że kiedy śpi, odchodzi daleko, bardzo daleko, gdzie jest ciemno i gdzie widzi rzeczy, których się boi i których nie chce widzieć więcej. Wtedy matka wołała mnie, siadałem koło jego kołyski; on brał mój palec w swą małą, gorącą i suchą rączkę i mówił:

— Ojcie chrzestny, musisz opowiedzieć mi bajeczkę.

Opowiadałem mu rozmaite bajeczki, których słuchał poważnie. Wszystkie interesowały go, ale jedna szczególnie zachwycała jego małą duszyczkę. Była to bajka o Niebieskim Ptaku. Kiedy kończyłem, mówił:

— Jeszcze, jeszcze!

Rozpoczywałem na nowo i mała, blada główka opadała na poduszkę. Na wszystkie moje pytania lekarz odpowiadał:

— Nic mu nie grozi!

Nie! U małego Sylwka nie było oznak żadnej poważnej choroby. Pewnego wieczora zeszłego roku zawołał mnie jego ojciec:

— Chodź pan — rzekł — małemu gorzej.

Zbliżyłem się do kołyski, przy której matka stała nieruchomo, przykuta całą potęgą swej duszy.

Mały Sylwek z wolna zwrócił na mnie żrenice, zwierające się już pod powieką i zachodzące bielmem.

— Ojcie chrzestny, nie trzeba mi już opowiadać bajeczek.

Nie, już mu nie trzeba było opowiadać bajeczek!

Biedna Joasia, biedna matka!

Sen, Dziecko, Strach,
Ciemność

Dziecko, Śmierć

³³⁹Jak widzieliśmy, odwiedziny owadów mają wielkie znaczenie dla roślin, owady bowiem przenoszą do słupka... — Pan Sylwester Bonnard nie wiedział, że przed nim bardzo znakomici przyrodnicy prowadzili badania nad związkami między owadami i roślinami. Nie znał on prac K. Darwina, prac doktora Hermana Müllera, jako też spostrzeżeń sir Johna Lubbocka. Należy zauważyć, iż wywody pana Sylwestra Bonnard zbliżają się bardzo znacznie do wywodów tych trzech uczonych. Mniej potrzebne, ale może interesujące jest to, że sir John Lubbock był, jak pan Bonnard, archeologiem i w późniejszych dopiero latach zajął się naukami przyrodniczymi. [przypis autorski]

³⁴⁰szyfrowy (daw.) — przym. od szyper (z niem.): łupek, rodzaj skały łatwo dzielącej się na płytki, używanej do wyrobu dachówek, tabliczek do pisania itp. [przypis edytorski]

Jestem zbyt stary, żeby być jeszcze bardzo wrażliwym, ale doprawdy śmierć dziecka stanowi bolesną zagadkę.

Dziś ojciec i matka powrócili na sześć tygodni pod dach staruszka. Oto wracają z lasu, trzymając się za ręce. Joasia ubrana jest w czarny płaszcz. Henryk nosi krepę przy słomianym kapeluszu; ale od obojga bije blask młodości i słodko uśmiechają się do siebie, śmieją się do ziemi, która ich nosi, do powietrza, które ich otacza, do blasku, które jedno widzi w oczach drugiego. Z okna dają im znak chustką i uśmiechają się do mojej starości. Joasia szybko wbiega na schody, całuje mnie i szepce mi do ucha słów kilka, które raczej odgaduję, niż słyszę. I odpowiadam jej:

— Niech was Bóg błogosławi, Joasiu, ciebie i męża twego, w waszym najdalszym potomstwie. *Et nunc dimittis servum Tuum, Domine*³⁴¹.

³⁴¹*Et nunc dimittis servum Tuum, Domine* (łac.) — A teraz puść sługę Twego, Panie (Łk 2, 29; słowa starca Symeona). [przypis redakcyjny]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/france-zbrodnia-sylwestra-bonnard/>

Tekst opracowany na podstawie: Anatol France, Zbrodnia Sylwestra Bonnard, przeł. Jan Sten, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1982

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Milena Dyńska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-8058-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.